



MARY E. PEARSON

# PRZEBUDZENIE JENNY FOX

---

PRZEŁOŻYŁA WANNA PASIERSKA

Tytuł oryginału *The Adoration of Jenna Fox*



TLR

*Dla mojego cudownego męża Dennisa i drogich dzieci: Jesski, Karen i Bena*

# Kalifornia

---

Dawniej byłam kimś. Kimś zwanym Jenna Fox.

Tak mówią. Ale jestem kimś więcej niż nazwiskiem. Kimś więcej, niż mówią. Kimś więcej niż zbiorem faktów i danych, które mi wbijają do głowy. Kimś więcej niż postacią z nagrań wideo, które mi każą oglądać.

Kimś więcej. Tylko nie jestem pewna kim.

- Jenno, chodź, siądź tutaj. Nie chciałabyś tego przegapić. - Kobieta, którą mam nazywać Matką, poklepuje poduszkę obok siebie. - No, chodź - nakłania.

Siadam.

- To historyczna chwila - oświadcza. Kładzie mi rękę na ramieniu i ściska. Unoszę kącik ust. Potem drugi: uśmiech. Ponieważ wiem, że powinnam. Tego ode mnie oczekuje.

- To pierwszy raz - mówi. - Nigdy wcześniej nie mieliśmy za prezydenta kobiety nigeryjskiego pochodzenia.

- Pierwszy raz - powtarzam. Patrzę na ekran. Patrzę na twarz Matki. Dopiero niedawno nauczyłam się uśmiechać. Nie wiem, jak reagować na inne emocje na jej twarzy. A powinnam reagować.

- Mamo, chodź, usiądź z nami! - woła w stronę kuchni. - Zaraz się zacznie.

Wiem, że tamta nie przyjdzie. Nie lubi mnie. Nie mam pojęcia, skąd to wiem. Jej twarz jest dla mnie równie pusta i pozbawiona wyrazu, jak wszystkie inne. Chodzi jednak o coś innego.

- Muszę pozmywać. Obejrzę na monitorze tutaj - odpowiada. Wstaje.
- Mogę wyjść, Lily - proponuję.

Pojawia się w łukowatym wejściu. Patrzy na Matkę. Wymieniają spojrzenia, które próbuję rozszyfrować. Matka opuszcza twarz w dłoń.

- To twoja babcia, Jenno. Zawsze nazywałaś ją Babcią.
- Nic się nie stało. Może mi mówić Lily - odpowiada ta druga i siada po przeciwnej stronie Matki.

## Świadomość

---

Istnieje gdzieś ciemne miejsce.

Miejsce, w którym nie mam oczu, nie mam ust.

Nie mam słów.

Nie mogę płakać, bo nie oddycham. Cisza jest tak głęboka, że chcę umrzeć. Ale nie mogę.

Ciemność i cisza rozciągają się w nieskończoność. To nie sen. Ja nie śnię.

## Przebudzenie

---

Wypadek zdarzył się ponad rok temu. Odzyskałam przytomność dwa tygodnie temu. Umknął mi rok z okładem. Z szesnastolatki stałam się siedemnastolatką. Druga kobieta została wybrana na prezydenta. W naszym Układzie Słonecznym znaleziono dwunastą planetę. Zdechł ostatni niedźwiedź polarny. Gazetowe nagłówki, które nie mogły mnie poruszyć. Przespałam to wszystko.

Po przebudzeniu płakałam. Tak mi powiedzieli. Nie pamiętam pierwszego dnia. Później podsłuchałam, jak Lily szepcze w kuchni do Matki, że mój płacz ją przeraża. „Przypomina zwierzę” - powiedziała.

Nadal budzę się z płaczem. Nie jestem pewna czemu. Nie czuję nic. A przynajmniej nic, co umiałabym nazwać. To jak oddychanie: coś, co się dzieje, lecz czego nie kontroluję. Ojciec przyjechał na moje przebudzenie. Nazwał je początkiem. Powiedział, że było dobre. Sądzę, że uznalby za dobre wszystko, cokolwiek bym zrobiła. Pierwszych parę dni było trudnych. Mój umysł i ciało miały się bez kontroli. Umysł uspokoił się pierwszy. Przywiązali mi ręce. Drugiego dnia one także się uspokoiły. Zdaje się, że w domu panowało wielkie zamieszanie. Badali mnie, testowali, i znowu badali, Ojciec po kilka razy dzien-

nie skanował do netbooka informacje o moich objawach, a ktoś odsyłał zalecenia dotyczące leczenia. Ale nie zauważyłam, żeby mnie leczyli. Codziennie robiłam postępy. To wszystko. Jednego dnia nie umiałam chodzić. Następnego tak. Jednego dnia moja prawa powieka opadała. Następnego nie. Jednego dnia mój język leżał w ustach niczym kawał mięsa, następnego dnia artykułowałam słowa, których nie wymawiałam przez ponad rok.

Piątego dnia, kiedy nie potknęłam się, wychodząc na werandę, Matka rozpląkała się i oznajmiła: „To cud. Najprawdziwszy cud”.

- Chodzi nienaturalnie. Nie widzisz? - zauważyła Lily.

Matka nie odpowiedziała.

Ósmego dnia Ojciec musiał wracać do pracy do Bostonu. Szeptali z Matką, lecz i tak słyszałam. „Ryzykowne. .. powinienem jechać... dasz sobie radę”. Przed odjazdem ujął moją twarz w obie dłonie. „Krok po kroku, aniołku - powiedział. - Cierpliwości. Wszystko wróci. Z czasem odtworzą się wszystkie połączenia”. Myślę, że mój sposób chodzenia stał się już normalny. Ale pamięć nie. Nie pamiętam swojej matki, ojca ani Lily. Nie pamiętam, że kiedyś mieszkałam w Bostonie. Nie pamiętam wypadku. Nie pamiętam Jenny Fox.

Ojciec twierdzi, że to wróci z czasem. „Czas leczy rany” — mówi.

Nie przyznałam mu się, że nie wiem, czym jest czas.

# Czas

---

Są słowa.

Słowa, których nie pamiętam. Nie te trudne, których znajomości nikt ode mnie nie oczekuje.

Najprostsze.

„Skakać”. „Gorący”. „Jabłko”.

„Czas”.

Sprawdzam je w słowniku. Nie zapomnę ich nigdy więcej.

Gdzie się podziały słowa, które były kiedyś w mojej głowie?

# Kolejność

---

Ciekawy przym. 1. *Spragniony nauki lub wiedzy, dociekliwy.* 2. *Wścibski lub ciekawski.* 3- *Nienyjasniony, niezwykły, dziwaczny, dziwny.*

Przez pierwszy tydzień Matka zarzucała mnie szczegółami z mojego życia. Imię. Ukochane zwierzęta z dzieciństwa. Ulubione książki. Rodzinne wakacje. Po opisanu każdej sceny pytała: „Pamiętasz?”. I za każdym razem, kiedy odpowiadałam przecząco, widziałam, jak jej oczy się zmieniają. Jakby robiły się mniejsze. Czy to możliwe? Kolejne „nie” starałam się wypowiadać łagodniej; żeby każde następne brzmiało odrobinę inaczej niż poprzednie. W dniu szóstym głos jej się załamał, kiedy opowiadała o moim ostatnim występie baletowym. „Pamiętasz?”.

Dnia siódmego wręczyła mi niewielkie pudełko. „Nie chcę na ciebie naciskać - powiedziała. — Są ułożone kolejno. Prawie wszystkie opisane. Może kiedy je obejrzysz, łatwiej sobie przypomnisz”. Przytuliła mnie. Dotyk jej puszystego swetra. Chłód policzka. Tyle potrafię odczuć. Twarde. Miękkie. Szorstkie. Gładkie. Lecz jeśli chodzi o ten wewnętrzny rodzaj czucia, wszystko przypomina mętną breję. Czy dlatego, że jakaś część mnie wciąż jeszcze śpi? Otoczyłam Matkę ramionami i ścisnęłam, próbując ją naśladować. Wydawała się zadowolona. „Kocham cię, Jenno - szepnęła. - O cokolwiek miałabyś ochotę spytać, jestem gotowa. Chcę, żebyś o tym wiedziała”.

Właściwa odpowiedź brzmiała „dziękuję”, więc tak powiedziałam. Nie wiem, czy to pamiętałam, czy nauczyłam się niedawno. Nie kocham jej. Czuję, że powinnam, ale jak można kochać kogoś, kogo się nie zna? Coś jednak czuję pośród tej mętnej brei. Oddanie? Poczucie obowiązku? Chciałam, żeby była zadowolona. Pomyślałam o jej propozycji: „o cokolwiek miałabyś ochotę spytać”. Nie mam o co pytać. Pytania jeszcze się nie pojawiły.

Obejrzałam więc pierwszy dysk. Wydawało się logiczne, żeby to robić po kolei. Przedstawił mnie przed urodzeniem. Całe godziny mnie przed urodzeniem. Dowiedziałam się, że jestem pierwsza. Przede mną było dwóch chłopców, ale



nie przeżyli pierwszego trymestru. W moim wypadku Matka i Ojciec podjęli szczególne kroki i się udało. Jestem jedna jedyna. Ich cudowne dziecko. Oglądałam płód, który był mną, zanurzony w mrocznym, wodnym świecie, i zastanawiałam się, czy to też powinnam pamiętać.

Każdego dnia przeglądałam kolejne dyski, próbując odzyskać dawną siebie. Czasem są to zdjęcia, czasem filmy. Dziesiątki pięciocentymetrowych dysków. Może ze sto. Tysiące godzin mnie.

Moszczę się na wielkiej sofie. Dzisiaj oglądam *Jenna Fox/Rok trzeci*. Zaczyna się od przyjęcia z okazji trzecich urodzin. Dziewczynka biega, zaśmiewając się zupełnie bez powodu, aż w końcu drogę zagradza jej wysoki, zwietrzały, kamienny mur. Uderza drobnymi, podobnymi do gwiazdek dłońmi o kamień i ogląda się na kamerę. Zatrzymuję dysk na tej scenie. Przyglądam się uśmiechowi. Twarzy. Mała ma coś w sobie. Coś, czego nie dostrzegam we własnej twarzy. Nie wiem, co to takiego. Może tylko zapomniane słowo? Może coś więcej. Przyglądam się ogromnym, szorstkim kamieniom, o które opiera dłonie. To niewielki, otoczony murem ogród miejskiego domu, w którym kiedyś mieszkaliśmy. Pamiętam z wczoraj, z Dysku Osiemnastego.

„Odtwarzaj” - mówię i akcja się rozwija. Oglądam, jak złotowłosa dziewczynka piszczy, biegnie i przyciska twarz do czyichś okrytych nogawkami nóg. Potem ten ktoś unosi trzylatkę głową w dół i kamera robi najazd na twarz Ojca, który śmieje się i wtula twarz w jej brzusek. Mój brzuch. Trzylatka zanoszą się śmiechem. Chyba jej się to podoba. Podchodzę do lustra wiszącego obok biblioteczki. Mam teraz siedemnaście lat, ale dostrzegam podobieństwo. Takie same blond włosy. Takie same niebieskie oczy. Ale zęby inne. Zęby trzylatki są drobne. Moje palce. Moje dłonie. Znacznie większe teraz. Prawie zupełnie inna osoba. A jednak to ja. Przynajmniej tak mówią. Wracam i oglądam resztę przy-

jęcia, kąpiel, lekcję baletu, malowanie rękami, napad złości, opowiadanie bajek, każdy element życia trzyletniej Jenny Fox, mający znaczenie dla jej Matki i Ojca.

Słyszę za sobą kroki. Nie odwracam się. To Lily. Jej stopy wydają inny odgłos niż stopy Matki. Są zdecydowane, precyzyjne. Słyszę każdy szmer. Czy zawsze byłam tak wyczulona na dźwięki? Staje gdzieś za moimi plecami. Czekam, aż się odezwie. Milczy. Nie jestem pewna, czego chce.

- Nie musisz ich oglądać po kolei - mówi w końcu.
- Wiem. Matka mi powiedziała.
- Są tam dyski z czasów, gdy byłaś nastolatką.
- Wciąż jestem nastolatką.

Następuje pauza. Celowa pauza, jak podejrzewam.

- Zapewne - przytakuje. Obchodzi mnie, pojawia się w polu mojego widzenia. - Nie jesteś ciekawa?

„Ciekawa”. Dziś rano sprawdziłam to słowo w słowniku, kiedy Matka użyła go, opisując pana Bendera, który mieszka obok nas, po drugiej stronie stawu. Nie wiem, czy Lily chce wiedzieć, czy jestem wścibska, czy dziwna.

- Leżałam w śpiączce przez ponad rok. Pewnie z tego powodu jestem bardzo niezwykła; dziwaczna; dziwna. Tak, Lily. Jestem ciekawa.

Ramiona Lily rozplatają się i opadają po bokach ciała. Lekko przechyla głowę. Jest piękną kobietą. Wygląda na pięćdziesiąt lat, a wiem, że musi mieć co najmniej sześćdziesiąt. Drobne zmarszczki wokół jej oczu stają się głębsze. Wciąż mi umykają subtelności wyrazu twarzy.

- Powinnaś je oglądać nie po kolei. Przeskoczyć od razu do ostatniego roku.

Wychodzi z pokoju; dnia piętnastego od przebudzenia podejmuje pierwszą samodzielną decyzję. Będę oglądać dyski w kolejności.

## Panorama

---

Jest coś ciekawego w tym, gdzie mieszkamy. Coś ciekawego w Lily. Coś ciekawego w Ojcu i jego wieczornych telefonicznych rozmowach z Matką. I z pewnością coś ciekawego we mnie. Dlaczego potrafię sobie przypomnieć szczególnie rewolucji francuskiej, ale nie pamiętam, czy w ogóle miałam najlepszego przyjaciela?

## Dzień szesnasty

---

Kiedy się zbudziłam dziś rano, pojawiły się pytania. Zastanawiam się, gdzie się kryły. „Czas leczy rany”. Czy to miał na myśli Ojciec? A może słowa, które zagubiły się w mojej pamięci, po prostu próbowały odnaleźć właściwą kolejność? Oprócz pytań przyszło mi też do głowy słowo „ciekawo”. Czemu? Dochodzę do wniosku, że powinnam ufać słowom, kiedy do mnie wracają.

- Jenno, wychodzę! - woła Matka od progu. - Na pewno dasz sobie radę?

Jedzie do miasta. Pierwszy raz od dnia pierwszego widzę ją opuszczającą dom.

- Poradzę sobie - zapewniam. - Moje odżywki są na stole w kuchni. Wiem, ile wziąć.

Nie mogę jeszcze jeść normalnego jedzenia. Kiedy zapytałam dlaczego, zaczęli sobie wpadać nawzajem w słowo, próbując to tłumaczyć. W końcu wyjaśnili, że po roku odżywiania przez rurkę mój organizm jeszcze przez jakiś czas nie będzie umiał strawić zwykłych potraw. Nigdy nie widziałam tej rurki. Może właśnie to zawiera ostatni dysk który kazala mi obejrzeć Lily. Czemu chce, że bym to zobaczyła?

- Nie wychodź z domu - dodaje Matka.

- Nie wyjdzie - odpowiada Lily.

Matka jedzie do miasta, żeby przeprowadzić rozmowy kwalifikacyjne z robotnikami. Jest certyfikowanym doradcą do spraw konserwacji zabytków. A raczej była. Prowadziła w Bostonie firmę zajmującą się restaurowaniem kamienic. Specjalizowała się w tym. Miała mnóstwo pracy. Wszyscy chcą wszystko odnowić. Starość ma wzięcie. Lily mówi, że firma Matki cieszyła się doskonałą opinią. Teraz przeze mnie jej kariera się skończyła. W Kalifornii nie ma kamienic. Ale Matka mówi, że domek wiejski w stylu cotswold, w którym mieszkamy, wymaga gruntownego remontu, a skoro poczułam się lepiej, najwyższa pora doprowadzić go do stanu używalności. Twierdzi, że nie ma wielkiej różnicy między restaurowaniem takiego czy innego budynku. Jej nowe zajęcie to odrestaurowanie mnie i domu.

Jest już w połowie wąskiej ścieżki do furtki, kiedy zadaje moje pierwsze pytanie. Wiem, że to nie najwłaściwszy moment.

- Matko, dlaczego się tu przeprowadziliśmy?

Przystaje. Chyba zauważyłam lekkie potknięcie. Odwraca się. Oczy ma szeroko otwarte. Nic nie mówi, więc ciągnę:

- Skoro lekarze, Ojciec i twoja praca... wszystko... znajduje się w Bostonie, czemu my jesteśmy tutaj?

Przez chwilę patrzy w dół, tak że nie widzę jej twarzy, potem podnosi wzrok. Uśmiecha się. Jeden kącik ust, potem drugi. Ostrożny uśmiech.

- Istnieje mnóstwo powodów, Jenno. Nie mogę ich wszystkich teraz wymienić, bo się spóźnię na autobus do miasta, ale po pierwsze i najważniejsze: uznaliśmy, że ze względu na ciebie najlepiej będzie znaleźć spokojne miejsce, byś mogła odzyskać siły. I nasz plan najwyraźniej zdaje egzamin, prawda?

Gładkie. Wyćwiczone. Słyszę to w intonacji głosu. W pewnym sensie jej rozumowanie wydaje się niemal racjonalnie, ale dostrzegam w nim luki. Dom w spokojnej okolicy nie jest równie ważny jak bliskość lekarzy. Mimo to kiwam głową. To ma jakiś związek z jej oczami. Oczy nie oddychają. Tyle wiem. A jej oczy wyglądają, jakby wstrzymały oddech.

## Mój pokój

---

Idę do siebie. Nie chcę. Ale przed wyjściem Matka wypowiedziała ostatnią prośbę: „Idź do swojego pokoju, Jenno. Myślę, że odpoczynek dobrze ci zrobi”. Nie potrzebuję odpoczynku i nie chcę iść, lecz zanim się obejrzę, nogi niosą mnie w górę po schodach i zamykam za sobą drzwi. Wiem, że to by jej sprawiło przyjemność.

Mój pokój znajduje się na piętrze - jeden z dziesięciu na górze, obok mnóstwa garderób, łazienek, schowków i innych ciasnych, pozbawionych okien pomieszczeń, jak się zdaje niemających żadnego zastosowania. Jako jedyny jest czysty i umeblowany. Inne są puste, jeśli nie liczyć okazjonalnego pająka lub śmiecia pozostawionego przez poprzednich właścicieli. Na parterze mieści się co najmniej dziesięć kolejnych pomieszczeń i tylko połowę z nich umeblowano. Kilka jest zamkniętych na klucz. Nie oglądałam ich. Na dole mają swoje pokoje Matka i Lily. Nasz domek wiejski wcale nie jest domkiem wiejskim. Dla pewności sprawdziłam w słowniku. Sprawdziłam też słowo „cotswold”. To rasa owiec. Czyli powinniśmy mieszkać w jednoizbowej szopie dla inwentarza. Owiec też nie widziałam w okolicy.

Mój pokój znajduje się na końcu długiego korytarza. Jest największy, przez co samotne łóżko, biurko i krzesło wydają się małe i nie na swoim miejscu. Meble odbijają się w wyfroterowanej podłodze. Zimne wewnątrz. Nie pod względem temperatury, tylko nastroju. Nie zdradza nic na temat osoby, która w nim mieszka. A może wręcz przeciwnie.

Jedyny barwny akcent stanowi kremowożółta narzuta na łóżku. Błat biurka jest pusty, jeśli nie liczyć netbooka, za którego pomocą Ojciec kontaktował się z lekarzami. Żadnych papierów. Żadnych książek. Żadnych drobiazgów. Nic.

Sypialnia otwiera się na przestronną ubieralnię, która łączy się z garderobą, ta zaś przechodzi w kolejną, mniejszą garderobę mającą w głębi niskie drzwiczki,

których nie potrafię otworzyć. Dziwaczne rozwiązanie architektoniczne: zygzakowaty tunel. Czy mój pokój w Bostonie też tak wyglądał? W pierwszej garderobie wiszą cztery koszule i cztery pary spodni. Wszystkie niebieskie. Pod nimi dwie pary butów. W drugiej garderobie nie ma nic. Przesuwam dłońmi po ścianach, dziwiąc się tej pustce.

Wyglądam przez okno. Za naszym ogrodem i stawem widzę ciekawego pana Bendera, zaledwie punkt w oddali. Zdaje się, że przykucnął i patrzy na coś na ziemi. Robi kilka kroków naprzód i znika mi z oczu, przesłonięty skrajem eukaliptusowego zagajnika wyznaczającego granicę naszych działek. Odwracam się znowu do wnętrza pokoju.

Drewniane krzesło.

Nagie biurko.

Proste łóżko.

Tak niewiele. Czy tylko tyle przedstawia sobą Jenna Fox?

## Pytanie, którego nigdy nie zadam Matce:

Czy miałam przyjaciół?

Byłam chora przez ponad rok, a mimo to

w moim pokoju brakuje choćby pocztówki, listu,

balonika, zwiędłego bukietu kwiatów.

Netbook nigdy mnie nie przywołuje

brzęczeniem.

Nawet najzwyklejszego pytania od dawnego kumpla ze szkoły.

Może nie pamiętam wszystkiego, ale wiem, że powinny być tego rodzaju rzeczy.

Coś.

Wiem, że kiedy ktoś jest chory, ludzie o niego pytają.

Kim musiała być Jenna Fox, skoro nie miała żadnych przyjaciół?

Czy była kimś, kogo w ogóle chciałabym sobie przypomnieć?

Każdy powinien mieć przynajmniej jednego przyjaciela.

## Więcej

---

Słyszę, jak Lily nuci cicho. Moje stopy poruszają się niezdarnie, jakby miały własną wolę, ale staram się nad nimi zapanować, żeby mnie nie usłyszała. Przywieram do ściany i zapuszczam żurawia do kuchni. Stoi odwrócona plecami. Większość czasu spędza właśnie tam, przygotowując wymyślne potrawy. Kiedyś była szefem interny w Bostońskim Szpitalu Uniwersyteckim. Ojciec pracował u niej jako rezydent. W ten sposób poznał Matkę. Lily rzuciła pracę. Nie wiem



dlaczego. Teraz jej pasje to ogrodnictwo i gotowanie. Zdaje się, że wszyscy w tym domu postanowili dokonać radykalnej zmiany wizerunku i nikt nie jest tym, kim był dawniej.

Kiedy Lily nie gotuje w kuchni, pracuje w szklarni przy domu, doprowadzając ją do porządku. Nie mogę jeść jej potraw i zastanawiam się, czy to nie jeden z powodów, dla których mnie nie lubi. Dzwoni garnkami, a potem odkręca kran. Ruszam do wyjścia.

Zawiasy ciężkich, drewnianych drzwi skrzypią, kiedy się wymykam, ale Lily mnie nie ściga. Dźwięk ginie pośród brzęku garnków i szumu wody. Dotarłam zaledwie do schodków od frontu, nie licząc jednego razu, kiedy było ciemno i matka zabrała mnie na krótki spacer do szklarni Lily. Od razu oświadczyła, że mam się trzymać blisko niej. Boi się, że się zgubię.

*Zgubić się czas. 1. Zabłądzić. 2. Stracić orientację w czymś. 3. Doprowadzić siebie do zguby.*

Obawiam się, że już się zgubiłam.

Południowe słońce świeci jasno. Razi oczy. Delikatnie zamykam drzwi, żeby Lily nie usłyszała, i szybko przemierzam trawnik. Nie pójdę daleko. Tak, żeby dom pozostał w zasięgu wzroku. Ostrożnie. Słowo pojawia się znowu, niczym żywopłot wyrasta przede mną, lecz napiera także z tyłu. Przechodzę obok komina odprowadzającego dym z paleniska w salonie. Cegły ze szczytu osypały się na ziemię i niemal giną wśród chwastów. Pozostałe nikną pod warstwą jaskrawozielonych porostów. Obchodzę garaż od zewnątrz, żeby Lily mnie nie zobaczyła. Kilka okien jest zabitych deskami, na dachu brakuje sporego płata gon-

tów. Pieniądze nie wydają się dla Matki problemem. Zastanawiam się, dlaczego przez ponad rok, kiedy leżałam w śpiączce, nie znalazła czasu na najpotrzebniejsze naprawy.

Kiedy tylko mijam garaż, otwiera się przede mną rozległy widok na posiadłość ciekawego pana Bendera, ale jego samego nigdzie nie widzę. Nasz ogród łagodnie opada w stronę sporego stawu. Nieruchoma woda oddziela nasz ogród od terenu pana Bendera, a niewielki strumyk, który do niego wpada, odgradza nas od sąsiadów na południu niczym naturalny, wygięty płot. Od strony północnej, gdzie woda wypływa ze stawu, strumień ciągnie się i znika w lesie eukaliptusowym.

Jeszcze kilka kroków i dostrzegam pana Bendera, siedzącego w kucki jak trzyletnia Jenna, którą oglądałam na dyskach wideo. Dziwna pozycja dla dorosłego mężczyzny. Ścisną coś w jednej dłoni, a drugą wyciąga w kierunku czegoś na ziemi. Jest tak nieruchomy, że przystaję.

Ciekawy. Dziwaczny. Dziwny. Matka miała co do niego rację.

Schodzę dalej po zboczu, aż drogę zagraadza mi staw. Skręcam w kierunku lasu. Drzewa są cienkie, ale liczne, a po zaledwie paru metrach staw się kończy i przelewa w strumień. Prąd jest niewiele silniejszy niż w kranie Lily i głęboki na co najwyżej kilkanaście centymetrów. Stawiając stopy na suchych kamieniach wystających nad powierzchnię, przedostaję się na drugą stronę i ruszam pod górę przez ogród pana Bendera. Powinnam się bać. Matka chciałaby, żebym się bała. Lecz poza nią, Ojcem i Lily pan Bender jest jedyną ludzką istotą, jaką widziałam od przebudzenia. Chcę porozmawiać z kimś, kto mnie nie zna. Z kimś, kto nie zna Lily ani Matki. Z kimś spoza naszego ścisłego, ciekawego kółka. Widzi, że nadchodzę, i się prostuje. Jest wysoki, znacznie roślejszy, niż sądziłam. Zatrzymuję się.

- Witaj! - woła. Nie poruszam się.

- Zgubiłaś się? - pyta.

Oglądam się na nasz dom. Patrzę na swoje dłonie. Obracam je i przyglądam się im z obu stron. Nazywam się Jenna Fox.

- Nie - odpowiadam. Podchodzę o krok. Wyciąga rękę.

- Jestem Clayton Bender. Nowa sąsiadka? - Ruchem głowy wskazuje nasz dom.

Nowa? Co znaczy dla niego „nowa”? Czy po roku jestem nowa?

- Nazywam się Jenna Fox. Tak, mieszkam tam. -Wyciągam do niego dłoń i wymieniamy uścisk.

- Masz ręce jak lód, młoda damo. Jeszcze się aklimatyzujesz?

Nie wiem, co to znaczy, ale kiwam głową i mówię, że tak.

- Widziałam pana ze swojego pokoju. Widziałam, jak pan kuczał. Jest pan ciekawy.

Śmieje się i odpowiada:

- Chciałaś powiedzieć, ty jesteś ciekawa.

- Tak powiedziała moja babka.

Śmieje się znowu i kręci głową. Zastanawiam się, czy śmianie się to jego kolejna ciekawa cecha.

- No cóż, Jenno, siedziałem w kucki, bo nad czymś pracowałem. Chodź, zobacz.

Odwraca się, odchodzi kilka kroków i pokazuje na ziemię. Idę za nim.

- Co to jest? - pytam.

- Jeszcze mu nie nadałem tytułu, ale myślę, że to będzie *Sosnowy wąż*. A może nie. Jestem artystą environmentalnym.

- Kim?

- Tworzę sztukę z przedmiotów znalezionych w naturze.

Patrzę na setki długich, sosnowych igieł, ułożonych idealnie równolegle względem siebie, oboma końcami starannie wbitych w luźną glebę, tworzących wygiętego węża, który wypływa na powierzchnię ziemi i znika pod nią znowu. Chcę go pogłodzić, ale wiem, że bym go zniszczyła. Nie widzę w tym sensu. Spędził cały ranek, tworząc coś, co do jutra zostanie zdmuchnięte albo zadeptane.

- Po co? - pytam.

Śmieje się znowu. Po co to robi? Jest ciekawszy ode mnie.

- Surowy z ciebie krytyk, Jenno Fox. Tworzę sztukę, bo mam taką potrzebę. Po prostu we mnie istnieje. Jak oddychanie.

Jak może w nim istnieć sosnowy wąż? Szczególnie taki, który nie przetrwa długo.

- Do jutra tego nie będzie.

- Fakt, pewnie masz rację. W tymcale piękno i dzięki temu staje się jeszcze cudowniejszy. Przynajmniej w moich oczach. Jest delikatny, nietrwały, a zarazem wieczny. Powróci do środowiska, a potem zostanie jeszcze po wielekroć ożywiony na płótnie natury. Ja tylko na krótki czas zmieniam ułożenie naturalnych elementów, aby ludzie dostrzegli piękno tego, na co zwykle nie zwracają uwagi. Żeby przystanąli i...

- Ale tutaj nikt tego nie zobaczy.

- Po skończeniu robię zdjęcia, Jenno. Nie jestem aż takim zwolennikiem nie-trwałości. Ja też muszę jeść. Nigdy nie słyszałaś nazwiska Clayton Bender?

- Nie. Uśmiecha się.

- Cóż, zapewne niaktóre moje prace nie są szeroko znane, lecz w początkach kariery stworzyłem rzeźbę z sopli lodowych w śniegu. Białe na białym. Przyniosła mi sławę. Trudno wejść do biurowca albo gabinetu lekarskiego, żeby się na nią nie natknąć. Nie jest to moje najlepsze dzieło, lecz najbardziej znane. Zapewne biel dobrze się ze wszystkim komponuje. Po większej części właśnie za tę rzeźbę kupiłem to miejsce. Dzisiaj z pewnością nie mógłbym sobie na nie pozwolić.

- Pański dom dużo kosztował?

- Jak wszystkie tutaj. W dzisiejszych czasach nie kupi się domu w tej okolicy, jeśli się nie ma sporej fortunki. Ale ja swój nabyłem za grosze po wielkim trzęsieniu ziemi. Jesteś zbyt młoda, by to pamiętać, ale...

- Piętnaście lat temu. Południowa Kalifornia. Dziewiętnaście tysięcy ofiar śmiertelnych. Ocean pochłoniął ludność dwóch miejscowości, ucierpiały główne szlaki transportowe oraz ciekł wodne w południowej części stanu. Była to największa klęska żywiołowa, jaką oglądał nasz kraj, i obok epidemii gronkowca złocistego, trzy miesiące później, uchodzi za bezpośrednią przyczynę Drugiego Wielkiego Kryzysu, który trwał sześć lat.

Jestem oszołomiona. Czy tak brzmi właściwe słowo? Zgadza się, oszołomiona. Nie wiem, skąd się pojawiły te wszystkie fakty.

Pan Bender gwałtownie wciąga oddech.

- No, no! Masz niezłą pamięć, co, Jenno? Jesteś fanką historii?

Byłam nią? Jestem? Wciąż nie mogę się nadziwić łatwości, z jaką wyrzuciłam z siebie te informacje.

- Najwyraźniej.

- Cóż, wszystko się zgadza. Z powodu tych wszystkich strasznych wydarzeń kupiłem dom za bezcen. Ale teraz nikt nie pamięta o trzęsieniu ziemi, a uczeni zapewnijają, że minie parę stuleci, zanim doczekamy się kolejnego o sile dziewięciu stopni, więc ceny znowu poszybowały w górę.

- Nasz jest w złym stanie. Nie sądzę, żeby był wiele wart.

- Stał pusty przez lata, ale nie trzeba wiele, by go odnowić. Cieszę się, że ktoś w nim wreszcie zamieszkał. Kiedy zobaczyłem parę tygodni temu, jak się wprowadzacie, zrobiło mi się miło, że nareszcie osiedli się w nim jakaś rodzina.

- Dwa tygodnie temu? Mieszkamy tu dłużej. Brwi pana Bendera zjeżdżają w dół.

- Naturalnie. Tak, z pewnością masz rację. Tracę poczucie czasu — odpowiada.

Ale wyczuwam, że mi nie wierzy. Może nie chce się spierać. Ja też nie.

- Zrobi pan zdjęcie? Wskazuję *Sosnowego węża*.

- Jeszcze nie teraz. Muszę zaczekać, aż słońce będzie nieco niżej. A przy odrobinie szczęścia zdołam przywabić kilka ptaków, żeby przy nim pozowały. Współczesna wariacja na temat jagnięcia i lwa.

- Ma pan ptaki?

- Chodź, to ci pokażę. Tędy.

Wspina się po zboczu w stronę zarośniętego ogrodu. Pokruszone kamienne płyty tworzą krętą ścieżkę wśród kęp lawendy, niestrzyżonego bukszpanu i koronkowych parasoli anyżu. Po krótkiej chwili otwiera się przed nami okrągła, trawiasta przestrzeń z ławką z bali pośrodku. Pan Bender siada i wyciąga spod siedzenia niewielką, nakrytą miskę. Nabiera czegoś na dłoń. - Siadaj - mówi.

Tak robię.

Wyciąga rękę i natychmiast ze wszystkich stron rozbrzmiewa ćwierkanie.

- Nie ruszaj się - ostrzega.

Niewielki, szary ptaszek śmiga nad jego dłonią, lecz nie próbuje ziarna. Następny nadlatuje, zawisa w powietrzu i znika podobnie jak pierwszy. Pan Bender tkwi nieruchomo. Podlatuje jeszcze jeden ptak, trzepocze skrzydłami i siada mu na nadgarstku. Dziobie ziarno, po czym znika. Mgnienie później jeszcze dwa lądują na dłoni mężczyzny i żarłocznie pochłaniają karmę, są odważniejsze od pozostałych. Patrząc z hipnotyzowaną na ich doskonale maleńkie dzioby, szponiaste, kremowe łapki, szare pióra rozpościerające się niczym piękne, jedwabne wachlarze. Wyciągam rękę, by któregoś dotknąć, lecz odskakują oba.

- Musisz być cierpliwa. Proszę, spróbuj - mówi. Podaje mi pojemnik z ziarnem, wysypuję je na dłoń.

Wysuwam rękę i czekam. Ptaki poćwierkują w pobliskiej jakarandzie, lecz nie ruszają się z miejsca. Trzymam wyciągniętą dłoń. Czekamy w milczeniu. Staram się nie poruszać. Jestem cierpliwa. Nie przylatują.

- Może się najadły - zauważa pan Bender. - Przyjdź, kiedy zechcesz, Jenno, i spróbuj jeszcze raz.

Dziwi mnie to. Kiedy zechcę? Malujące się na twarzach emocje, które po moim obudzeniu zlały się ze sobą, zaczynają tworzyć wzory. Najwięcej wyrażają

oczy. Powieki bezgłośnie nadają kształt słowom. Wystarczy drobna zmiana położenia i mówią coś zupełnie innego. Przypominam sobie wczorajszy wyraz na twarzy Lily. Ból. A dzisiaj, teraz, na twarzy pana Bendera - prawda. Rzeczywiście chce, żebym wróciła. Jakim sposobem oczy mogą wyrażać tak wiele? To kolejna rzecz, która wydaje mi się ciekawa.

- Dobrze - odpowiadam.

Wstaje i rzuca parę ostatnich ziaren między krzewy bukszpanu. Rozlega się kakofonia świergotów. Ptaki nie były najedzone.

- Muszę wracać do pracy, Jenno, ale naprawdę bardzo dziękuję, że wpadłaś.

Ruszamy z powrotem ścieżką, lecz na skraju ogrodu pan Bender przystaje i pociera kark.

- Uważaj podczas spacerów. Mieliliśmy tu parę incydentów. Wybite szyby. Znikające zwierzęta. I inne sytuacje. Większość mieszkańców jest raczej przyjazna, ale po niektórych, no cóż, nie wiadomo, czego się spodziewać.

- A panu wiadomo?

- Powiedzmy, że w necie można znaleźć wszystko, a ja postawiłem sobie za punkt honoru poznać sąsiadów.

Spogląda w przestrzeń, na biały dom na końcu naszej uliczki.

- Dziękuję. Poświęcam wiele uwagi słowu „ostrożność”.



# Znana

---

Mam przyjaciela. To zmienia wszystko. Może nie jest to normalny przyjaciel dla siedemnastolatki, ale przecież i ja nie jestem normalna. Chwilowo normalność nie znaczy dla mnie wiele.

Nie wiem, czy kiedyś przypomnę sobie Jenę. W każdym razie tę Jenę, którą byłam. Ojciec chyba myśli, że tak. Matka rozpaczliwie tego pragnie. Ale mnie podoba się myśl, żeby porzucić to, co dawne, i zbudować coś nowego, mojego własnego. Chcę więcej tego uczucia.

Uśmiecham się i nawet nie muszę pamiętać, żeby unieść kąciki ust. To się dzieje samo. Pan Bender jest ciekawy. Ja też. Nie jestem zgubiona. Nie jestem już dłużej nikomu nieznana. Pan Bender mnie zna.

Wracając przez jego ogród, widzę nasz dom. Wchodzę do zagajnika eukaliptusowego, gdzie staw przegradza ziemna tama i splecione, powykręcane korzenie drzew. Staję na pierwszym kamieniu wystającym z płynącego wolno strumienia, lecz w tej samej chwili coś przyciąga mój wzrok. Srebrne migotanie. To lśni woda. Razi moje oczy. Oślepia. Wciąga.

Moja stopa ześlizguje się z kamienia do wody. Słyszę jakiś hałas.

Krzyk.

Czuję, jak upadam, ale nie widzę gdzie. Świat wiruje. Moje usta się otwierają. Krzyki. Moje ręce mlóć wokół. Zalewa mnie woda.

Nos. Usta. Ciemność. Hausty powietrza. Ból w piersi.

Staw jest wszędzie.

- Baba!

Czuję skały wrzynające się w moje kolana. Lśnienie. Błyski. Snopy mętnego światła. Ciągące się jak w syropie dźwięki. W dół, w dół. Pochłania mnie mokra czerń, lśniące pęcherzyki powietrza uciekają w górę.

- Jenna!

Czyjeś dłonie chwytają mnie za nadgarstki; czyjeś ręce potrząsają moimi ramionami.

- Jenna!

Widzę Lily zagładającą mi w twarz. Lily stawiającą mnie na nogi.

- Jenna! O co chodzi?! Co się stało? Jenna! Jenna! Staw jest nieruchomy. Moje ubranie jest suche. Jedno kolano rozcięte. Pojawia się kropelka wodnistej krwi. -Ja...

- Dobrze się czujesz? - Źrenice Lily przypominają łebki od szpilek. Jej głos przeszywa mnie na wylot.

- Chyba tak.

Nie jestem pewna, co się stało. Wszystko zdawało się inne. Staw był olbrzymi, a ja mała. Myślałam, że mnie pochłonie. Nic nie widziałam.

Myślałam, że tonę.

## Przypominanie

---

Matka ruchem dłoni przerywa połączenie z Ojcem i wchodzi do kuchni, gdzie siedzę. Piętnaście minut rozmawiała z nim sam na sam o drobnej rance na moim kolanie. Próbowwała nakłonić Lily do jego opatrzenia, ale Lily się wykręciła, mówiąc, że nie zajmuje się medycyną od piętnastu lat, a taką medycyną nie zajmowała się nigdy.

- Powiedział, że wszystko powinno być w porządku - mówi Matka. - Powinno się zagoić jak każde inne rozcięcie.

- Niezupełnie - mruczy Lily, siadając na krześle naprzeciw mnie.

Matka wybucha.

- Przecież ci mówiłam, Jenno! Mówiłam! Powiedziałam, żebyś nie wychodziła z domu!

- Ale wyszłam.

Matka osuwa się na krzesło. Pociera skroń.

- Co się stało? - pyta łagodniej.

- Przechodziłam przez strumień. Stałam na pierwszym kamieniu. I wtedy...

- Próbuję sobie dokładnie przypomnieć, co było dalej.

- Co wtedy? - głos Matki drży z napięcia. Pamiętam. Więcej.

- Czy ja się mało nie utopiłam?

- Strumyk ma tylko kilkanaście centymetrów... Lily jej przerywa.

- Tak. Dawno temu. Miała niespełna dwa lata.

- Ale przecież nie może pamiętać...

- Pamiętam.

Pamiętam. Patrzę na Matkę i Lily, obie z identycznym wyrazem twarzy, jakby całe powietrze uszło im z płuc.

- Pamiętam ptaki. Białe ptaki. Pamiętam, jak spadałam. Długo. I krzyczałam, i woda wlała mi się do ust...

Lily odsuwa krzesło; wstaje.

- Poszłyśmy nad zatokę. Wypuściłam rękę Jenny tylko na sekundę, tylko żeby wyjąć pieniądze z portmonetki i zapłacić za lody. Kiedy się obejrzałam, była już na skraju nabrzeża. Biegła tak szybko. I mewy. Przy nabrzeżu latały mewy, a ona się nie zatrzymała. Była tak pochłonięta ptakami, że nie słyszała mojego krzyku. Zobaczyłam, jak spada, i rzuciłam się na pomoc. Już była pod wodą, kiedy po nią skoczyłam.

Lily mówi o mnie, jakbym była kimś innym. Jakby nie było mnie w pokoju.

- Kupiłaś mi lody drugi raz. Tydzień później, kiedy poszłyśmy tam znowu. Były...

- ..wiśniowe.

Matka zaczyna szlochać. Gwałtownie odsuwa krzesło i podchodzi do mnie. Jej ręce obejmują mnie za ramiona, całuje mój policzek, moje włosy.

- Przypominasz sobie, Jenno. Zupełnie tak, jak mówił ojciec. To dopiero początek.

Przypominanie.

Więc jednak Jenna Fox jest we mnie. Właśnie kiedy byłam gotowa ruszać dalej bez niej, wynurza się na powierzchnię. „Nie zapominaj o mnie” — szepcze.

Chyba mi na to nie pozwoli.

## Goście

---

Kara. I Locke.

Przychodzą do mnie. Matka i Ojciec mają rację. Fragmenty. Okruchy. Więcej. Wracają. Okruchy szybują przez noc. Budzą mnie twarze. Siadam na łóżku, rozpalona, przerażona.

Miałam przyjaciół. Karę i Locke'a. Ale nie pamiętam kiedy. Ani gdzie. W szkole? W sąsiedztwie? Nie pamiętam, dokąd chodziliśmy ani co robiliśmy. Ale widzę ich twarze. Mające tuż przede mną, bez tchu.

Znałam ich. Znałam jak samą siebie. Gdzie są teraz?

Siadam na łóżku, w ciemności, nasłuchując nocnych poskrzypywań domu, starając się przywołać coś więcej niż ich twarze, starając się ich umieścić w pokojach, przy biurkach, wśród głosów, które mi przypomną coś jeszcze. Ale widzę tylko twarze, blisko, tuż przed oczyma. Unoszą się przede mną, jakby odnalazły mój trop.

Powiedzcie. Powiedzcie, kim jesteście.

Powiedzcie, kim jestem.

## Wyczucie czasu

---

Lily otwiera drzwi garażu. Długo nieużywane, zgrzytają i dygoczą, wreszcie podnoszą się hałaśliwie. W mrocznej jaskini, wciśnięty między stosy pudeł, tkwi stary różowy hybrydowiec.

- Wycofam go i będziesz mogła wsiąść - jej głos jest ostry. - I nie mów matce. Dostanę po uszach, jeśli odkryje, że cię zabrałam w publiczne miejsce.

- Wolalabym zostać w domu.

- Też bym wolala. Ale mam sprawę do załatwienia, a nie będę ryzykować, że znowu wyruszysz szukać przygód.

- Nie wyruszyłabym... „Szukać przygód”?

Lily chrząka. Wciska się między pudła i wyprowadza wóz, a wtedy siadam obok niej.

- Pojedziemy linią T? Hamuje.

- Pamiętasz linię T?

Irytują mnie nieustanne pytania, co pamiętam. Trudno to komuś wyjaśnić. Czy pamiętam, jak jechałam gdzieś linią T? Jak musiałam nią gdzieś pilnie pojechać? Jak nią jechałam z kimś, kto był dla mnie ważny? Nie. Czy pamiętam, jak

linia T wygląda i do czego służy? Tak. Odpowiadam najlepiej, jak potrafię. Wzruszam ramionami.

- Cóż, nie jesteśmy w Bostonie i tutaj nie ma linii T. Autobus zaś nie kursuje tam, gdzie muszę się dostać, więc całą drogę jedziemy samochodem. Jakies zastrzeżenia?

Nie odpowiadam.

Lily wrzuca bieg i wóz rusza gwałtownie; mijamy domy przy naszej uliczce. Jest ich tylko pięć. Pozostałe to nie domki wiejskie cotswold. Każdy jest inny. Ten zaraz obok jest w stylu Tudorów, dalej spory budynek Old Mission, rozłożysty Craftsman i wreszcie biały dom, który pan Bender skojarzył ze słowem „ostrożnie”. Masywny okaz w stylu georgiańskim, z wysokimi, białymi kolumnami przy wejściu. Bawi mnie, że znam się na architekturze. Ale gabinet Matki na pewno jest zapchany odpowiednimi książkami. Może dawna Jenna je czytała.

Pan Bender powiedział, że domy w tej okolicy kosztują fortunę. Wierzę mu, kiedy na nie patrzę. My mamy nadal kamienicę w Bostonie, która z pewnością też kosztuje fortunę.

- Czy Matka i Ojciec są bogaci? — pytam.

- Dziwaczne pytanie.

- Ja jestem dziwaczna. Nie pamiętasz?

- Tak. Dość obrzydliwie.

- Bogaci, tak?

- Przecież mówię.

- Zarobili na remontowaniu starych domów? Lily się śmieje.

- A więc to Ojciec. Lekarze zarabiają tak dużo?

- Nie.

Widzę, że się waha. Samochód stoi na jałowym biegu przed znakiem stopu. Lily wzdycha, jakby mnie zamierzała obdarować czymś cennym, za co powinienam być jej wdzięczna.

- Założył własną firmę biotechnologiczną i sprzedał ją cztery lata temu. Wtedy się dorobił. Wynalazł biożel. To była rewolucja w transplantologii. Zamiast ledwie przez parę godzin, organy można teraz przechowywać w nieskończoność, aż się znajdzie właściwy biorca. Pokazywali go w telewizji, to była głośna sprawa. Coś jeszcze?

- Skoro sprzedał firmę, to gdzie teraz pracuje?

- Tam gdzie dawniej.

Nie rozumiem, ale Lily nie wyjaśnia nic więcej, a ja nie mam sił dalej wyciągać z niej informacji. Zmieniam temat i wskazuję gestem uliczkę, z której dopiero co wyjechałyśmy.

- Znasz sąsiadów? - pytam.

- Jeszcze nie - odpowiada. I znowu nic nie dodaje. Wiem, że wolałaby jechać w ciszy. Ale chyba się tego nie doczeka.

- Mieszkacie tu od ponad roku. Czemu ich nie poznałaś?

- Dlaczego sądzisz, że jesteśmy tu tak długo?

- Matka powiedziała, że wprowadziliśmy się, bo...

- Mieszkamy tu od dwóch i pół tygodnia.



- Niemożliwe - protestuję. - To prawie dokładnie tyle czasu, ile jestem przytomna. Przenieśliście się tutaj jednego dnia, a następnego się ocknęłam? Jaka była szansa...

Nie mówię nic więcej. Lily też nie. Przypominam sobie uwagę pana Bendera, że mieszkamy tu od dwóch tygodni. Miał rację. Skąd Matka i Ojciec wiedzieli? Skoro spędziłam ponad rok w śpiączce, jak mogli przewidzieć dokładnie, kiedy się ocknę, a następnie przeprowadzić się do Kalifornii dokładnie w tym terminie? Czy to tylko zbieg okoliczności? A może zdecydowali, kiedy się obudzę? Czemu przetrzymywaliby mnie w śpiączce tak długo? Po co mieliby mi kraść półtora roku życia? Co z nich za rodzice?

Ostrożnie, Jenno.

Mylłam się. Lily może się rozkoszować ciszą.

## Porozumienie

---

Nigdy nie pytałam o wypadek.

Coś mnie przed tym powstrzymywało.

Może blask w oczach Matki.

Może wymuszony uśmiech Ojca.

Może coś głęboko w moim wnętrzu, czego wciąż jeszcze nie potrafię nazwać.

Wypadek.

To jak tytuł. Znak stopu. Ściana. Oddziela mnie, jaką byłam, ode mnie, jaką się stanę.

Nie potrafię zapytać, a oni sami z siebie nie mówią.

Milczące porozumienie.

Może jedyna rzecz, co do której kiedykolwiek się zgodzaliśmy.

## Wewnątrz

---

- Jesteśmy na miejscu.

Głos Lily brzmi łagodnie. Inaczej. Krajobraz, który chciałam sobie utrwalić w pamięci, przewinał się do tyłu i teraz siedzę na parkingu, choć nie pamiętam, żebyśmy na niego wjeżdżały.

- Jenno.

Znowu ten głos. Łagodny ton, który z trudem rozpoznaję. Jak długo jechałyśmy? Jak długo gapiałam się w okno, nic nie widząc? Niczym ostre zęby wbijające się w skórę przeszywa mnie świadomość, jak wielu rzeczy muszę się jeszcze dowiedzieć. Moje palce zaciskają się na fotelu. Potrzebuję słowa. „Ciekawa”. „Zagubiona”. „Zła”. Którego z nich? „Chora”? O to chodziło? Szukam słowa, ale go nie ma.

- Jenno.

„Przestraszona”. Łagodność w głosie Lily pozwoliła mu się wynurzyć na powierzchnię. Jestem przestraszona.

Obracam głowę i spoglądam jej w twarz, dziwiąc się zmianie, jaka w niej zaszła.

- Dlaczego mnie nienawidzisz? - pytam.

Nie odpowiada. Przygląda mi się uważnie. Jej pierś się unosi; lekko przechyla głowę.

- Nie nienawidzę cię, Jenno — mówi w końcu. - Po prostu nie mam dla ciebie miejsca.

Surowe słowa, ale w jej głosie brzmi czułość i ta sprzeczność jest niczym brutalne przypomnienie, że brak mi czegoś niezbędnego do życia. Wiem, że dawna Jenna Fox by zrozumiała. Ale i tak ton Lily mnie uspokaja. Kiwam głową, jakbym wiedziała, co o tym myśleć.

- Wejdz ze mną do środka - prosi łagodnie i zbiera pakunki z tylnego siedzenia. Ruszam za nią przez pusty, zwirowany parking.

Jak się zdaje, naszym celem jest wysoki, bielony budynek, oślepiająco jaskrawy na tle zimnego błękitu nieba. Oczy bołą mnie od blasku.

- Co to jest? — pytam.

- Misja. San Luis Rey. Od lat kontaktowałam się z księdzem Rico. Nareszcie mamy się spotkać.

Wchodzimy przez ciężkie, drewniane drzwi w długim, białym murze. Prowadzą na cienisty, ogrodzony cmentarz.

- Tędy - mówi Lily, jakby była tu wcześniej i знаła drogę. Patrzę na przywiezione kwiaty, listy i wypchane zwierzątka leżące na mogiłach oraz nagrobkach; na krótką chwilę ogarnia mnie zazdrość o te wyrazy pamięci. Zauważam grób z 1823 roku; cyfry niemal zatarł czas. Ponad dwieście lat i wciąż ktoś pamięta.

Zastanawiam się, skąd Lily zna księdza ze starej misji leżącej tak daleko od Bostonu. Dochodzimy do krańca cmentarza, do zamykającego go wyższego muru kościoła. Lily otwiera kolejne wielkie, drewniane drzwi; tym razem wślizgujemy się w chłodną ciemność i słodki zapach palonych świec, stęchlizny i starości. Moje oczy przyzwyczajają się do półmroku; dostrzegam malowany sufit, a potem złoconą ukrzyżowaną postać. Chrystus. Tak, Chrystus. Pamiętam. Lily przykłęka przed ołtarzem i żegna się, dotykając dłonią czoła, serca, a potem obu ramion ruchem tak szybkim i naturalnym, że prawie niezauważalnym. Tego nie pamiętam.

Przystaję i przyglądam się złoconej figurze. Mój wzrok biegnie ku ołtarzowi, a potem ku chrzcielnicy. Powinno się we mnie zbudzić jakieś uczucie. Domaga się tego już samo to pomieszczenie, lecz nic nie czuję. Zamykam oczy. Natychmiast pochłania mnie scena rozgrywająca się pod moimi powiekami; czuję na czole zimne krople wody. Majaczy nade mną pozbawiona zmarszczek, znacznie młodsza twarz Lily, a potem oblicze jakiegoś uśmiechniętego mężczyzny. Bierze mnie na ręce i całuje w policzek. Widzę przed sobą własną dłoń, małą jak motyl, dłoń dziecka. Otwieram oczy. Mój chrzest. Pamiętam go. Jak to możliwe?

Lily jest po przeciwnej stronie kościoła, czeka przy kolejnych drzwiach, aż do niej podejde.

- Czy dziadek miał czarne włosy? - pytam.

- Owszem — odpowiada. - Zapewne widziałaś go na nagraniach wideo. Umarł, kiedy miałaś dwa lata.

Nigdy go nie widziałam na wideo.

- Na co umarł?

- Zaraził się gronkowcem podczas epidemii. Wiele razy ostrzegano, że coś podobnego może się zdarzyć, i w końcu się zdarzyło. Pochłonęła jego i dwadzieścia milionów ludzi.

- I to tylko w tym kraju - dodaje.

Brwi Lily się unoszą. Pierwszy raz ma okazję się przekonać, jakiego rodzaju fakty postanowił przechować mój mózg. Jej palce zaciskają się na metalowej klamce.

- Większość antybiotyków była już wtedy bezużyteczna - dodaje. - W którymś momencie zrobiliśmy olbrzymi krok wstecz. W czasach mojego dzieciństwa istniało tylko kilka szczepionek; teraz mamy szczepionki niemal na wszystko, bo manipulacje genetyczne zagnały nas w ślepią uliczkę. I to ma być postęp? - Patrzy na mnie, a zmarszczka między jej brwiami pogłębia się coraz bardziej. - Ludzie czasem kompletnie nie zdają sobie sprawy, że posunęli się za daleko.

Otwiera drzwi; podłogę przecina smuga światła.

- To dlatego przestałaś być lekarką? Zatrzymuje się i odwraca.

- Bo nie mogłaś go uratować? - dodaje. Jestem tylko ciekawa, ale widzę, jak Lily zmienia się w mgnieniu oka. Jeśli wcześniej czuła rozgoryczenie, teraz stanowi wcielenie chłodu i wściekłości.

- A to już nie twoja sprawa - odpowiada.

- Teraz obowiązują przepisy - mówię.

Jeden kącik ust Lily unosi się do góry. To nie uśmiech.

- Owszem. Obowiązują. Całe ustawy przegłosowane przez Kongres. Naukowiec nie może kichnąć, żeby ktoś nie powołał komisji śledczej. Niektórych nawet wsadzają za kratki. Tym też nabili ci głowę?

- Nie.

- Tak myślałam. Pewnie woleli, abyś nie wiedziała o takich rzeczach. Kłopot w tym, że niektórym się wydaje, iż stoją ponad prawem. Istnieje mnóstwo dobrych powodów, dla których mamy tyle przepisów.

- Na przykład?

Wydaje się niemal rozbawiona moim wyzywającym tonem, być może zaskoczona, że w ogóle ośmielam się wypytywać. Patrząc, jak się prostuje, staje się wyższa od Lily, którą znalazłam; jakby gotowa zmierzyć się ze mną i tuzinem innych, gdyby było trzeba.

- Manipulowanie genami kukurydzy, by ją uodpornić na szkodniki, sprawiło, że oryginalny gatunek zniknął z powierzchni ziemi. Przepisy nic tu już nie pomogą - ciągnie, przeszywając mnie wzrokiem. - A taki drobiazg jak nadużywanie antybiotyków doprowadził do powstania szczepu bakterii do tego stopnia zjadliwego, że zabił mojego męża i jedną czwartą populacji świata. Więc nic...

- A ty?

Widzę, jak próbuje przede mną ukryć, że zabrnęła w ślepy zaułek.

- Co ja?

- Stałaś ponad prawem? Gdy byłaś lekarką... Czy kiedykolwiek...

- Tak. - Widzę, jak jej rysy tracą surowość. -I muszę z tym żyć każdego dnia. -  
Odwraca się do wyjścia.

- Lily - mówię, chcąc ją zatrzymać. - Czy dziadek... Czy ty... Czy ja zostałam  
ochrzczona?

- Kiedy miała dwa tygodnie - odpowiada w progu. - Byliśmy jej rodzicami  
chrzestnymi.

Wychodzi, nie oglądając się, czy za nią idę.

Ksiądz Rico i Lily siedzą w cieniu pieprzowca i wymieniają się opowieściami.  
Zostałyśmy już oprowadzone po pozostałościach stareńkiego misyjnego ogro-  
du, gdzie oboje z przejęciem oglądali powykręcane korzenie, chwasty i coś jak  
anemiczne drzewka pomarańczowe z maleńkimi, bladymi owocami. Ksiądz  
Rico oznajmił z dumą, że to najlepsza szkółka ogrodnicza w Kalifornii, lecz dla  
obojga największym skarbem są ocalale nasiona i DNA.

Ich głosy przybierają na sile; przez rozległy dziedziniec dolatują mnie poje-  
dyncze słowa.

- Czyste.

- Nieskażone.

- Oryginalne nasiona.

- Nietknięte DNA.

Gdybym wyteżyła słuch, usłyszałabym wszystko, ale w gruncie rzeczy nie po-  
trzebuję więcej szczegółów, niż już poznałam z ust księdza Rico. Oboje z Lily  
są członkami Światowej Organizacji Ochrony Nasion, grupy zajmującej się

uprawą naturalnych gatunków roślin. Najwyraźniej z powodu bioinżynierii i zapylania krzyżowego ocalało ich niewiele. Jak się wydaje, wiatr nie wybiera, jakiego rodzaju pyłek ze sobą porywa. Modyfikowany genetycznie jest przenoszony równie łatwo jak naturalny i opada na wszystkie tradycyjne rośliny na swojej drodze. Teraz lepiej rozumiem znaczenie szklarni Lily. Jak się zdaje, Lily i ksiądz Rico uważają modyfikowane rośliny za bombę zegarową niewiele się różniącą od epidemii gronkowca. Ich klub miłośników nasion postanowił uratować świat. Zbawcy. Lily już raz mnie ocaliła. Ciekawe, jak często o tym myśli.

Lily zerka na mnie w regularnych odstępach czasu, by się upewnić, czy nigdzie nie powędrowałam i z nikim nie rozmawiam. Niekiedy ktoś przecina dziedziniec, przeważnie inni księża, ale milczę. Lily mi kazała. „Twoja matka by sobie tego życzyła” - powiedziała.

Widzę, jak przez plac idzie chłopak nieco wyższy od księdza Rico. Zbliży się do nich. Ręce ma brudne, odgarnia przedramieniem długie pasma ciemnych włosów wpadające mu do oczu. Jest... przystojny. To chyba właściwe słowo. Mówi coś do księdza, kiwa głową, a potem zerka w moją stronę. Widzę twarz Lily. Zauważyła i wyprostowała się na ławce, gotowa wstać. Myślę, że chłopak chce do mnie podejść; odwracam wzrok, aby go zniechęcić. Skutkuje. Chłopak zamienia jeszcze parę słów z księdzem Rico i wraca tam, skąd przyszedł, a mnie nagle ogarnia złość na siebie, że gorliwie starałam się zadowolić Lily i Matkę. Więcej się to nie powtórzy.

## Idź do swojego pokoju

---



Matka przy kuchennym stole popija sok pomarańczowy, przeglądając listę zadań na dzisiaj. Lily trze ser do miski z jajkami. Ja popijam pozbawione smaku odżywki. Jednym haustem pochłaniam ostatnią porcję i pytam:

- Czy byłam fanką historii?

Matka prawie nie odrywa wzroku od listy.

- Kim?

Postanawiam przeformułować pytanie pana Bendera.

- Czy lubiłam historię? Czy to był mój ulubiony przedmiot?

Matka uśmiecha się, wraca do swojej listy i wprowadza kilka poprawek.

- Raczej nie - odpowiada. - Obawiam się, że z historii. .. a skoro o tym mowa, to i z matematyki... potrzebowałaś korepetycji.

Znowu daje się pochłonać planowaniu. Korepetycje? Musiałam mieć świetnego nauczyciela.

Odsuwam pustą szklanekę i oznajmiam:

- Dzisiaj idę do szkoły.

Matka upuszcza ołówek i wytrzeszcza na mnie oczy. Lily przerywa ucieranie jajek.

- Rozumiem, że nie zaliczyłam tego roku, kiedy leżałam w śpiączce, więc muszę go dokończyć, tak?

Matka nadal milczy. Usta ma otwarte i leciutko kręci głową, jakby moje słowa obijały się w jej wnętrzu. Z jakiegoś powodu mnie to śmieszy.

- Na piechotę można stąd dojść do dwóch szkół społecznych... sprawdziłam w informatorze w necie... a w odległości paru minut samochodem znajduje się Akademia Centralna.

- Nie wolno ci prowadzić! - wyrywa się Matce, potem dodaje spokojniej: - Szkoła nie wchodzi w grę. Nadal jesteś rekonwalescentką...

- Czuję się dobrze... Matka wstaje.

- Powiedziałam, szkoła nie wchodzi w grę. Kropka. Waham się, ale potem także podnoszę się z miejsca.

- A ja mówię, że tak.

Szok sprawia, że Matka zamiera niczym marmurowy posąg. Milczymy obie. W końcu spuszcza wzrok. Siada znowu. Bierze ołówek. Spokojna, gładka, wytrenowana; Matka, która - najprawdopodobniej - wie wcześniej ode mnie, jak się to skończy.

- Idź do swojego pokoju, Jenno. Musisz odpocząć. Idź. Natychmiast.

Gotuję się ze złości. Jestem oburzona. Wściekła. Słowa. Nareszcie napływają wzburzonym strumieniem, kiedy ich potrzebuję.

Ale wola... słabnie. Matka mówi, że mam iść do pokoju. Idź do swojego pokoju, Jenno. Idź do swojego pokoju. Idę.

Mój gniew rośnie dwukrotnie, stukrotnie, przesłania mi wzrok niczym czarna chmura. Prawie nie widzę, jak kolejne kroki przybliżają mnie do pokoju. „Idź do swojego pokoju, Jenno”. I idę. Idę. Siadam na ostatnim stopniu; kołyszę się cicho w tył i w przód. W jakim świecie się obudziłam? Co to za koszmar? Cemu muszę robić, co mi każe Matka, nawet jeśli rozpaczliwie chcę się sprzeciwić? Kołyszę się w mrocznej przestrzeni na podeście, czując, jakbym wróciła w mil-

czącą pustkę, gdzie nikt nie słyszy mojego głosu. Jeśli Jenna Fox była tchórzem o słabej woli, nie chcę nią być wcale. Obejmuję się ramionami, próbując się odciąć od świata. Słyszę ostry głos. To Matka. Jest rozzłoszczona. Na mnie? Zrobiłam, co kazała. Nachylam się bliżej poręczy i nasłuchuję. W głosie Lily także brzmi złość.

- Kiedy przyznasz, że popełniłaś błąd?

- Przestań! Właśnie ty powinnaś mnie rozumieć! Gdyby nie in vitro, nie byłoby mnie na świecie. Zawsze mnie nazywałaś swoim cudem. Dlaczego ja nie mogę mieć swojego? Dlaczego to ty masz decydować, kiedy cuda się skończą?

- To nie jest naturalne.

- Ja też nie byłam! Trzeba ci było pomóc. Mnie też nie chodziło o nic więcej...

Słyszę dziwny dźwięk. Szloch?

- Claire...

- Proszę - odzywa się Matka. Mówi teraz cicho. Niemal szeptem.

- Claire, nie wolno ci jej ukrywać przed światem. Ona chce żyć. Czy nie o to w tym wszystkim chodziło?

- To nie takie proste. To może być niebezpieczne.

- Przechodzenie przez ulicę też może być niebezpieczne, a tysiące ludzi robią to codziennie.

- Nie chodzi o nią. Trzeba myśleć o innych.

- Ach, tak. O innych.

W głosie Lily słyhać drwinę. Matka milczy. Zdaje się, że rozmowa skończona. Dobiega mnie brzęk naczyń, a potem szurnięcie krzesła. Cisza oplata dom niczym mocno naciągnięta sznurówka, wreszcie po chwili słyszę zgrzyt drugiego krzesła i westchnienie, gdy Lily opada na swoje miejsce.

- Wiesz, że mnie jest obojętne, jak postąpisz. Ja się pożegnałam półtora roku temu. Jeśli o mnie chodzi, możesz ją odesłać do Bostonu, ale widzę tę sytuację, podjęłaś decyzję. Słuszną czy nie, słowo się rzekło. Teraz musisz zrobić następny krok. Jesteś jej matką czy strażnikiem?

Dolatuje mnie zdławiony dźwięk, a potem ledwie słyszalne:

- Nie wiem.

Zapada cisza. Żadnego brzęku naczyń. Żadnego szurania krzesel. Żadnych głosów. Żadnych perswazji. Matka jest wyczerpana. Lily tak samo. Lily, ostatnia osoba, którą bym podejrzewała o to, że się za mną wstawi. Bo przynajmniej wydaje mi się, że się za mną wstawiła. Niemniej byłaby równie szczęśliwa, gdybym się znajdowała pięć tysięcy kilometrów stąd w Bostonie. Może nawet szczęśliwsza. Nic nie rozumiem. Wiem tylko, że nie pójdę do szkoły. Claire tak zdecydowała.

Claire.

Teraz pamiętam.

Nie nazywałam jej Matką. Nazywałam ją Claire. Jestem pewna. Kończę wspinaczkę po schodach. Idę do swojego pokoju. Claire mi kazała. Chyba jej nienawidzę.

# Jenna Fox/ Rok dziesiąty

---

Znam znaczenie, ale sprawdzam dla pewności.

Nienawidzić czas. *1. Odczuwać skrajną awersję lub wrogość. 2. Odczuwać żywiołową odrazę. 3. Odczuwać silną niechęć.*

Istnieją lepsze słowa na określenie moich uczuć do Matki. Na przykład „irytować”.

Co do Lily jednak, to myślę, że nie miała racji. Ale to ona mnie nienawidzi. Jej awersja jest skrajna. Wytrąca mnie z równowagi ciągłymi spojrzeniami z ukosa. Przez cztery dni wypowiedziała do mnie nie więcej niż cztery słowa, lecz ponieważ od rana do nocy przesiaduje w szklarni, łatwo może mnie unikać. Nasze światy przecinają się na krótko jedynie rankiem, kiedy wszystkie trzy zasiadamy przy kuchennym stole, i wieczorem, gdy tam wracamy. Tkwiłam w swoim pokoju, oglądając dyski. Matka mnie o to poprosiła. Jej rozpaczliwe pragnienie, bym stała się na powrót taka jak dawniej, przybrało na sile. Wydaje się, że w miarę jak dom odzyskuje blask - robotnicy pojawiają się, znikają i odnawiają - chciała by widzieć poprawę następującą w takim samym tempie we mnie. Naprawione gonty. Naprawione podłogi. Naprawiona Jenna.

Nie chcę naprawy. Chcę żyć. Teraz. Chcę zrobić następny krok. Tak powiedziała Lily. Co za ironia losu, że to jej słowa uznałam za własne.

Ale oglądam dyski.

Ponieważ Matka mi kazała.

Jestem w połowie *Jenny Fox/Roku dziesiątego*. Widzę śliczną dziewczynkę. Jedwabiste, jasne włosy związane w koński ogon tańczą jej na plecach. Oglądałam ją już podczas lekcji pływania, kolejnego występu baletowego, ćwiczącą na pianinie, a teraz patrzę, jak biega po boisku i kopie piłkę. Jest niemożliwie zajęta. Jej dni są tak wypełnione, że ledwie za nią nadążam; całkowite przeciwieństwo Jenny o pustym życiu, jaką jestem teraz.

Podaje piłkę do koleżanki z drużyny, ta zaś trafia do bramki. Słyszę trąbienie rogu. W powietrze unoszą się okrzyki i zaciśnięte triumfalnie pięści. Kumple z drużyny obejmują się i podnoszą z ziemi, a Jenna znajduje się w centrum tego wszystkiego. Słyszę Ojca i Matkę, niewidocznych za kamerą, jak wiwatują i w końcu wołają mnie do siebie. Biegnę do nich. Przyjmuję gratulacje. Uśmiecham się. Odrzucam głowę do tyłu, żeby krzyknąć do koleżanki, i pierwszy raz coś zauważam. Cienką czerwoną kreskę tuż pod brodą.

- Pauza - rzucam gwałtownie. - Cofnij. Pauza. - Odtwarzacz wykonuje polecenia. Przyglądam się dokładniej nieruchomemu obrazowi. - Zbliżenie. — Cienka czerwona kreska okazuje się tym, co podejrzewałam. Blizną.

Podchodzę do lustra w łazience i odchylam głowę. Przesuwam po gardle czubkami palców. Macam. Szukam. Nie ma żadnej blizny.

Od nakręcenia wideo minęło siedem lat. Czy blizny znikają w ciągu siedmiu lat?

## Spojrzenie

---

Od mojego przebudzenia upłynęło dwadzieścia pięć dni.

Osiem, odkąd pojechałam do misji. Sześć, odkąd robotnicy położyli nowy chodnik. Pięć dni, odkąd wymienili kanalizację. Trzy, odkąd ostatni raz widziałam przez okno pana Bendera.

Trzy dni deszczu; 4287 zimnych koralików wody, które uderzyły o moje szyby.

Przecież jestem świetna z matematyki.

Bez przyjaciół i napiętego grafiku, które by mi wypełniły czas, moim głównym źródłem rozrywki stało się śledzenie upływu czasu i liczenie. Patrzenie, jak na szybie formują się strumyczki deszczu, awansowało na bliską, drugą, pozycję.

Luty w Kalifornii jest zimny. Nie tak zimny jak w Bostonie. Nie ma porównania. W raporcie internetowym podano, że temperatura spadła do zaledwie dwunastu stopni. „Ojoj” - zadrwiła Lily. Temperatura zmienia się bardzo niewiele. Nuda rządzi na wszystkich poziomach. Deszcz to miła odmiana. Patrzyłam, jak staw przybiera i burzy się strumień. Przyciskam dłoń do szyby i wyobrażam sobie krople na swojej skórze; wyobrażam sobie, gdzie powstały, co z nimi będzie; wczuwam się w nie jak w rzekę, rozpędzone, zlewające się ze sobą, stające się czymś więcej, niż były w chwili powstania.

Wiele czasu spędzam w necie. Pan Bender powiedział, że nie ma rzeczy, której nie dałoby się z niego dowiedzieć o sąsiadach. Ponieważ jest jedynym znanym mi sąsiadem, dowiaduję się różnych rzeczy o nim. Jest sławny. Jest odлюдkiem. Nie ma żadnych jego zdjęć ani filmów. Niewiele osób poznało go osobiście. Artysta oryginał. I tak dalej.

Wstukuję nazwisko Jenna Fox. Liczba trafień mnie przytłacza. Są ich całe tysiące. Którą z nich jestem? Wylączę net i uświadamiam sobie, że nie znam nawet swojego drugiego imienia. Zbyt wiele zabiegów pochłaniają starania, by stać się tym, kim jestem; wciąż muszę wypytywać innych o rzeczy, które powinnam wiedzieć od dawna. Leżę na łóżku, gapiąc się w sufit. Pewnie całe godziny.

Myśli powracają, zlewają się i rozgałęziają w kolejne. Ptaki pana Bendera i moje niedotykane dłonie... ..kropla wodnistej krwi na moim kolanie... ..chrzest, który pamiętam... ..i goście.

Wczoraj w nocy miałam gości. Kara i Locke odwiedzili mnie znowu. Zaczęli mną potrząsać w najgłębszym śnie. „Jenna, Jenna”. Otworzyłam oczy, ale ich głosy dalej rozbrzmiewały mi w uszach. Słyszę je nawet teraz. „Pośpiesz się, Jenna. Chodź. Pośpiesz się”.

Dokąd mam się pośpieszyć?

Widzę nas na trawniku; wspomnienie jest tak żywe, że wciąż czuję zapach świeżo przystrzyżonej trawy. Siedzimy u stóp pomnika Jerzego Waszyngtona, przytuleni, by się schować przed słońcem, z nogami wyciągniętymi przed siebie w długim popołudniowym cieniu. Uciekliśmy z seminarium z socjologii i Kara wypełnia każdą chwilę nerwową paplaniną, a kiedy się śmieje, jej czarne włosy ścięte na pazia tańczą nad ramionami niczym spódnica. Locke wciąż powtarza, że powinniśmy wracać. „Nie! - protestuję równocześnie z Karą. - Już za późno. Za późno”. A potem wszyscy troje śmiejemy się znowu, rozbawieni, wspierając się w buncie.

Nie czujemy się z nim dobrze. Zawsze przestrzegamy reguł. To dla nas nowość, czerpiemy odwagę od siebie nawzajem. Nachylam się i całuję Locke'a. Mocno, w same usta. Zaczynamy się śmiać jeszcze głośniejsze, aż smarki lecą nam



z nosa. Kara powtarza mój wyczyn i teraz zaśmiewamy się tak bardzo, że dosłownie tarzamy się po trawie. Boli mnie to wspomnienie.

Zsuwam się z łóżka na podłogę i opieram o ścianę, jak tamtego dnia w Bostonie. Miałam przyjaciół. Bliskich przyjaciół.

## Krzywa

---

Kiedy wchodzę do kuchni, Matka siedzi przy netbooku. Rozmawia z Ojcem. Przez ostatnich parę dni zamieniłam z nią niewiele więcej słów niż z Lily. Jest zajęta i odległa. Lily w spiżarni grzechocze pudełkami.

- Dzień dobry - mówi Matka i wraca do dyskusji.
- Jenna! - woła Ojciec.
- Dzień dobry, Ojciec - witam się.
- Chodź tu, aniołku.

Staję za Matką i wychylam się z za jej ramienia, żeby mógł mnie zobaczyć.

- Dobrze wyglądasz - zauważa. - Jak się czujesz?
- W porządku.
- Żadnych pogorszeń? Bólu? Nietypowych objawów?
- Nie.
- To dobrze. To dobrze - powtarza to samo po raz trzeci; wyczuwam, że stara się zyskać na czasie.

- Coś nie tak? - pytam.

- Nie. Skąd. Ale zdaje się, że matka chce z tobą porozmawiać, więc nie będę wam przeszkadzał. Pogadamy jutro. - Wyłącza się.

Rozmowa. Matka przeraża mnie swoją kontrolą i pewnością. Nie chcę rozmawiać, ale jestem przekonana, że rozmowa się odbędzie. Claire wydaje rozkaz i tak się dzieje.

- Usiądź - mówi. Siadam.

Ze spiżarni wychodzi Lily i opiera się o blat kuchenny, nagle wcale nie zajęta. Matka wygląda, jakby chciała zwymiotować wczorajszą kolację.

- Jutro zaczynasz szkołę - oświadcza. - To tylko miejscowa szkoła społeczna. Jest najbliżej, więc możesz chodzić piechotą w te dni, kiedy mają zajęcia. Główny nacisk kładą na badania ekosystemów, ale na to nic nie poradzę. Na razie będzie ci musiała wystarczyć. Inne szkoły są zbyt daleko, zbyt zatłoczone i zbyt... no cóż, wymagają zbyt wielu dokumentów, których w tej chwili nie możemy dostarczyć. Już cię zapisałam i czekają na ciebie. Chyba że zmieniłaś zdanie.

Po długiej pauzie uświadamiam sobie, że ostatnie zdanie było pytaniem.

- Nie - odpowiadam. - Nie zmieniłam zdania.

Wciąż przetrawiam sytuację, próbując sobie przyswoić wszystko, czym Matka mnie zniecka uraczyła. Szkoła? Jutro? Myślałam, że to nie wchodzi w grę. Jak to się stało? Przerywam analizę nagłej zmiany stanowiska i wreszcie patrzę na nią uważniej.

Jej oczy przypominają ścięte lodem kałuże. Ręce spoczywają na kolanach, bezwładnie zwrócone wnętrzem do góry. Równy strumień słów ustał; wygląda na wyczerpaną wysiłkiem.

- Zadowolona? - pyta.

Kiwam głową. To jakiś podstęp? Wcale tego nie chce. Co naprawdę próbuje osiągnąć?

- Tak. Dziękuję - mówię.

Przytula mnie do siebie, czuję na szyi jej nierówny oddech. Ściska mnie mocno i myślę, że nie rozluźni uścisku, lecz w tej chwili odsuwa mnie, trzymając za ramiona, i się uśmiecha. Bezwładne ręce nabierają z powrotem siły, oczy mrużają i z głębokim westchnieniem odzyskuje tę nieskończoną kontrolę, w której jest cała ona.

- Zaraz mam spotkanie z cieślami, ale po południu dłużej porozmawiamy. - Waha się długą chwilę, po czym dodaje: - Przestało padać. Może wyjdiesz na spacer?

Twarz ma bladą. Spacer też?

Nie potrafię wykrztusić słowa. Nie mogę wymazać z pamięci złoconej figury rozpiętej na ścianie w kościele Lily. Matka krwawi serdeczną krwią.

- Dziękuję - powtarzam i ruszam do drzwi, lecz przed wyjściem z kuchni zauważam, jak Lily zamyka oczy nad kuchennym zlewem i muska dłonią czoło, serce, a potem jedno i drugie ramię.

# Prośba

---

Słyszę szlochanie.

A potem *Zdrowaś Mario*.

Słyszę mamrotane modlitwy. Targowanie się.

Jezu. Jezu. Jezu.

Błagania i jęki.

W najciemniejszym miejscu, które wciąż do mnie powraca.

I po raz pierwszy poznaję głos.

To Lily.

# Spacer

---

W kilka sekund znajduję się za drzwiami. Idę do szkoły. Jutro. Szybko maszeruję ścieżką. A jeśli Matka zmieni zdanie? Zerkam przez ramię, by się upewnić, że mnie nie śledzi. Wolność. Jest rześka i bezkresna jak otwarte niebo. W tej samej chwili jednak przypominam sobie bladą twarz Matki. Jej ostrożną decyzję. Ruszam szybciej. Dystans jest moim wybawieniem. Uciekam ze swojego zamkniętego świata w inny, którego jeszcze nie znam.

Oni.

Matka powiedziała, że to może być niebezpieczne. Dla nich. Obawia się, że im zrobię krzywdę? Kolegom z klasy? Nigdy bym ich nie skrzywdziła. Ale może dawna Jenna - tak. Czy skrzywdziłam Karę i Locke'a? Czy dlatego nie są już moimi przyjaciółmi?

Jest pan Bender. On się liczy jako przyjaciel. Odwiedzę go.

Strumień wezbrał i nie mogę przejść z naszego ogrodu do jego, więc ruszam naokoło uliczkami. Nie znam adresu i nie wiem, jak jego dom wygląda od frontu, ale wiem, że jak nasz jest ostatni w szeregu.

Chociaż deszcz ustał, rynsztoki nadal przypominają niewielkie rzeczki. Aby zejść na ulicę, muszę przeskoczyć nad jedną z nich. Ruszam środkiem drogi. Powietrze pachnie wilgotną ziemią i eukaliptusem. Jutro o tej porze będę w szkole. Nawiążę nowe przyjaźnie. Będę miała własne życie. Życie Jenny Fox. Jakikolwiek się okaże, będzie moje.

Dom naszych sąsiadów, masywny budynek w stylu Tudorów, jest ciemny i cichy. Tak samo następny. Ale w pobliżu rozłożystego Craftsmana dostrzegam ruch. Mały, biały psiak warczy na mnie przez pręty bramy. Przystaję, żeby mu się przyjrzeć. Jakaś kobieta woła do mnie, więc obracam głowę w stronę głównego podjazdu, gdzie zamiata śmieci pozostałe po burzy.

- Przepraszam - mówi. - Jemu się zdaje, że jest psem obronnym. Nie bój się. Tylko szczeka. Nie skrzywdziłby pchły.

Kiwam głową. Ani przez chwilę nie sądziłam, że zrobiłby mi krzywdę. To pies. Psy szczekają. Powinnam się wystraszyć? Czy tak robią wszyscy sąsiedzi? Ostrzegają przed różnymi rzeczami? Tak jak pan Bender ostrzegał przed białym

domem na końcu naszej uliczki? Czy to tylko nic nieznaczący drobiazg, jeden z wielu, które poplątały się w mojej głowie? Czy to mnie czegoś brakuje? Czy może im?

Kobieta unosi dłoń, trzyma ją tak chwilę, a później macha. Potem się uśmiecha.

- Wszystko w porządku? - pyta.

- A z panią? - odpowiadam pytaniem. Może ja też powinnam się troszczyć o sąsiadów? Raptownie wraca do zamykania, więc odchodzę.

Mimo że jest ranek, niebo pozostało ciemne od chmur i w kolejnym domu palą się światła. W tym białym. Kiedy podchodzę bliżej, przez duże okno nad wejściem widzę zapalony żyrandol. Kolejne światła prześwitują poprzez zaciągnięte zasłony w innych oknach. Kolumny z obu stron drzwi są popękane, przez całą ich wysokość biegną szpary, niektórych kawałków betonu brakuje. Wyobrażam sobie, że odpadły podczas ostatniego trzęsienia ziemi i nie zostały naprawione, lecz mimo to dom wygląda na bardzo zadbane. Bardziej niż nasz. Nie jest to przerażający budynek, w każdym razie nie z zewnątrz. Otwierają się frontowe drzwi i zostaję przyłapana. Próbuję podjąć spacer, zanim ktoś mnie zauważy, ale jest za późno. Ciemna sylwetka sięga po jakiś papier leżący na ganku, potem jednak zamiera i prostuje się, nic nie podnosząc. Wychodzi na zewnątrz. To chłopak. Wysoki i przystojny jak tamten, którego widziałam na misi, ale włosy ma tak białe, jak tamten miał ciemne. Są krótkie i rozczochrane, gęstwa kosmyków sterczących we wszystkie strony.

- Cześć! - woła. Głos też ma przyjemny.

- Cześć.

- Nowa w sąsiedztwie?

- Tak.

- Witamy. Jestem Dane. - Uśmiecha się. Nawet z ulicy widzę, jakie białe ma zęby.

- Cześć - powtarzam.

Chcę odejść, ale stopy jakby przyrosły do ziemi. Chłopak jest nagi do pasa, a spodnie od piżamy wiszą niebezpiecznie nisko. Podciąga je i wzrusza ramionami. Czyżbym się gapiała?

- Lepiej już sobie pójdę - mówi. - Miło było cię poznać.

- Cześć, Dane - odpowiadam; moje stopy cudownym sposobem zostają uwolnione i ruszam przed siebie.

Zdumiewające, że kiedy nasze życie zawiera niewiele wydarzeń, najzwyklejsze spotkanie przeradza się w całą trzyaktową sztukę. Odtwarzam je w pamięci raz po raz, kontynuując wędrówkę do domu pana Bendera. Dane. Biał dom. Biała piżama. Białe zęby. Nie było w tym nic przerażającego, pomijając fakt, że stałam jak przykuta pośrodku ulicy.

Maska

Nietrudno znaleźć jego dom. W lewo. W lewo. W lewo. Najwyżej dziesięć-minutowy spacer. Jest zdziwiony, ale zaprasza mnie do środka.

- Kawy?

- Nie wolno mi pić. To znaczy, nie piję kawy - odpowiadam.

Pan Bender dodaje śmietanki do swojej i miesza. Proponuje mi sok, mleko, bajgle i muffiny. Odmawiam wszystkiego.

- Jestem na specjalnej diecie - wyjaśniam.

- Alergia?

- Nie, po prostu specjalna dieta.

Kiwa głową. To skinienie mówiące: „tak, rozumiem”. Co wie? Powiedział, że nie ma takiej rzeczy o sąsiadach, której nie można by znaleźć w necie. Czy znalazł coś na mój temat?

- Zrobił pan zdjęcia sosnowego węża? - pytam.

- Owszem. Kilkanaście. Próbuję wybrać najlepsze, żeby je wysłać agentowi.

- Udało się jakieś z ptakami?

- Kilka. Ale parę wyszło naprawdę niezwykłych. Miałem szczęście.

- Mogę zobaczyć?

- Zdjęcia?

- Nie, ptaki.

Nasze stopy wydają świszczący dźwięk na mokrej od deszczu ziemi. Ścieżkę do ogrodu znaczą kałuże. Pan Bender przekracza je długimi krokami, ja wchodzę do wody.

- Nie wiem, ile się pojawi - mówi - z powodu burzy i tak dalej.

Wystarczy mi jeden.

Siadamy na ławce z bali. Miał rację. Nie ma ich wiele. Zaledwie dwa, pozostałe wciąż kryją się po burzy. Ale te dwa, które przylatują, siadają na ręce tylko jemu.



Po dwudziestu minutach wysypuje karmę i wracamy do domu. Nalewa sobie kolejną kawę, a ja przeglądam fotografie sosnowego węża.

- Nie martw się, Jenno.

Dlaczego sądzi, że się martwię? I właściwie czemu powinno mieć znaczenie, czy mały brązowy ptak wylądował na mojej dłoni? Czemu pan Bender sądzi, że mi na tym zależy?

- Niektóre rzeczy wymagają czasu - pociesza. Zbyt wiele rzeczy wymaga czasu. A już straciłam go za wiele. Dla mnie półtora roku znaczy tyle co całe życie.

- Nie mam czasu do stracenia - odpowiadam. Śmieje się.

- Jasne, że tak. Skończyłaś dopiero siedemnaście lat. Mnóstwo czasu przed tobą.

Odkładam zdjęcia na stół.

Nigdy mu nie mówiłam, że mam siedemnaście lat.

- Gdzie pan to znalazł, panie Bender? - pytam. -W necie? Zaliczam się do tych, o których wyszukuje pan informacje?

Znowu dolewa sobie kawy do kubka.

- Owszem.

Nie jest skruszony.

- Nie wstyd panu tak węszyć?

- To nie węszenie. Muszę wiedzieć, kto mieszka w sąsiedztwie.

Może i tak. Może ja też powinnam.

- Coś więc panu wyznam - mówię. - Nie jest pan jedynym wścibinosem. Ja też sprawdziłam parę rzeczy i dowiedziałam się co nieco o panu.

- Tak? - Jego brwi wyginają się w łuk; siada naprzeciw.

- Przeszedł pan operację, panie Bender? Czy po prostu ma pan doskonale geny?

- W jakim sensie?

- Wygląda pan na mniej więcej czterdzieści pięć lat. Najwyżej pięćdziesiąt.

Nie odpowiada.

- Lecz artysta Clayton Bender urodził się osiemdziesiąt cztery lata temu. Albo trzyma się pan doskonale jak na swój wiek, albo...?

- Spodziewasz się, że ci to wyjaśnię?

- Nie. Już się domyśliłam, że nie może pan nim być. Nikt nie ma aż tak dobrych genów. Po prostu nie wiem, kim pan jest naprawdę. Może seryjnym zabójcą?

Uśmiecha się.

- Masz bujną wyobraźnię. Zapewniam, że to nic równie dramatycznego. - Upija długi łyk z kubka. - Lecz na tyle poważnego, że powinno zostać tajemnicą. Wie o tym tylko kilka osób. Przede wszystkim mój agent. Pomaga mi tworzyć wizerunek artysty-dziwaka, by trzymać ludzi na dystans. Masz rację. Nie jestem Claytonem Benderem, ale przybrałem jego nazwisko ponad trzydzieści lat temu.

- Pańskie własne nazwisko nie było wystarczająco dobre?

- Nazwisko tak. Ale życie, które mu towarzyszyło, nie.

- Gdzie jest prawdziwy pan Bender?

- Nie żyje.

- Zabił go pan? Śmieje się.

- Nie, Jenno, zapewniam, że odszedł w całkowicie naturalny sposób.

- Jak go pan poznał?

Wstaje, podchodzi do kuchennego zlewu i wylewa resztę kawy.

- Uciekłem z domu, mając szesnaście lat. Nie było innego wyjścia. - Zwraca się twarzą do mnie. - Wpadłem w towarzystwo ludzi, którzy mogli mi zrobić poważną krzywdę. Przyjaciół dał mi trochę pieniędzy i własny samochód, i tak się znalazłem na drugim końcu kraju, na progu pana Bendera. Był samotnikiem mieszkającym na pustyni i potrzebował robotnika, zatem ja pomogłem jemu, a on mnie, o nic nie pytając. Zostałem u niego trzy lata.

- A więc był artystą?

- W pewnym sensie. - Uśmiecha się i wzrusza ramionami, potem znowu siada obok mnie przy stole. - Utrzymywał się ze skromnego interesu w necie: ucierał i sprzedawał naturalne pigmenty artystom z całego świata. .. Przez resztę czasu włóczył się po pustyni, zbierając kamienie. Układał z nich niewysokie pomniki, gdy go naszło natchnienie. Nie rozumiałem tego, ale mu asystowałem. W jakiś dziwny sposób pomagało mi to nie myśleć. Może on też wznosił je w tym celu. Pewnego dnia ruszył przodem, żeby poszukać kamieni, a kiedy go dogoniłem, już nie żył. Nigdy się nie dowiedziałem, co to było. Atak serca czy wylew. Nie wiem. Pochowałem go i postawiłem nad nim jego własny pomnik. Oczekałem jeszcze rok, sądząc, że ktoś się zjawi. Rodzina, przyjaciele; że ktoś upomni się o

dom - nie pojawił się nikt. Tymczasem w dalszym ciągu układałem kamienie. Żyłem z pieniędzy, które odłożył, wiedziałem jednak, że to nie może trwać wiecznie. Aż pewnego dnia nareszcie do mnie dotarło: nie muszę się ukrywać do końca życia. Mogę zostać Claytonem Banderem. Miałem jego akt urodzenia i inne dokumenty, a jak się zdaje, nie znała go żywa dusza. Od tej pory nim jestem.

- A pańskie dawne życie? Nigdy pan za nim nie tęskni?

- Za niektórymi rzeczami. Najbardziej żałuję, że nigdy już nie spotkałem swoich rodziców.

- Ani najlepszego przyjaciela?

Wzrusza ramionami i odwraca wzrok, więc nie widzę jego oczu.

- Teraz znasz moją tajemnicę - mówi. – Dochowasz jej?

- Nie mam komu jej zdradzić. Ale nawet gdybym miała, nie powiedziałabym.

- To dobrze. Jesteś gotowa wyjawić mi swoje sekrety?

- Nie mam żadnych - stwierdzam. - A w każdym razie żadnych nie pamiętam.

Przychodzi mi do głowy, że pan Bender jest znacznie bystrzejszy ode mnie, jeśli chodzi o znajdowanie w necie informacji o Jennie Fox. Skoro wie, że mam siedemnaście lat, to co jeszcze odkrył? Tajemnice, których nawet ja nie znam? Ręce mi drżą. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby się tak zachowywały. Przyglądam się im uważnie.

- Jenno?

Składam dłonie razem, chcąc je unieruchomić. Pierwszy raz zauważam, że nie splatają się gładko. Czuję, jakbym miała dwanaście palców zamiast dziesięciu.

Układam je tak i siak, zaciskam coraz inaczej, ale wciąż jest mi niewygodnie. Czemu nie chcą się spleść?

- Jenno? Dobrze się czujesz? Moje ręce.

Chowam je pod uda, usuwam z widoku. Postawił sobie za punkt honoru wiedzieć. Patrzą na niego.

- Czego jeszcze dowiedział się pan o mnie, panie Bender?

- Chyba nie powinienem...

- Proszę.

- Czytałem, że zostałaś ranna w wypadku. Nikt nie sądził, że przeżyjesz.

Pokój wiruje, chwytam się stołu. Gorzej, czuję się, jakbym lada chwila miała zemdleć. Tak jakby wymówione na głos słowo „wypadek” było wyłącznikiem sprawiającym, że w moim wnętrzu zapada ciemność. Czy dlatego unikam go w rozmowach z Matką i Ojcem? Staram się skupić. „Znajdź własną drogę. Postaw to sobie za punkt honoru”.

- Jakiego rodzaju?

- Wypadek?

- Tak. To.

- Wypadek samochodowy.

Samochodowy? Czemu sądziłam, że chodzi o coś innego? Bardziej przerażającego? Każdego dnia zdarzają się tysiące wypadków samochodowych. To praktycznie rzecz powszechna. „Wypadek samochodowy”. Niemal mogę wymówić te słowa na głos. Ale nikt nie sądził, że przeżyję — a ja przeżyłam. To nie jest powszechne.

- Coś jeszcze?

- Artykuł mówił więcej o twoim ojcu. Każdy jego krok jest komentowany w gazetach, a ze względu na twój stan ojciec wziął urlop. Ponieważ byłaś nieletnia, wiele informacji utajniono, lecz „Boston Globe” zdołał ustalić, że zdaniem pielęgniarek twój stan był bardzo poważny. - Milknie. Przypomina sobie dalsze wiadomości czy planuje kłamstwo? Uważnie obserwuję jego oczy. Źrenice śmigają w lewo, a potem spoglądają znowu na mnie. - To mniej więcej wszystko, o czym pisali, Jenno.

Kłamstwo.

Czy pan Bender wie, że straciłam pamięć? Co jeszcze? Ale dziwne - wciąż najwyraźniej chce być moim przyjacielem, więc nie drażę dalej. Na razie.

- Zdałam? - pytam.

- Czy co zdałaś?

- Benderowski test na sąsiada. Uśmiecha się.

- Zdałaś w dniu, kiedy cię poznałem, Jenno. Ujęłaś mnie swoją uczciwością i śmiałością.

- Ujęłam pana? Nie pamiętam.

- Śmiałość, Jenno. Zbliżyłaś się do mnie bez wahania. Powiedziałaś, co sądzisz o mojej pracy. Wcale się nie bałaś.

Ale przecież ja się boję wszystkiego. Samej siebie. Matki. Lily. Przyjaciół nawiązujących mnie w nocy. Nawet pójścia do szkoły, przy czym sama się upierałam. Jeśli jest we mnie śmiałość, to ukryła się gdzieś głęboko, w miejscu, którego być może nigdy nie znajdę.

## Jenna Fox/ Rok dwunasty

---

Jenna na wybrzeżu. W rękach trzyma grabki. Wiatr zwiewa jej na twarz pasma włosów związanych w koński ogon. Uśmiecha się do kamery i mówi: „No chodź, Mamo, odłóż to i mi pomóż!”. Mając dwanaście lat, wciąż jeszcze nazywałam ją Mamą. Kiedy zaczęłam o niej mówić Claire? Nie pamiętam, ale czuję twardość tego słowa na wargach. Kamera drga, rozlega się donośny głos Claire. „Za minutkę. Pozwól mi nakręcić jeszcze trochę”.

Czy to był rodzinny wyjazd na wakacje? Wycieczka na plażę? Każdy aspekt życia Jenny został utrwalony. W polu widzenia pojawia się ojciec ze srebrnym wiaderkiem w ręce i macha mi nim przed nosem. „To wszystko moje - drażni się. - Ja nie zgłodnieję! Czego nie mogę powiedzieć o was dwóch”.

Jenna - dziewczynka, która jest mną - śmieje się i woła: „Nazbierał ze sto małży, Mamo! Odłóż kamerę, bo inaczej umrzemy z głodu!”. Jenna rzuca grabki na ziemię, kamera robi najazd na jej oblepione piaskiem stopy, a potem sunie w górę, jakby adorując każdy centymetr jej ciała. Na koniec zatrzymuje się na twarzy. Długo. Pieszczotliwie. Rejestruje. Co rejestruje? Entuzjazm? Rumiane policzki? Oczekiwanie? Każdy oddech, uderzenie serca, każdą nadzieję Matthew i Claire Foxów? Przez mgnienie dostrzegam brzemie tego wszystkiego na twarzy Jenny. Na mojej twarzy. „Mamo!” - mówi błagalnie Jenna. Kamera drga, zostaje wyłączona; pojawia się nowa scena, najazd na ognisko...

- Stop! - Odtwarzacz wykonuje polecenie.

Koc. Niebieski. Menażka.

Chyba wiem, co będzie dalej.

Przebiega mnie dreszcz. Wiem. Wyobrażam sobie tę scenę ze wszystkimi szczegółami. Jenna siedzi po turecku na niebieskim, kraciastym kocu rozłożonym na piasku. Kubek gorącej, parującej czekolady w moich rękach. Czekolada na gorąco z trzema pulchnymi piankami ślazowymi. Uwielbiałam czekoladę na gorąco. Smak! Jestem wstrząśnięta pierwszym wspomnieniem smaku. Jak mogłam zapomnieć? Kolejne fragmenty łączą się w całość. Jak gdyby ktoś otworzył okno i wspomnienia falą napłynęły do środka. Dni. Tygodnie. Trzy tygodnie szczegółów zbierają się, przepływając przez mój umysł, każdy zapamiętany i wyraźny.

Przysuwam się bliżej do monitora na biurku. Huczy mi w głowie. „Odtwarzaj” - rozkazuję. Kamera przesuwa się z ogniska na mnie. Siedzę na niebieskim kocu. Unoszę do ust kubek z czekoladą i prezentuję uśmiech z wąsami z czekoladowej piany.

„Stop”. Kładę głowę na biurku. Zamykam oczy i napawam się świadomością tego, co to oznacza.

Wiedziałam. Fragment mojego życia znowu należy do mnie.

Pelne trzy tygodnie. A wydaje się, jakby całe życie. Mrugam i otwieram oczy.

- Matko! - wołam. Wypadam ze swojego pokoju i zbiegam po schodach do kuchni. - Lily!

Nikt nie odpowiada. Widzę Matkę przez okno, rozmawia z robotnikiem i wskazuje szyby szklarni. Lily bez wątpienia znajduje się gdzieś w środku. Biegne



do spiżarni i wyszukuję składniki. Zdejmuję z półek kakao, a potem cukier. Pianki! Lily ma pianki ślazowe! Wsuwam paczkę pod pachę, po czym wysypuję wszystko na stół kuchenny. Mleko! Rondel! Pamiętam! Nalewam. Mieszam. Odgaduję, jak obsłużyć kuchenkę, której nie używałam nigdy wcześniej. Czuję się spełniona, silna, jak nigdy od chwili przebudzenia. Zrobię czekoladę na gorąco! Uwielbiam czekoladę na gorąco! Przetrzęsam szafki w poszukiwaniu kubka. Wyjmuję największy, jaki udało mi się znaleźć, wlewam do niego parujący płyn. Rozdzieram paczkę pianek i właśnie w chwili, kiedy je wrzucam do kubka, Lily i Matka stają w kuchennych drzwiach. Zatrzymują się, wytrzeszczają oczy na mnie i na bałagan, jakiego w pośpiechu narobiłam.

- Pamiętam! Uwielbiam czekoladę na gorąco!

Wznoszę toast na cześć nowego wspomnienia. Spodziewam się uśmiechu - przynajmniej na twarzy Matki - ale zamiast tego, kiedy podnoszę kubek do ust, jej rysy wykrzywia przerażenie i krzyczy: „Nie!”.

## Smak

---

Może nie lubię czekolady na gorąco.

I może trzy tygodnie wspomnień wcale nie są realne.

Może nie pamiętam wymykania się do szkolnej łazienki, żeby zrobić makijaż.

Ani wykonywania podwójnego piruetu i kończenia go z takim wdziękiem, jakbym naprawdę miała skrzydła.

Ani jak leżałam na sofie przytulona do złotego psa, którego nazywałam Hunter.

Czekolada na gorąco była pozbawiona smaku.

Tak samo jak moje odżywki.

Wiem, że można zapomnieć wiele rzeczy, ale smak?

Kiedy kubek wyslizgął mi się z rąk, Lily go złapała.

I prawie nic nie wylało się na podłogę.

## Szkoła

---

Jestem pewna, że to przez Claire. Wszystko. Czemu ciągle kwęka, ciągle się trzęsie? Czuje się winna? Rozplakała się, kiedy upuściłam kubek. Miałam ochotę ją uderzyć. To moje, do cholery. Moje. Ale i jej, jeśli wziąć pod uwagę wtrącanie się we wszystko. Jakby należał do niej każdy mój mankament. Może po prostu jestem jej własnością. Próbowала wyjaśniać. „To przejściowe. Smak ci wróci. Zresztą i tak nie powinnaś nic jeść”. Następną godzinę spędziłam zamknięta w łazience, oglądając swój język. Wygląda normalnie. Szorstki, różowy i mięsisty. Zepsuło się coś innego, w środku. Coś się we mnie rozłączyło. Nie ufam jej. Krąży nade mną, uśmiecha się, płacze i kontroluje. Za dużo tego wszystkiego. Muszę się od niej uwolnić.

Otwieram drzwi wozu. Claire otwiera drugie.

- Nie - protestuję. - Mam siedemnaście lat. Potrafię to zrobić sama.

- Ale Jenno...

W ciągu zaledwie kilku krótkich tygodni nauczyłam się uśmiechać. Uczę się też przejmować kontrolę.

- Claire - mówię, żeby ją zatrzymać na fotelu. Zamyka drzwi.

- Znowu to samo? - odpowiada, patrząc prosto przed siebie. Czuje się dotknięta. Wszystko we mnie zamiera. Szkoła, kontrola, nieufność i wątpliwości, wszystko traci znaczenie wobec wyrazu cierpienia na jej twarzy.

Słyszę słowa, słowa z odległej przeszłości, zaplątane w moim wnętrzu. „Przepraszam. Tak mi przykro”.

Słowa, które tkwiły uwięzione w mojej głowie i nie dały się wypowiedzieć, zatrzaśnięte za nieruchomymi wargami. Przez co chciałam je wymówić tym bardziej.

„Nic się nie stało, skarbie. Wszystko w porządku. Cśśś. Wszystko będzie dobrze”. Claire, która odpowiadała raz po raz, chociaż nawet się nie odezwałam, zaglądała w moje oczy, a na jej twarzy odbijał się cały ból, jaki w nich dostrzegła.

Wysiadam z wozu, nachylam się i patrzę na nią przez okno. Uśmiecha się z wysiłkiem. Jej spojrzenie czepia się mnie kurczowo. Tak mi przykro. Opuszcza szybę. Paplam o tuzinie zbędnych spraw - o rzeczach, które już omówiliśmy - jedynie po to, by jej zamknąć usta. Wezmę popołudniową porcję odżywek. Nie będę rozmawiała o wypadku. Będę czekać przed wejściem o trzeciej. Zadzwoń, gdybym jej potrzebowała. Obawiam się, że w ostatniej chwili zmieni zdanie, narzuci mi swoją wolę, jak to ma w zwyczaju, i zmusi, bym wsiadła do samochodu, jedynie wypowiadając moje imię. To tak, jakbyśmy ze sobą walczyły o władzę nad Jenna Fox.

- Dam sobie radę - oznajmiam na koniec. I dzięki Bogu - to cud! - Claire odjeżdża, nie mówiąc już ani słowa.

Odwracam się i patrzę na wiejską szkółkę społeczną. Szkoła. To tylko dawne biuro handlu nieruchomościami. Widzę nieaktualny szyld, zdjęty i oparty o mur, niemal ginący wśród wybujających chwastów. W oknach wiszą zakurzone rolety. Warstwa spłowiałej żółtej farby bez przekonania próbuje nadać budynkowi pozory schludności. Przypomina raczej dawny dom farmera. I może kiedyś tym był. Nacisk na ekosystemy? W Bostonie uczyłam się w centralnej akademii - Claire mi powiedziała, ale wiedziałam o tym, jeszcze zanim potwierdziła. Pamiętam, jak razem z Karą i Lockiem zwialiśmy z seminarium. Baliśmy się, liczyliśmy jednak, że nikt nie zauważy naszej nieobecności wśród setek uczniów w klasie. Nie wiem, jak wygląda szkoła społeczna, poza tym, że jest mała. O setki, może tysiące uczniów mniejsza od akademii. Przychodzą tutaj tylko parę razy w tygodniu. Co za ludzie wybierają małą, nędzną szkółkę, kiedy mogliby jak wszyscy uczęszczać do akademii? Jest inna pod każdym względem, ale ponieważ niezbyt wiele pamiętam z dawnych czasów, nie ma to dla mnie znaczenia. Czemu chciałam znowu chodzić do szkoły?

Wspinam się po schodach i wchodzę do środka.

## Dane

---

- Ty musisz być Jenna.

Pokój jest niewielki. Mogłabym niemal rozłożyć ręce i dotknąć obu ścian. Mieści się w nim biurko i rosła, otyła kobieta, która się do mnie uśmiecha. Zna już moje imię. Gapię się na jej szokująco pomarańczowe włosy.

Mam ochotę wyjść i przyznać rację Claire.

- Jesteś Jenna, tak?

- Tak - odpowiadam. — A kim pani jest?

- Mitch. - Nie wstaje, tylko wyciąga rękę. Ujmuję ją. Okazuje się pulchna i gorąca, zdumiewająco silna; mocno ściska moje palce. - Jestem facylitatorką, to znaczy zajmuję się tutaj prawie wszystkim.

- Oprócz pielienia chwastów?

Waha się moment, potem wybucha śmiechem.

- Będziesz tu doskonale pasowała, Jenno. — Sięga za siebie i podaje mi niewielkiego netbooka. - Wypełnij kwestionariusz i zaraz cię zaprowadzę do pozostałych.

Czuję ulgę, bo pytania są proste; dotyczą głównie moich zainteresowań oraz tego, co uważam za swoje mocne i słabe strony. Mocne strony? Łatwe. Nie chowam uraz. Nic dziwnego, skoro ich nie pamiętam. Słabości? Czy „zapominalstwo” byłoby niedopowiedzeniem? Szukam czegoś łatwiejszego w interpretacji. Mocna strona: fanka historii. Słabości: brak. Przy ostatnim pytaniu się waham: Dlaczego wybrałaś szkołę kładącą nacisk na ekosystemy?

Niczego nie wybierałam. Claire to zrobiła.

- Gotowe? - pyta Mitch. Prawie.

- Tak.

Zamykam i oddaję netbooka. Pamiętam już, czemu chciałam iść do szkoły. Potrzebowałam przyjaciół. Nie pytań. Tych mam dosyć.

- Świetnie, w takim razie chodźmy poznać pozostałych uczniów... i doktor Rae. Jest waszą główną nauczycielką. A tak naprawdę koordynatorką. Program w większości tworzycie samodzielnie i każdy z was odgrywa rolę nauczyciela-współpracownika. Ale doktor Rae wyjaśni ci wszystko sama.

Wsuwa netbooka do teczki z czterema innymi, wstaje i prowadzi mnie korytarzem; podłoga skrzypi pod jej ciężkimi krokami.

Otwiera ostatnie drzwi, wchodzę za nią do dużej, nowocześnie umeblowanej sali. Na jednym końcu stoją krzesła i trzy długie, biblioteczne stoły. Na drugim znajduje się pół tuzina stacji netu. Pośrodku, zajmując większą część przestrzeni, stoją dwie wytarte, skórzane kanapy i cztery leżaki. Zauważam, że materiał tych ostatnich pasuje kolorem do marchewkowych włosów Mitch. Siedzi na nich dwóch chłopaków i dziewczyna. Żadne z nich nie wygląda na doktor Rae.

- Gdzie Rae? - pyta Mitch.

- Konferuje - rzuca dziewczyna. Kobieta unosi brwi.

- Z panem Collinsem, jak mniemam?

Nikt nie odpowiada. Dochodzę do wniosku, że to nie było pytanie, bo Mitch wygląda na usatysfakcjonowaną i ciągnie:

- Przedstawiam wam Jenę. Dołączy do waszej grupy-

Siedzący tyłem do mnie chłopak wstaje, obraca się i wtedy go poznaję. To ten z misji, o pobrudzonych ziemią dłoniach i czarnych włosach.

- Ethan - mówi. Nie uśmiecha się ani nie podaje ręki, ale patrzy mi prosto w oczy.

Dziewczyna podnosi się z trudem. W każdej ręce trzyma ortopedyczne usztywnienie.

- Mam nadzieję, że niedługo się ich pozbędę - mówi. Wsuwa jedno pod ramię i wyciąga do mnie wolną rękę. - Jestem Allys. - Dłoń ma sztywną i chłodną.

Mitch odwraca się, nie czekając do końca prezentacji.

- Rae na pewno zaraz się zjawi. Pracujcie dalej - rzuca i wychodzi.

Drugi chłopak występuje naprzód, wyciera dłonie o dżinsy, a potem wsuwa je do kieszeni, najwyraźniej postanowiwszy, że nie poda mi ręki. Jest chudy i drobny.

- Jestem Gabriel. Cześć.

- Cześć - zwracam się do wszystkich. - Gdzie reszta klasy?

- To już wszyscy, babeczko. Witamy wśród świrów bez granic.

Oglądam się przez ramię. W wejściu stoi jeszcze jeden chłopak.

- Zamknij się, Dane.

Dane ignoruje Ethana i uśmiecha się do mnie.

- A więc to nasz najświeższy nabytek. Bardzo miły. Ethan wyjątkowo się nie pomylił: nie masz w sobie nic ze świra. - Ogląda mnie uważnie, jakby nie mógł się zdecydować. - Spotkaliśmy się już?

- Parę dni temu. Byłam przed...

- ...moim domem. Jasne. Pamiętam. Więc to ty jesteś Jenna Fox.

Nie przedstawiałam mu się. Czyżby Mitch...? Dane wymija mnie i opada na kanapę. Jest cały w uśmiechach. Wydaje się najszczęśliwszy w grupie.

- Jeśli chcesz, możesz położyć swoje rzeczy tutaj - odzywa się Allys, wskazując szafkę za stołami bibliotecznymi. Mam tylko niewielki chlebak zawierający fiolkę z odżywkami, ale mimo to niosę go na drugi koniec sali.

- Błąd! - krzyczy Dane. - Pomyliłem się. Jesteś taka jak my.

Odwracam się.

- Słucham?

- Twoje stopy.

- Daj spokój, Dane.

- Co? Mamy udawać, że nie chodzi dziwnie? W porządku, Allys. Ty masz wszystkie palce, a Ethan zniewalającą osobowość.

- Spadaj - burczy Ethan i rozwała się na leżaku.

Gabriel przemyka do kąta i siada przy terminalu netu; wygląda na małego i wdzięcznego, że Dane go przeoczył.

Allys z trudem wraca na swoje miejsce.

- Naucz się go ignorować, Jenna. My tak robimy. Czy chodzę dziwnie?

- Nic się nie stało - stwierdzam. - Miałam... - „Nie rozmawiaj o wypadku”. - ...byłam chora. Wkrótce dojdę do siebie.

- Tak właśnie mówimy wszyscy - odpowiada Dane. Do sali wpada doktor Rae.

- Tu jesteś, Jenno. Witamy! I właśnie się zapoznawaliście. Jak miło.

„Miło”.

Muszę jeszcze raz sprawdzić to słowo w słowniku.



# Ethan

---

Wypada moja kolej, aby „pokonferować” z Rae. Nie lubi, gdy ją nazywać panią doktor. Twierdzi, że wszyscy jesteśmy „kolegami w dążeniu do wiedzy”. Opowiada mi szczegóły ze swojego życia. Mówi, że jako jej koleżanka powinienam o niej wiedzieć tyle samo, ile ona o mnie. Ma czterdzieści osiem lat, więc jest starsza od Claire, ale wygląda jakiegoś dziesięć lat młodziej. Zastanawiam się, co tak postarzyło Claire. Rae opowiada, że przeprowadziła się tu z Ohio jako nastolatka. Przenosiny w tym wieku nie były łatwe.

- Czy przeprowadzka z Nowego Jorku była dla ciebie trudna? - pyta.

Nowy Jork. Racja. Matka kazała mi nie mówić, że pochodzimy z Bostonu. Dziennikarze ciągle prześladowają ojca, a ona pragnie ciszy i spokoju.

- Nie - odpowiadam. - Wszystko przespałam. Uśmiecha się.

- Wygląda na to, że jesteś elastyczna, Jenno... i masz poczucie humoru. Daleko dzięki temu zajdziesz.

Pozwalam jej myśleć, co chce.

Mówi, że przez trzy dni w tygodniu, kiedy się spotykamy, nauczyciele-współpracownicy wykładają podstawowe przedmioty. Wymagania stanowe zmodyfikowano, na ile się dało, aby uwzględniały nacisk na ekosystemy. Dzisiejszego ranka, podczas gdy my konferujemy, Ethan prowadzi z pozostałymi dyskusję na temat *Walden*. Podobno literatura to jego mocna strona. Gabriel jest nauczycielem-współpracownikiem w dziedzinie rozwiązywania problemów i lo-

giki. Allys wykląda przedmioty ścisłe i etykę. Dane nadzoruje poszukiwania w dziedzinie sztuki. Rae zajmuje się całą resztą.

- Czy byłabyś zainteresowana przewodzeniem nam w badaniach historycznych? Właśnie mieliśmy rozpocząć dyskusje na temat Wyspy Wielkanocnej i...

- Wyspa Wielkanocna została zasiedlona około roku trzechsetnego po Chrystusie przez Rapa Nui. Około tysięcznego rozpoczęła się wycinka drzew, wykorzystywanych przez wyspiarzy do transportu posągów moai. Deforestacja doprowadziła do erozji, która z kolei przyspieszyła gwałtowny spadek zalesienia wyspy. W początkach siedemnastego wieku kurczące się zasoby nie wystarczały już do wyżywienia populacji, wskutek czego kanibalizm...

Zauważam dziwny wyraz na twarzy Rae, więc milknę.

- Emm... tak, zdaje się, że istotnie znasz historię -mówi.

- Zapoznałam się też z *Walden*, gdyby Ethan potrzebował pomocy. - Więcej niż zapoznałam: potrafię go recytować słowo w słowo, ale o tym nie wspominałam. Sama jestem zaskoczona tą rewelacją. Do chwili kiedy Rae o nim wspomniała, nic nie pamiętałam na temat *Walden*. Najwyraźniej pasjonowałam się też literaturą.

- Rozumiem.

Spogląda znowu na mój kwestionariusz. Wiem, co powie, zanim jeszcze słowa padną z jej ust. „Słabości? Nie masz żadnych słabości?”. Przechodzę nad tym do porządku. Lecz nagle mnie to uderza. „Słabość. Proszę, Jenno. Potrzebujemy cię”. Czemu widzę twarze Kary i Locke'a? Niemożliwe, żeby byli moimi słabościami. Wydają się raczej mocnymi punktami.

- I żadnych słabości?

- Nie wpisałam ich.
- Chciałabyś się nimi ze mną podzielić? „Podzielić?”.

Boję się.

Jestem zagubiona.

Nie mam przyjaciół. Wciąż to samo. Dlaczego tak mnie to dręczy?

Nie mam przyjaciół.

O której słabości powinnam jej powiedzieć?

- Dziwnie chodzę - mówię i Rae to zadowala.

Poranne wspólne zajęcia trwają do jedenastej. Dwa razy koryguję opinie Ethana na temat *Walden*. Chcę się z nim zaprzyjaźnić. Przyjaciele pomagają sobie nawzajem.

Kiedy to robię drugi raz, podnosi głos.

- Jednak to odrzucenie materializmu i rewolucji przemysłowej było przyczyną jego przeprowadzki nad jezioro Walden i stanowi o sile całego...

- Nieprawda - przerywam. - Była to w równym stopniu podróż prywatna, jak publiczna. Poszukiwał samego siebie w nie mniejszym stopniu, co i składał deklarację polityczną.

- Ale...

- W ostatecznym podsumowaniu pisze: „Życie najbliższe swej istocie smakuje najlepiej”<sup>1</sup>. I rozwijając to, dodaje: „Zaproszono mnie do stołu, przy którym uniżona służba podawała obfite potrawy i nalewała w kielichy wina, lecz brakowało tam szczerości i prawdy, przeto odszedłem głodny z niegościnnego domu”.

- Ale co z...

- I oczywiście znacznie wcześniej oświadcza wprost: „Zamieszkałem w lesie, albowiem chciałem żyć świadomie (...), żyć pełnią życia i wysysać z niego całą kwintesencję (...), aby...”.

- Pojąłem - mruczy Ethan.

Dane, Allys i Gabriel gapią się na mnie. Ethan odwraca wzrok. Rae szybko kartkuje *Walden*, sunąc palcem po stronach. Na koniec ona także spogląda na mnie.

Dane wstaje.

- Jedyne, co ja i Thoreau mamy ze sobą wspólnego, to fakt, że obaj jesteśmy głodni - mówi. — Spadam stąd.

Rae patrzy na zegarek.

- Jedenasta. Słusznie, pora na przerwę. Dziękuję, Jenno. I tobie też, Ethanie.

Dane jest już za drzwiami. Rae zostaje odciągnięta przez Mitch i sprawy ważniejsze ode mnie.

---

<sup>1</sup> \* Wszystkie cytaty za: Henry David Thoreau, *Walden, czyli życie w lesie*, tłum. Haliny Cieplińskiej, PIW 1991.

Pozostali stoją skrepowani. Widzę, że zaburzyłam równowagę. Czy trzeba będzie uwzględnić w planach na przerwę tę nową dziewczynę, która dziwnie chodzi? Czy trzeba będzie na nowo określić granice? Zrobić miejsce komuś, kto pouczał Ethana, zamiast trzymać głębę na kłódkę? Czemu zauważam to dopiero teraz, gdy jest za późno?

- Przerwa trwa dwie godziny - objaśnia Allys. - To czas na jedzenie, pracę nad osobistymi projektami, konferencje. .. Rae uważa, że to ważne. Można robić, co się chce.

Gabriel pokazuje przez ramię.

- Zwykle idziemy do supermarketu po drugiej stronie ulicy i kupujemy coś do jedzenia. Każdy na własną rękę.

Na własną rękę. W porządku. Pojęłam.

Kiwam głową.

- Więc pewnie zostanę...

- Chcesz iść z nami? - pyta Ethan.

## Allys

---

Allys odpiną nogę i opiera ją o stół.

- W szkole nie powinnam ich zdejmować, ale ta ciągle mi dokucza. - Masuje kikut. Gabriel i Ethan nie przerywają jedzenia. Gapię się na obciętą kończynę, a potem na protezę.

- Przeszkadza ci to? - pyta. - Mogę przypiąć z powrotem. ..

- Nie. Po prostu mnie zaskoczyło. Nie wiedziałam. Byłaś ranna?

- Nie. Złapałam infekcję bakteryjną. Gorszą niż normalne. Zwykle antybiotyki nie podziałały, a zanim dostali zezwolenie na Antybiotyk Ograniczonego Dostępu, straciłam jedną nogę. Ściśle rzecz biorąc, właśnie tę. -Przesuwa palcami po kikucie i się krzywi. - Najtrudniej stracić pierwszą, jak mi się zdaje.

- Drugą też masz sztuczną?

- I obie ręce. Oraz uszkodzenia narządów wewnętrznych. Dlatego muszę brać całe mnóstwo leków. — Polyka garść tabletek i popija wodą.

Moje spojrzenie przeskakuje z kikuta na jej dłonie.

- Wyglądają tak...

- ..naturalnie?

Kiwam głową.

- Ciągle to słyszę. Zdumiewające, czego potrafią dokonać w dzisiejszych czasach. - Podciąga rękaw i widzę ledwie zauważalną linię, gdzie sztuczna skóra łączy się z prawdziwą. - Odtworzyli nawet oryginalne znamiona i piegi.

- Aha - potwierdza Gabriel z pełnymi ustami. - Na drugiej ręce ma całą kolekcję.

Ethan nic nie mówi. Przygląda mi się, jedząc.

- Jasne, ładna kosmetyka, ale ciągle mam bóle fantomowe. Minęło dopiero pół roku, więc liczę na to, że one też przejdą. Z jakiegoś powodu leczenie z wykorzystaniem biofeedbacku zadziałało w wypadku pozostałych, ale nie tej.

Przestaje rozcierać kikut i sięga po kanapkę. Przyglądam się, jak sztuczne palce zginają się delikatnie i dopasowują do kształtu kromki, jakby były prawdziwe. Wiedziałam o istnieniu protez, ale chyba pierwszy raz oglądam jedną z tak bliska. Skóra wydaje się równie prawdziwa, jak moja własna. Allys zerka na mnie, odwracam wzrok. Już zarobiłam krechę za wymądrzanie się kosztem Ethana. Nie chcę dostać kolejnej za gapienie się na Allys. Zaprosili mnie do swojego kółka. Chcę w nim zostać.

Rozsiadam się na krześle, usiłując wyglądać na odprężoną. Niewielka przestrzeń jadalna została wydzielona w jednym z rogów supermarketu. Mieści dwa małe stoliki, każdy z czterema krzesłami, stłoczone przy alejce z sokami. Gabriel i Allys jedzą gotowe kanapki z garmażerki. Ethan kupił jabłko, burrito z fasolą i serem oraz butelkę mleka. Chociaż sam mnie zaprosił, wygląda, jakby nie miał ochoty rozmawiać. Staram się trzymać buzię na klódkę, ale ponieważ nie jem, nie jest to łatwe.

- A co z Daneem? — pytam. — Zdawało mi się, że był głodny.

Gabriel uśmiecha się drwiąco.

- Dane z nami nie jada.

- Bo jesteśmy świrami? - dociekam.

- Mów za siebie! - prycha Ethan. Jego głos brzmi donośnie, słowa odkształcają powietrze między nami.

Nie wiem, co powiedzieć. Nie chciałam sugerować, że uważam go za świra. Powtórzyłam tylko słowa Dana, ale boję się to wyjaśnić Ethanowi. Mogłoby wyglądać, że go znowu pouczam. Z narastającym uczuciem ściskania w środku wyglądam przez okno. Rozplączę się? Czy chodzi o coś innego? Oczywiście mam suche, ale czuję, jakby coś chciało się wyrwać z mojego wnętrza. Skupiam się na

pustej szosie na zewnątrz. Spokojnie. Opanuj się. Zamknij gębę, Jenna. Zamknij gębę. Zamknij. Zamknij.

- Cóż, Dane miał z pewnością rację co do jednego - mówię, odwracając się od okna i patrząc Ethanowi w oczy.

- Czego niby? - pyta prowokująco.

- Naprawdę masz zniewalającą osobowość. Świetne wyczucie czasu, Jenna. To nie pora, żeby dawać dowody swojej śmiałości.

Gabriel przestaje żuć i oczy robią mu się okrągłe. Allys odkłada na bok kanapkę. Ethan siedzi ogłupiały, jakbym mu dała po twarzy. Napięcie trzyma nas niczym wstrząs elektryczny, a potem dzieje się coś dziwnego. Allys chichocze. Najpierw cicho pryca, potem zaczyna się zaśmiewać z głębi brzucha. Jej śmiech prowokuje Gabriela, policzki wydymają mu się powietrzem, a przy następnym oddechu Ethan i ja także wybuchamy śmiechem, nie potrafiąc dłużej utrzymać gniewnych grymasów. Z ust Gabriela sypią się kawałki jedzenia i wszyscy rechoczemy głośniejsz, aż na koniec Allys wykrztusza, trzymając się za brzuch: „Lubię cię, Jenna”.

Uspokajam się; raz po raz słyszę w myślach jej cichy głos, aż w końcu tylko siedzę, pławiąc się w uczuciu zadowolenia. „Lubię cię”. Tak powiedziała. „Lubię cię, Jenna”.

Oczy Ethana łagodnieją, czule skupione na mnie jak pierwszego dnia, kiedy go zobaczyłam w misji.

- Przepraszam - mówi. - Zachowałem się jak kutas. „Kutas”? Kolejne słowo, które zgubiłam. Musi znaczyć „irytujący” albo „małostkowy”.

- Nic nie zauważyłam - odpowiadam, wywołując jego kolejny chichot.



- Dane potrafi nam grać na nerwach - wyjaśnia.

- Szczególnie mnie. Przez większość czasu próbuję go ignorować.

- Różnimy się od innych - mówi Gabriel, jakby to było wielkie wyznanie. -

Ale to nie znaczy, że jesteśmy świrami.

- Dane ma dryg do słów - dodaje Allys.

Ethan pociąga wielki łyk mleka i wali butelką w stół niczym licytator młotkiem.

- Dane ma dryg do wszystkiego.

- W zeszłym tygodniu zadrapał kluczem wóz Ethana

- wyjaśnia Gabriel. - Nikt nie potrafi tego dowieść, ale w obecności Dana zawsze dzieją się dziwne rzeczy.

- Czegoś mu brakuje. To znaczy, naprawdę brakuje - mówi Allys.

Gabriel kręci głową.

- Nie jest do nas podobny.

- Nie jest podobny do nikogo - stwierdza Ethan. — Pewnie dlatego trafił do jednej szkoły z nami. W tym sensie jest normalny. Wszyscy mamy powody, aby chodzić do małej, alternatywnej szkoły. Myślę sobie, że Dana wywalili już ze wszystkich w promieniu tysiąca kilometrów.

- Co najmniej - potwierdza Gabriel.

Nie wiem, co powiedzieć. Wydaje się, jakby odreagowywali wszystkie frustracje związane z Dana em, ale mnie on się wydaje interesujący. Być może obsesywny, lecz coś w jego osobie mnie intryguje. Może szczerść? Jako jedyny zadał

sobie trud, by powiedzieć, że dziwnie chodzę. Czemu Claire tego nie zrobiła? I co właściwie znaczy: „dziwnie”?

Cieszę się, kiedy Allys zmienia temat rozmowy i zamiast o Danie zaczyna opowiadać o sobie.

- To nie taka znowu wielka tajemnica, czemu chodzę do tej szkoły. W dużym kampusie nie dałabym sobie rady, a do elastycznego planu zajęć łatwiej dopasować terapię. W akademii ciągle bym opuszczała lekcje. To jeden z powodów, dla których tu jestem. - Sięga po kanapkę i zabiera się z powrotem do jedzenia. - Poza tym bardziej mi się podoba program. Szczególnie po tym... - porusza wszystkimi czterema kończynami -najbardziej interesuje mnie bioetyka, a Rae pozwala mi się nią zajmować. A ty czemu chciałaś tu chodzić, Jenna?

- Trudno powiedzieć, że chciałam. Moja matka wybrała tę szkołę. Byłam chora i... - Nie wiem, jak skończyć. Wciąż robi mi się niedobrze i czuję niechęć przed wypowiedzeniem słowa „wypadek”. Czy Matka aż tak głęboko wbiła mi do głowy, by o nim nie wspominać? A może istnieje jakiś inny powód? Nie chcę jednak kłamać.

- Wypadek - mówię o wiele za głośno. - Miałam wypadek. Ciągle jeszcze dochodzę do siebie.

Wszyscy gapią się na mnie. Słowa wyrywają się z moich ust spazmatycznymi falami. Wspaniale, Jenno.

- Nie musisz opowiadać...

- A co najgorsze, wszystko zapomniałam. Nie pamiętam rodziców, przyjaciół, nie wiem, co lubię ani czego nienawidzę. Nie pamiętam nawet, po której stronie robiłam przedziałek... a może był na środku? I popatrzcie tylko - dodaję, wskazując swoje nogi - najwyraźniej nie pamiętam nawet, jak się chodzi!

- Wszystko w porządku...

- Została biała karta. Moje życie, moi rodzice, przyjaciele. Nie jestem pewna, czy w ogóle powinnam tu przychodzić. Nie pamiętam ani jednej ważnej rzeczy — wyrzucam na rozpaczliwym zdyszczanym finiszu, czując się, jakbym wyznała grzech i oczekiwała rozgrzeszenia. Ich rozgrzeszenia. Trojga przyjaciół. Czy są moimi przyjaciółmi?

Oczy Ethana przybierają odcień najżyczliwszego, najgłębszego, najbezpieczniejszego brązu, jaki może istnieć - jestem tego pewna. Czekam, by mnie rozgrzeszył za to, że nie pamiętam matki, która mnie urodziła; babki, która mnie ocaliła; przyjaciół, którzy buntowali się razem ze mną, oraz za dławiący lęk, którego nie potrafię nazwać.

- Jenna - mówi. Głos ma miękki jak trzepot wróble-go skrzydła, niemal czuję na policzku delikatne muśnięcie. - Prawisz, o pani, przeurocze... bzdury. - Nachyliła się blisko i szepcze: - „Jeden drobny deszczyk i trawa przybiera soczysty odcień głębokiej zieleni. Podobnie wraz z przyływem weselszych myśli...”.

Patrzy wyczekująco. Pochyliam się do niego. Patrzy na moje usta; pozwalam, by słowa potoczyły się z nich równie ciche, jak jego:

- ....rozjaśniają nam się perspektywy. Pędzilibyśmy szczęśliwy żywot, gdybyśmy zawsze żyli terażniejszością i cieszyli się wszystkim, co się nam przydarza...”.

Ethan wlewa w siebie resztę mleka.

- Dwie kwestie dowiedzione.

- Trzy - poprawiam. Unosi brwi.

- Znasz *Walden* znacznie lepiej, niż przyznajesz — mówię.

Wcale nie jest kutasem, stwierdzam w duchu.

## Fragmenty

---

Czy nie z nich składa się tak naprawdę całe życie?

Okruchy. Ułamki. Chwile.

Czy istnieję mniej, bo mam ich tylko kilka,

czy też tych kilka, które posiadam, nabiera

tym większego znaczenia?

Czy istnieję w takim samym stopniu jak inni?

Wystarczająco?

Fragmenty.

Allys mówiąca: „Lubię cię”.

Gabriel prychnący okruskami chleba,

wyzwalający mój śmiech.

I Ethan przypominający mi, jak wiele wiem.

Fragmenty.

Pilnuję ich, jakby były samym życiem. I prawie nim są.

# Dostrojenie

---

- Nie zapomnij, wróć do domu z Ethanem! - wołam w stronę kuchni. -  
Więc po mnie nie przyjeżdżaj.

Przechodzę korytarzem, zawracam i znowu pokonuję tę samą trasę, obserwując się w wielkim lustrze. Unoszę starannie stopy, ale wygląda to nienaturalnie. Może chodzi o ręce? Czy poruszam nimi właściwie? Wracam na koniec korytarza i próbuję znowu.

Claire odpowiada nie mnie, lecz Lily, na tyle głośno, że też słyszę:

- Słyszysz, mamó? Jenna wróci do domu z Ethanem. To brzmi prawie jak randka.

Uśmiecham się. Przez ostatnich parę dni Matka była radosna, niemal w stanie upojenia, że w szkole wszystko idzie dobrze. Może widzi, jak powraca moje dawne życie - i jej.

Wpatruję się w lustro. Myślę, że to kolana. Ruszam powoli, zmuszając je do płynnego ruchu. Lepiej. Idę do kuchni.

- To nie randka, Matko. Po prostu będę pracować z Ethanem w misji, póki nie wymyślę własnego projektu społecznościowego.

Matka przechyliła głowę i przewraca oczami.

- Ach. Jasne. Projekt społecznościowy. Przez ostatnie dwa dni widywałam tego Ethana, kiedy cię odbierałam. On...

- Claire! - krzyczy Lily. - Co w ciebie wstąpiło? Naprawdę uważasz, że rozsądnie ją do tego zachęcać? Randki? Przemyśl to dobrze!

Patrzę wściekła na Lily. Obie z Matką nareszcie prowadzimy coś na kształt rozmowy, więc musiała nam przerwać. Dlaczego jest taka irytująca? Taka małosłowna? Taka...

- Co za kutas z ciebie, Lily! - mówię do niej.

Matce opada szczeka; wygląda, jakby zapomniała, co chciała powiedzieć.

Lily milczy przez chwilę, a potem zgina się nad blatem.

Śmieje się? Czy ona się śmieje?

Obawiam się, że nigdy nie zrozumie ich dwóch.

## Jenna Fox/Rok czternasty

---

Ponieważ Lily zawiezie mnie do misji dopiero o dziesiątej, nadal wypełniam sobie poranek treningiem chodzenia. Liczę, że rozgryzę sprawę, zanim znowu zobaczę Ethana. Ćwiczę przed lustrem. Poruszam się wolno. Poruszam się szybko. Kolyszę biodrami, macham rękami, ruszam brodą. Sunę płynnie, ale wciąż czegoś brakuje. Widzę to teraz. Za bardzo się staram?

Postanawiam pooglądać wideo. Może się czegoś nauczę. Czy nie tak mówi Matka? Ze to coś wyzwoli? Może wyzwoli coś w moich rękach i nogach i znacznie chodzić jak wszyscy. Chcę być jak wszyscy. Widziałam, w jaki sposób patrzył na mnie Dane, zanim spostrzegł, jak niezgrabnie człapię przez salę. Podo- bało mi się jego, utkwione we mnie, spojrzenie. Uważne. Poufale. Wodził wzrokiem tak wolno, że miałam niemal uczucie, jakby przesuwiał dłońmi po moim ciele. Dzięki temu poczułam się inaczej. Znajoma. Może jak dawna Jenna.

- Odtwarzaj - mówię i dysk wykonuje polecenie. Mam szczęście. Jak się oka- zuje, *Rok czternasty* w całości poświęcony jest temu, jak Jenna się porusza.

Podobnie do wszystkich pozostałych, nagranie zaczyna się od moich urodzin. Pozuję obok tabliczki z nazwą ulicy, Champs-Élysées, a potem biegnę bulwa- rem w stronę Łuku Triumfalnego. Paryż. Nieźle jak na czternaste urodziny. „Pośpiesz się, Tato!” - wołam. Ale nie kapryszę za wiele. Do tej pory Jenna tak przywykła do filmowania każdego jej ruchu, że wydaje się z tym pogodzona. Dla Matki i Ojca pośpiech nie istnieje. Jestem zbyt ważna. Czemu tamta Jenna Fox jest taka silna, podczas kiedy ja czuję się słabsza niż kocię?

Zatrzymuje się na chodniku, plamka w oddali. Wiruje z rozłożonymi rękami, z twarzą uniesioną ku błękitnemu niebu usianemu pulchnymi chmurkami, mijana przez ludzi, zatopiona w swoim idealnym, szczęśliwym świecie. Ruchy ma płynne i pewne. Kończyny zgrabne i eleganckie. Nawet jej palce na tle nieba przypominają kaligrafię.

- Pauza.

Wstaję i idę na środek pokoju. Rozkładam ręce. Patrzę na swoje palce. Są w każdym szczególe równie smukłe i delikatne, jak te na dysku. Obracam się. Z początku wolno. Potem szybciej. Próbuję naśladować czternastoletnią Jenę,

lecz moje stopy nie nadążają. Kostki zderzają się. Zataczam się i wpadam na biurko. Nic nie zostało wyzwolone. Nadal nie jestem zwinną Jenna Fox z dysku.

Patrzę znowu na swoje palce, te same, które zaledwie parę dni temu trzęsły się i drżały przy kuchennym stole pana Bendera. Składałam je czubkami, tworząc piramidkę. Każde doskonałe z wyglądu. Ale coś jest... nie w porządku. Coś, na czego określenie wciąż nie znalazłam słowa. Tępy skurcz wijący się niczym wąż przez moje ciało. Czy to mętlik uczuć, jaki odczuwa każdy w moim wieku? Czy też coś innego? Czy ja jestem inna? Wolno zsuwam ustawione w piramidkę palce, obserwując, jak się splatają. Jak próbują się spleść, zaciśnięte niczym w rozpaczliwej modlitwie, ale znowu: czuję, jak gdyby ręce nie należały do mnie, jakbym je pożyczyła od jakiegoś dwunastopalczystego potwora. A jednak kiedy liczę palce - tak, jest ich dziesięć. Dziesięć absolutnie doskonałych, pięknych palców.

## Nowa Lily i Jenna

---

Lily prowadzi. Ja bębnię palcami po kolanie. Nie rozmawiamy. Obserwuję ją od czasu do czasu. Z ukosa, kiedy jestem pewna, że nie zauważy. Patrzę na zmarszczki rozchodzące się od kącików jej oczu, prosty węzeł, w jaki spięła włosy, i pośpiesznie wsuniętą spinkę, która je przytrzymuje. Lily odwozi mnie do misji ze względu na Matkę. Już to zdążyłam wykombinować. Wszystko, co dla mnie robi, tak naprawdę robi z myślą o Matce. Nie ma rzeczy, na jaką nie zdobyłaby się dla Claire.



Wydaje się, że w obecnej chwili nie zgadzają się co do mnie. Widzę jednak, w jaki sposób Lily obserwuje Claire, jak podchodzi i ściska ją za ramiona albo przytula zupełnie bez powodu; wciąż dzielą coś, z czego ja jestem wykluczona.

Myślę, że kiedyś mnie kochała. Jest jednak oczywiste, że to się zmieniło. Toleruje mnie. Ze względu na Claire, jak rozumiem. Niekiedy wzrusza ją jakiś fakt z naszej przeszłości. Dostrzegam pęknięcie. Jak tamtego dnia, kiedy zdawało mi się, że tonę. Potem jednak znowu przywdziewa surową powierzchowność niczym zbroję chroniącą przede mną. Sądzi, że jestem niebezpieczna? Ze mogłabym ją zranić?

A mogłabym? Miałam ochotę dziś rano w kuchni, kiedy napomniała Claire, by przestała mnie zachęcać. Chyba chciałam ją uderzyć. Mocno. Mogłam to zrobić. Ale nie zrobiłam.

Dziwne, ale chcę, żeby mnie lubiła. Nie wiem czemu. Może po prostu chcę przywrócić dawny stan rzeczy. Stać się dawną Jenną. Tą, której nie znam, ale którą ona kochała.

Wybieramy boczne drogi. Wzgórza są brązowe, wyschnięte, zimne. Spod suchej powierzchni, podobnej do luźnej skóry na karku, przebija się jednak wiosna. Szmaragdowa trawa kontrastuje z brązowymi zaroślami majaczącymi powyżej. Zima nie jest mile widziana w Kalifornii. Mamy dopiero początek lutego, a wiosna już się wciska każdą szparą. Claire mówi, że lubi klimat umiarkowany - że nigdy już nie wróci do lodowatych zim. I że ja też nie wrócę. Skąd może wiedzieć? Może to zrobię. Nie zawsze będę miała siedemnaście lat.

Mijamy zburzony budynek, rumowisko porośnięte chwastami i pnączami. Najwyraźniej po trzęsieniu ziemi pewne obszary Kalifornii były warte odbudowy, a inne nie.

- Hm - komentuje Lily, kiedy przejeżdżamy obok, zapominając o naszym zgodnym milczeniu.

- Boisz się? - pytam. Udaje zdziwienie.

- Trzęsień ziemi? Nie. Kiedy przyjdzie na mnie **pora**, po prostu odejdę.

Naprawdę jest tego taka pewna? Niby dokąd pójdzie?

- Dokąd? - pytam; naciskanie jej sprawia mi przyjemność.

Patrzy na mnie uważnie. Dłużej, niż nakazuje ostrożność, kiedy się prowadzi osiemdziesiąt kilometrów na godzinę.

- Nieważne — odpowiada i kieruje wzrok z powrotem na drogę. Ja też patrzę znowu wprost przed siebie. Wiem, co znaczy dla niej „odejść”, ale chciałam, by to powiedziała.

Umrzeć. Odejść.

Do nieba? Myśli, że tam pójdzie? Naprawdę jest pewna, że trafi do miejsca, którego nawet nie ma na mapie? I skąd pewność, że jej się tam spodoba? Ale taka jest Lily. Jeden wielki znak zapytania.

Powracamy do milczenia. Żadnych więcej uwag na temat zawałonych domów, tego, kim jesteśmy i byliśmy, ani panującego między nami napięcia. Wracamy do tego, co nienaturalne, bolesne i znajome. Tego, jakie jesteśmy teraz.

Misja pojawia się szybciej, niż oczekiwałam. Przybywamy na miejsce, a ja tęsknię do pełnej napięcia ciszy. To nie ma sensu, ale pewnie w moim nowym

świecie ma. Idę za Lily tą samą trasą co ostatnio - przez ciężkie, drewniane drzwi, cmentarz i w końcu przez kościół, skąd wychodzi się na wewnętrzny dziedziniec, gdzie mam się spotkać z Ethanem. Kiedy Lily otwiera drzwi kościoła, zatrzymuje nas nieoczekiwana fala śpiewów. Mali chórzyci o zaróżowionych policzkach wznoszą głosy, a ksiądz - zdawałoby się - ruchami rąk wydobywa muzykę z ich gardel. Lily natychmiast żegna się i zamyka oczy. Echo głosów sprawia, że ja także przystaję. Mam wrażenie, jakby poruszało coś w moim wnętrzu, coś, co boli.

- Szybciej - szepcze Lily. - Mają próbę.

Przecinamy kościół, ksiądz skinieniem głowy kwituje naszą obecność, ale nie przerywa. Lily otwiera drzwi po przeciwnej stronie i wynurzamy się na dziedziniec.

- Ethan odwiezie cię do domu, więc odjadę po załatwieniu spraw z ojcem Rico.

Odwraca się.

Wciąż wypełnia mnie dźwięk czystych chłopięcych głosów. Nie chcę, by zniknął. Nie chcę, by Lily odeszła. Już się oddala.

- Słyszałam cię - mówię. Zatrzymuje się i patrzy na mnie.

- Jak płakałaś - dodaję. - Kiedy byłam w śpiączce. Słyszałam, jak się modliłaś do Jezusa. Za mnie. Myślałam, że powinnaś wiedzieć. Że ludzie w śpiączce słyszą.

Jej palce zaciskają się na torebce, którą trzyma w dłoniach. Oczy ma utkwione we mnie, ale nic nie mówi.

- Wiedziałaś, że cię słyszę? - pytam.

Otwiera usta, ale słowa jakby utknęły jej w gardle.

- Nie - odpowiada w końcu. - Nie wiedziałam. - Odgarnia pasmo włosów z policzka. - Muszę już iść - mówi. - Muszę iść.

Ethan nie czeka na dziedzińcu, jak obiecał, ale po kilku nieudanych próbach znajduję go w końcu obok *lavanderii* - starego kompleksu basenów nieopodal ogrodów używanego dawniej do prania. Nawet jeszcze nie wiem, czym się zajmę w ramach swojego projektu społecznościowego. Rae wydawała się całkiem zadowolona, że zgodziłam się pomagać Ethanowi, póki nie wymyślę własnego projektu. Musimy na to poświęcać osiem godzin tygodniowo.

- Nareszcie - mówi Ethan, kiedy się zjawiam. Zanim jednak wyrzuca z siebie to oziębłe powitanie, coś zauważam. Uśmiech? Nie tyle wokół ust, ile w oczach. Uczę się zdumiewająco szybko. Ethan pewnie nawet nie wie, że to spostrzegłam.

- Dzięki tobie zarobiłam dzisiaj kazanie - mówię.

- A to czemu?

- Najwyraźniej „kutas” znaczy więcej niż tylko „irytujący”.

- Powiedziałaś tak do kogoś?

- Do mojej babki. Krzywi się.

- Nie wiedziałaś, co to znaczy?

- Mówiłam ci, zapomniałam mnóstwo rzeczy... oczywiście zakładając, że to urocze słówko w ogóle figurowało w moim słowniku.

Chrząka i mierzy mnie wzrokiem.

- Założę się, że tak.

Nie traci więcej czasu na pogawędki i pokazuje, czym się będę zajmować przez najbliższe cztery godziny. Bloto. Będę je wybierać łyżka po łyżce. Stara pralnia jest w trakcie remontu, który polega na usunięciu grubej warstwy ziemi pokrywającej północny koniec, a naniesionej przez jakąś dawną błotną lawinę. Trzeba ją zbierać ostrożnie, żeby nie uszkodzić kamieni znajdujących się pod spodem. Pracujemy ramię w ramię, używając płaskich łopatek, a niekiedy sekatorów, by przeciąć przerastające ją pnącza i korzenie. Zauważam, że Ethan trzyma się tuż obok mnie, chociaż do wybrania jest cała długa ściana.

- Więc czemu twoja babka jest kutasem... to znaczy, irytująca? - pyta.

Ogarnia mnie ulga, że pierwszy przerwał milczenie.

- Bo powiedziała, że nie powinniśmy ze sobą chodzić. ..

O, Boże, Jenna. Głupia. Głupia.

- A chodzimy?

- Nie. To znaczy, moja matka pomyślała...

- Twoja matka uważa, że ze sobą chodzimy? Tylko dlatego, że cię odwożę do domu?

- Nie. Hmm... tak. To znaczy, nieważne. - Ratunku. Wygląda na to, że każde słowo pograża mnie bardziej. Czy zawsze byłam taka nietaktowna?

- Hmm - mruży. Szczerzy zęby i nabiera na łopatkę kolejną porcję blocka. Przez następnych kilka minut pracujemy w milczeniu na czworaka, pilnując, żeby nie kopać zbyt głęboko, a potem Ethan prostuje się, opierając rękę na kolanie.

- A więc czemu twojej babce się nie podoba, że ze sobą chodzimy, skoro nie dlatego, że cię uczę wulgarne słownictwa?

Upuszczam łopatkę.

- Nie chodzimy ze sobą! I problem nie dotyczy ciebie, tylko mnie.

- Nie lubi cię? Sądziłem, że babka ma obowiązek lubić wnuki. Ze tak nakazuje prawo albo coś.

Racja. Powinno istnieć takie prawo. Albo może istnieje dla większości ludzi. Kiedy słyszę, jak Ethan mówi o tym na głos, staje się to jeszcze bolesniejsze. Takie oczywiste. Jasne, że babka powinna kochać wnuczkę; po raz setny zacynam się zastanawiać, czy Lily ma dobry powód, żeby mnie nie lubić. Z jakiegoś powodu w głębi duszy myślę, że tak. Myślę o Karze i Locke'u. Tak bardzo mi ich brakuje. Czy to ma jakiś związek z nimi? „Pośpiesz się, Jenna”. Słyszę ich głosy, jakby nawet w tej chwili szeptali mi do ucha. Nie potrafię właściwie zareagować na słowa Ethana. Czuję, że powinnam się rozplakać, ale łzy nie płyną. Nawet nie ściska mnie w gardle. Próbuję zbyć całą rozmowę, jakby nie miała znaczenia.

- Nie potrafię tego wyjaśnić. Pewnie po prostu jestem szczegółna.

Patrzy na mnie, jakby próbował coś rozstrzygnąć. Wyraz jego brązowych oczu sprawia, że coś w moim wnętrzu się zmienia. W końcu Ethan pstryka we mnie ziemią i się uśmiecha.

- E tam, Jenna. Jaka tam szczegółna.

W jednej chwili wzbierają we mnie uczucia; tkwię w miejscu, odwzajemniając jego spojrzenie, i chociaż powinnam się czuć zawstydzona - czuję się zawstydzona nie potrafię odwrócić wzroku. On porusza się pierwszy, niezgrabnie

opada na kolana; przyłączam się do niego i ramię w ramię tniemy, oczyszczamy i po łyżce wybieramy błoto.

Słońce grzeje w plecy. Od czasu do czasu wydaje mi się, że dolatuje mnie echo śpiewów z kościoła, niesione powiewem wiatru aż do ogrodów, ale Ethan mówi, że to niemożliwe. Znajdujemy się zbyt daleko. Ja jednak jestem pewna, że je słyszę. Albo może po prostu anielska melodia utkwiała mi w pamięci.

Dochodzę do wniosku, że lubię szuflować ziemię. Lubię dźwięki w ogrodzie i bezmyślne powtarzanie tych samych ruchów. Mam wrażenie, jakby pierwszy raz od tygodni mój mózg naprawdę miał okazję odpocząć od przypominania sobie różnych rzeczy. Pracujemy kilka godzin. Ethan co jakiś czas wstaje, rozprostowuje plecy, rozciera kolana, ja jednak się nie męczę.

- Jesteś jak koń - mówi.

- A ty... - próbuję znaleźć właściwe słowo - ..nie.

Niezbyt wyrafinowane, ale nacisk, z jakim to wypowiadam, najwyraźniej robi na Ethanie wrażenie. Urządza całe przedstawienie, jeszcze raz rozmasowując kolana, a potem wraca do pracy obok mnie. Uśmiecham się, zadowolona, że włosy zakrywają mi twarz.

Mijają długie chwile milczenia. Słucham ptaków w ogrodzie, podzwaniań łopatek, szmeru wody ciekącej z leżącego niedaleko węża, a przede wszystkim głosów w mojej głowie. „Dostosowujesz się, Jenno. Jesteś kochana, Jenno. Jesteś normalna, Jenno. Jesteś niemal sobą, Jenno”. I w zasadzie im wierzę.

- Znasz go?

Zerkam w kierunku, w którym patrzy Ethan. Ze szczytu schodów prowadzących do ogrodów obserwuje nas przysadzisty facet. W chwili, kiedy podnoszę wzrok, pstryka zdjęcie i odchodzi.

- Nie - odpowiadam. - Nigdy wcześniej go nie widziałam.

A może widziałam, tylko nie pamiętam?

- Pewnie jakiś turysta - mówi Ethan. - Zwykle odwiedzają tylko misję... nie docierają aż tutaj. Albo może ksiądz Rico posłał kogoś, żeby sprawdził, jak nam idzie.

- Może - przytakuje.

## Szczegóły

---

Wsiadam do wozu Ethana i nagle sobie przypominam.

To przez te szare skórzane obicia. Miałam samochód.

Ale bez prawa jazdy. Nie miałam prawa jazdy. Matka i Ojciec nie pozwolili mi zrobić. Czemu dali mi samochód i nie pozwolili nim jeździć?

Pamiętam, jak pędziłam szosą w swoim samochodzie. „Pośpiesz się, Jenna”.  
Usłuchałam.

I byli ze mną Kara i Locke.

---



# Sto punktów

---

Przesuwam się na siedzeniu w półciężarówce Ethana, żeby zrobić miejsce dla Allys. Mamy ją zabrać spod budynku, w którym prowadzi swój projekt społecznościowy, i wrócić do szkoły. Czekamy przed biurami i laboratoriami Centrum Medycznego Uniwersytetu Del Oro. Allys przychodzi tu na terapię, a oprócz tego pracuje jako wolontariuszka w Zespole Specjalnym do spraw Etyki. Zbiera materiały do oceny i pomaga sprawdzać ich zgodność z systemem licznych, powiązanych ze sobą reguł, którym podlega działalność badawcza.

„Robota dla fizola” - jak to nazwał Ethan, kiedy o tym wspomniał pierwszy raz. Czy może istnieć coś głupszego od wybierania błota? Pamiętam, w jaki sposób parę dni temu Allys opowiadała o swoim projekcie. Jest dla niej ważny. Zapaliła się do niego i myślę, że zajmowałaby się nim, nawet gdyby Rae nie wymagała udziału w działaniach na rzecz społeczności. Allys pogodziła się z utratą kończyn, ale wini za ten fakt pozbawiony kontroli system medyczny. Uważa, że gdyby dawno temu, kiedy pierwszy raz usłyszano o niebezpieczeństwach nadużywania antybiotyków, poddano ograniczeniom ich stosowanie, ją samą i miliony ludzi takich jak ona spotkałby inny los, a teraz wydaje się zdecydowana uchronić świat od kolejnych medycznych niesprawiedliwości.

Kiedy Ethan rozmawia o tym z Allys, w jego głosie pojawia się ostry ton, jakiego nie słyszałam wcześniej. Jak gdyby jego też poruszało jej nieszczęście. Zależy mu na niej? Jak bardzo? A może jego też spotkała niesprawiedliwość? Tak naprawdę nic o nim nie wiem. Czemu chodzi do szkoły społecznej? Powiedział,

że wszyscy mieliśmy powody, żeby tu trafić. Allys mówiła o swoich ograniczeniach fizycznych. Gabriel wspomniał, że cierpi na nadpobudliwość i lepiej się czuje w małej społeczności, ale Ethan nigdy nie wyjaśnił, co nim kierowało.

- Możesz potrzymać? - Allys podaje mi usztywnienia, które wciąż stabilizują jej kończyny, i wsuwa się na kanapę obok mnie. - Jeszcze dwa tygodnie i się ich pozbędę. Przynajmniej tak obiecują. - Oczy jej błyszczą, pełne entuzjasmu słowa płyną z ust niepowstrzymanym strumieniem. - Zastosowali nową technologię, dzięki której protezy mają łatwiej współpracować z moim własnym układem równowagi. Podobno będą odczytywać sygnały nerwowe z mózgu i w ten sposób się uczyć. Kazali mi jak najwięcej chodzić, żeby przyspieszyć proces. Wyobrażacie sobie? Mam inteligentne nogi. - Posyła Ethanowi ostrzegawcze spojrzenie. - Ani się waż komentować.

- Kto, ja? - pyta słodko.

- Myślałam, że przyszedłeś tu w związku z projektem — mówię.

- Też. Ale gabinety terapeutyczne i biura zespołu etycznego mieszczą się w tym samym kompleksie, więc załatwiam wszystko tego samego dnia. A jak tam wasz projekt?

- Wybieranie ziemi?

- Ona jest jak koń - powtarza Ethan ocenę mojej osoby.

- Podobało mi się — mówię. — Co prawda trudno to uznać za wyzwanie umysłowe... może tylko dla Ethana... ale ksiądz Rico był bardzo wdzięczny.

Ethan szarpie kierownicą na znak, że usłyszał, i Allys wybucha śmiechem.

- To cenna inicjatywa. Misja nie ma funduszy, więc bez wolontariuszy nie byłoby w stanie kontynuować. A miejsce ma długą historię. To był mój drugi pomysł, zaraz po zespole etycznym.

- Kto go prowadzi? Szpital? - pytam.

- Żartujesz? Goście ze szpitala nienawidzą zespołu, chociaż w życiu by się do tego nie przyznali. Nigdy nie słyszałeś o FREN?

Przetrząsam swoją żalospną namiastkę pamięci. Mam wrażenie, że powinnam to wiedzieć. Że ta informacja jest niemal na wyciągnięcie ręki.

- To nie kolejne wulgarne wyzwisko, jeśli tego się obawiasz - wtrąca Ethan.

- Federalna Rada do spraw Etyki Naukowej - wyjaśnia Allys. - Oni właśnie prowadzą biuro. Wydają zgodę na wszelkie badania i wiele procedur medycznych. Jeśli jakaś instytucja nie dostarczy wszystkich formularzy i nie składa raportów o każdej procedurze, to ją zamykają. Całe szpitale. Naprawdę tak robili. Nie często, ale wystarczająco wiele razy, żeby zastraszyć każdy instytut medyczny i badawczy w kraju.

- Po co to robią?

- Służą za psa łańcuchowego. Musi istnieć centralna kontrola. Weź na przykład klonowanie ludzi na przełomie wieku. Mimo że było nielegalne, niektóre laboratoria i tak je przeprowadzały, bo system regulacji był za słaby. No i oczywiście biożel. Ta jedna sprawa wystarczyła, żeby Kongres powołał FREN.

Allys mówi, ale ja słyszę tylko zniekształcone echo. „Biożel”. Dzieło Ojca. Słyszę znowu słowa Lily: „To była głośna sprawa”.

- Biożel?

- Zmienił świat. Dzięki niemu prawie wszystko stało się możliwe.

- W jakim sensie? - pytam. Allys unosi brwi.

- Naprawdę masz wielkie braki, co? No więc błękitna breja, jak ją nazywają w szpitalu, jest... cóż... błękitna.

- Genialne - wtrąca Ethan.

- Oraz... - Allys podnosi głos - ...sztucznie natleniana i napakowana neurochipami. Są mniejsze od ludzkiej komórki i komunikują się ze sobą mniej więcej w taki sam sposób jak neurony, tylko szybciej. I się uczą. Kiedy się do nich załaduje podstawowe informacje, przekazują je pozostałym chipom i zaczynają się specjalizować. I co oczywiście najbardziej niesamowite, w ten sam sposób potrafią się komunikować z komórkami ludzkimi. Pakujesz wątrobę pobraną od człowieka albo wyhodowaną w laboratorium w biożel, a neurochipy zajmują się resztą: dostarczają tlen i substancje odżywcze oraz komunikują się z centralną bazą danych, do czasu kiedy wątrobę będzie można przeszczepić komuś, kto jej potrzebuje.

- To źle?

- Czasami nie. Ale fakt, że możemy coś zrobić, nie znaczy, że powinniśmy. I to właśnie sprawdza FREN.

- W jaki sposób? - pytam, starając się, by w moim głosie brzmiało tylko niewielkie zainteresowanie.

- No cóż, jednym ze sposobów jest system punktowy - wyjaśnia. - Każdy otrzymuje maksimum sto punktów na całe życie. Na przykład moje kończyny. Wszczepiona cyfrowa technologia, która obsługuje protezy, ma bardzo niską wartość. Szesnaście punktów za wszystkie cztery. Ale już samo serce jest warte trzydzieści pięć. Dorzuć płuca i nerki - i masz dziewięćdziesiąt pięć.

- To mi wygląda na zbytnie uproszczenie - mówię.

- Może. Ale zarazem jest sprawiedliwe. Nie ma znaczenia, jaki ktoś jest bogaty albo ważny. Wszyscy płyniemy tą samą łódką. A zasoby i koszty medyczne pozostają pod kontrolą.

- A co z mózgiem? - pyta Ethan. - Ile jest wart?

- Mózgi są praktycznie nielegalne. Dozwolone są jedynie biocyfrowe wzmacniacze w celu przywrócenia pewnych utraconych funkcji, jeśli stanowią poniżej czterdziestu dziewięciu procent, i to wszystko.

- Dziwna liczba - zauważam. - Czemu najwyżej czterdzieści dziewięć procent?

- Gdzieś trzeba postawić granicę, tak? Koszty medyczne stanowią poważne obciążenie ekonomiczne dla społeczeństwa, nie wspominając o związanych z nimi problemach etycznych. A FREN, ograniczając procent tego, co można zastąpić czy wzmocnić, ma gwarancję, że jesteś w większym stopniu człowiekiem niż wytworem laboratorium. Nie chcemy, by cała masa laboratoryjnych monstrów rozpełzła się po świecie, prawda? Myślę, że o to przede wszystkim chodzi.

- I FREN zawsze ma rację? - pyta Ethan.

Allys siada prosto; mówi szybko, urywanie.

- Próbują ocalić nasze człowieczeństwo, Ethan. Jak można się z tym spierać? Chronią nas; ja uważam, że to godne pochwały. A prócz tego tak się składa, że wiem, iż w agencji pracuje masa bardzo inteligentnych i kompetentnych ludzi.

Ethan wjeżdża na parking przed szkołą.

- Wiem tylko, że masa „inteligentnych i kompetentnych ludzi” dwa lata temu schrzaniła mi życie. -Przesuwa lewarek na pozycję „parking”. - To tyle, jeśli chodzi o inteligencję.

Wygląda na to, że rozmowa przybrała nagle niespodziewany dla mnie obrót. Głos Ethana jest napięty, jak tamtego dnia w supermarkecie, kiedy nazwałam nas wszystkich świrami. Nie czekając na nas, wysiada i idzie do wejścia.

Allys wzdycha ciężko.

- Czasem naprawdę mu odbija.

Przewraca oczami i sięga po usztywnienia. Patrzę za odchodzącym Ethanem, zastanawiając się, czy jego życie zmieniło się w równie wielkim stopniu, jak moje. I czy tak jak ja wciąż jeszcze dochodzi do siebie. A chociaż nie wiem, co to jest, i boję się zapytać, jestem pewna, że dlatego właśnie trafił do szkoły społecznej.

Czekam przed szkołą na Ethana, żeby mnie odwiózł do domu. Odbyłam już konferencję z Rae, teraz jego kolej.

- Cześć.

Dane zaskakuje mnie, podchodząc od tyłu. Od tamtego pierwszego dnia nie rozmawiałam z nim wiele.

Nie przychodził na zajęcia. Rae nie wyjaśniła dlaczego, a Mitch tylko jęknęła, kiedy Allys zapytała.

- Jak leci? - głos ma ciepły i ożywiony; podoba mi się jego brzmienie, ale pamiętam też, co mówił o Danie Ethan.

- Nieźle - odpowiadam.

- Podoba ci się twój projekt?

- Tak.

- Podwieźć cię?

- Nie.

Wypuszcza oddech, wyraźnie zirygowany moimi krótkimi odpowiedziami. Robi przede mną piruet i łapie mnie za rękę.

- Daj spokój. Ethan mówił o mnie nieładne rzeczy? Chyba mu nie wierzysz, co?

Jego dłoń jest ciepła, mocno zaciśnięta na mojej. Podnoszę wzrok i z zaskoczeniem zauważam, że ma oczy prawie identycznego koloru jak niebo za plecami.

- To mój problem - mówi. - Przyznaję. Jestem szczery. Jak wtedy, kiedy powiedziałem, że dziwnie chodzisz. Nie pogardzam tobą z tego powodu i nie miałem na myśli nic złego. Nie czujesz urazy, co?

- Nie.

Rozluźnia uścisk, ale nie puszcza mojej ręki.

- Wszyscy mamy problemy, a problem Ethana polega na tym, że nie potrafi znieść prawdy. Nie umie jej nawet wypowiedzieć. Na twoim miejscu trzymałbym się od niego z dala, ale pewnie dojdiesz do tego sama. Bystrości na pewno ci nie brakuje.

Uśmiecha się, jednak tym razem nie hipnotyzuje mnie jak tamtego dnia, kiedy pierwszy raz zobaczyłam go przed domem. Zmieniam się z dnia na dzień. Zauważam u ludzi to, czego jeszcze niedawno nie widziałam. To, czego inni pewnie nawet nie rejestrują. A to, co dostrzegam na doskonale pięknej twarzy Danea, budzi mój niepokój. „Pustka”. Słowo rozbrzmiewa donośnie w mojej głowie, a mimo to zastanawiam się, czy jest właściwe.

- Będziemy przyjaciółmi? - pyta.

Przyjaciele. Przede wszystkim z tego powodu chciałam chodzić do szkoły. Może Dane miał przyjaciół jak ja kiedyś; przyjaciół, którzy odeszli i za którymi tęskni tak jak ja za Karą i Lockiem.

- Będziemy przyjaciółmi - powtarzam, bo wiem, że byłoby niegrzecznie odmówić. I ponieważ myślę: być może. Być może.

- Wpadnę więc czasami, skoro mieszkam przy tej samej ulicy - dodaje, odchodząc.

- Jasne.

- Dzięki za zaproszenie, sąsiadko! - woła przez ramię.

Czy ja go zaprosiłam?



# Zawartość

---

**Pusty przym.** 1. *Niezawierający niczego, pozbawiony.* 2. *Próżny, niezajęty.* 3. *Po-  
zbawiony jakiejś cechy lub cech.*

Teraz, dzień później, myślę o tym, co znaczy dla Dana słowo „przyjaciół”. Myślę o jego głosie, tak różnym od oczu. Zastanawiam się, czy w ogóle coś wiem. Wiem jedno: słowo, które do mnie przyszło, kiedy patrzyłam na jego twarz, było właściwe.

## Dom

---

Dom jest pusty. Soboty są puste, stwierdzam. Żadnych hałasów. Żadnego remontu. Żadnej szkoły. Nic. Matka wyszła wcześniej rano. Nie wyjaśniła mi, dokąd idzie, ale kazała zostać w pobliżu. Chciałam powiedzieć: „nie”. Ale nie powiedziałam.

Lily cały ranek spędziła w swojej szklarni. Nie poprosiła, żebym jej towarzyszyła. I tak bym nie chciała. Dwa razy wyjrzałam przez okno sypialni, próbując dojrzeć, co robi, ale większa część wnętrza jest niewidoczna. Nie obchodzi mnie, czym się zajmuje.

Kładę się z powrotem na łóżku i gapię w sufit. Sufit domu w stylu cotswold jest raczej nudny. Pasuje do mnie.

Matka i Lily nic o tym nie wiedzą, ale Ojciec miał rację. Pamięć mi wraca.

Dzieje się to w ciekawy sposób. Codziennie płynie przeze mnie kręty strumień fragmentów; luźno powiązanych, nieistotnych okruchów. Klik, klik, klik, wpasowują się w umysł niczym zatrzasujące się ogniwa. I gotowe. Maleńki fragment mojego życia zostaje uzupełniony krótkim łańcuchem wspomnień. Pojawiają się znikąd i przeważnie są nieistotne.

Pamiętam kupowanie skarpetek, dotykanie skarpetek, płacenie za skarpetki, patrzenie na paragon za skarpetki. Każdy szczegół wyjścia po skarpetki pięć lat temu. Kogo obchodzi skarpetki?

A znowu inne... też pojawiają się znikąd. Ubiegłej nocy w korytarzu aż zakreśliło mi się w głowie, kiedy spadło na mnie wspomnienie. Musiałam w ciemności oprzeć się o ścianę i zamknąć oczy. Było takie wyraźne. Szlochałam. Wołałam Matkę. Widziałam, jak płacze. Jej łzę, przez moment, tuż zanim się odwróciła do odejścia. Płakałam, żeby wróciła. Próbowałam wyciągać do niej ręce, ale Ojciec mnie powstrzymał. Nie. Przytulił. Miałam może półtora roku.

Byłam ubrana w jasnoczerwoną kurtkę; Ojciec w czarną. Pocałował mnie w policzek. Otarł łzy. Obiecał, że mama wróci. Wierzgałam nogami. Przytulił mnie mocniej. Pamiętam, jakby to było wczoraj. Jak mogę to pamiętać?

Skoro muszę odtworzyć we wspomnieniach, po kawałku, całe życie, to czy odzyskiwanie wspomnień potrwa kolejne życie? Czy też pewnego dnia wszystkie fragmenty połączą się i wybuchną w moim wnętrzu?

Znowu wyglądam przez okno. Lily ani śladu. Podłoga skrzypi mi pod nogami. Zwiedzam pozostałe pokoje na piętrze. Nadal są puste. Czy Claire kiedyś je

zapelni? Ale czym? Jedynie mną? Schodzę na dół. Nigdy nie obejrzałam dokładnie pomieszczeń na parterze. Nie licząc pośpiesznego biegu do łazienki Claire, kiedy rozciąłam sobie kolano, ani na chwilę nie zapuściłam się do pokoi wzdłuż korytarza. Dopiero teraz uderza mnie, jakie to dziwne, że zachowywałam się jak gość, ograniczałam do swojego pokoju i wspólnych; nie czułam się na tyle swobodnie, by zwiedzić resztę domu. „Nie oddalaj się, Jenno”. Nie oddalam się.

Podchodzę do pierwszych drzwi na prawo z korytarza. Pokój Lily, jak mi się zdaje. Otwieram drzwi, ale to gabinet. Gabinet Claire, sądząc po planach, próbkach materiałów oraz książkach o projektowaniu wnętrz. Jest zagracony i nieporządkowy. Nie tego się spodziewałam po Claire.

Podchodzę do kolejnych drzwi po prawej. Przekręcam gałkę. Zawiasy skrzypią, wzdrygam się zaskoczona. Matka ciągle nie wymieniła zamków i kluczy. Może myśli, że dzięki temu dom będzie autentyczniejszy, ale z tego powodu poruszanie się po nim w sposób niezauważalny staje się znacznie większym wyzwaniem. Znajduję duży, skromnie umeblowany pokój. Tak, pokój Lily. Para jej butów stoi porządnie w kącie. Na biurku kilka zdjęć w ramkach. Claire. Dziadek i Lily. I jeszcze jedno, przedstawiające małą dziewczynkę w różowej, odświeżonej sukience i czarnych, błyszczących bucikach. Małą dziewczynkę trzymającą Lily za rękę. Małą dziewczynkę, którą Lily kochała. Podchodzę i kładę fotografię na blacie. Co z tego, że to odkryje. Co mi może zrobić? Znienawidzić? Ośmielona, kopię jej buty; zdumiewa mnie, że drobny gest może sprawić tak wielką przyjemność. Mam dość pokoju Lily na jeden dzień.

Następne drzwi, po lewej, są zamknięte na klucz. Idę dalej do pokoju Claire. Główny apartament jest ogromny. Do sypialni przylega salonik z dwoma wyściełanymi fotelami i niewielką biblioteczką. Sklepione przejście w przeciwnym

krańcu sypialni prowadzi do ubieralni, garderób i łazienki. Garderoby tworzą podobny dziwaczny labirynt jak moje. Liczne garderoby dla rozmaitych potrzeb. Gruba przesada. Największa ma w wewnętrznej ścianie kolejne drzwi, więc wiem, że prowadzą do pomieszczenia bez okien. Przykładam do nich ucho i coś słyszę. Ciche brzęczenie. Szarpię za klamkę, ale są solidnie zaryglowane.

Materac. Materac. Materac. Wracam do łóżka Claire, odchylam narzutę w nogach i wsuwam rękę pod materac. Wyciągam ją i próbuję w drugim rogu. Jest. Klucz. Chwytam go i się prostuję. Chociaż raz przypomniałam sobie coś użytecznego na temat Claire.

- Co ty wyprawiasz? Chowam rękę do kieszeni.
- Nic.
- Mnie to wygląda na coś. Patrę na zmiętą narzutę na rogach.
- Ścieliłam łóżko Claire. Zostawiła niepościelone. Nic innego nie ma tu do roboty.

Lily patrzy mi w oczy, jakby czegoś szukała. Przygląda mi się, kiedy dotykam palcami klucza w kieszeni, ale mówi tylko:

- Ktoś do ciebie przyszedł. Czeka przed domem.

Na ścieżce od frontu zastaję Ethana. Przesłupuje niezgrabnie z nogi na nogę, a potem się uśmiecha. Wygląda prawie, jakby go coś bolało.

- Cześć.
- Cześć. - Czeka i patrzę na niego, zastanawiając się, co powinnam zrobić.

- A! - Sięga do kieszeni džinsów i sztuczny uśmiech znika. - Znalazłem w wozie kluczyki. Myślałem, że to może twoje? - Wyciąga do mnie kółko ze zwi-  
sającymi z niego dwiema kartami do samochodu.

- Nie. Nie moje.

- Och. - Dalej tkwi w miejscu.

- Może należą do Allys - podsuwam.

- Może.

Chowa je z powrotem i umęczony uśmiech powraca.

- Czyli do zobaczenia w poniedziałek, tak?

- Twój uśmiech wygląda strasznie nienaturalnie — mówię. — Musisz więcej  
ćwiczyć.

Ściąga brwi i prychna, jakbym go obraziła.

- A ty oczywiście jesteś ekspertem w sprawie uśmiechów! Jest coś, czego nie  
wiesz?

- Niewiele. - Prezentuję mu uśmiech. Szeroki i przeciągły.

Ethan kręci głową i patrzy na mnie z ukosa.

- Wygrałaś. Tego nie przebije.

Pytam, czy go oprowadzić, na co odpowiada, że tak; nie ma nic lepszego do  
roboty. Nic lepszego? W rzeczy samej, zniewalająca osobowość. Wygląda na za-  
fascynowanego nowym chodnikiem, który ułożyli robotnicy, jak też rozbiórką  
oraz odbudową naszego komina. Kiedy obchodzimy budynek, zauważam, że  
Lily wróciła do szklarni. Dotykam klucza ukrytego w kieszeni. Czy poprosić Et-  
hana, by sobie poszedł? To może jedyna szansa, by pobyć samej w domu dłużej.

szą chwilę. Ale nie chcę, by odchodził. Klucz czy Ethan? Chwilowo wybieram Ethana.

Idziemy nad staw; chłopak patrzy z podziwem.

- Niewiele osób ma staw w ogrodzie.

Nie pomyślałam o tym. W Bostonie z pewnością nie mamy stawu. Siadamy naprzeciw siebie na płaskim, granitowym glazie przy brzegu i pierwszy raz podziwiam piękno otoczenia, oglądając je oczyma gościa. Kępy trzciny wyglądają niczym ostro zakończone kotwice. Po stronie pana Bendera kilka lysek przemyka wśród palki wodnej.

- Nocami słyszę żaby - mówię. - Nawet w lutym. Lily uważa, że to dziwne.

- Nie takie dziwne w tych stronach - odpowiada.

- Urodziłeś się tutaj?

Waha się, patrzy na mnie, jakbym go właśnie poprosiła o oddanie pół litra krwi, a nie zadała proste pytanie. Jego odpowiedź jest równie dziwaczna.

- Mhm.

Nie chodzi o samo słowo, ale o sposób, w jaki je wypowiada. Wydobywa je z siebie niechętnie, z lekkim kiwnięciem głową i westchnieniem. Znam to. Skądś. Może widziałam na twarzy Jenny albo słyszałam w jej głosie na którymś z dysków wideo. Jedna sylaba zdradzająca więcej, niż się chciało. Rezygnacja. Wystarczy. Dość. Czego ode mnie chcecie? Mhm. To wszystko, czego Matka pewnie nie chciała, żebym zauważyła. To wszystko, czego zapewne nie zauważała nawet dawna Jenna.

- Więc twój problem to tutaj - mówię.

- Dlatego chodzę do szkoły społecznej - odpowiada. - W okolicy zna mnie mnóstwo ludzi. Tam jest łatwiej.

- Bo możesz się ukryć?

- Szybko kojarzysz.

- Nie. Wcale nie. Wspomniałeś, że każdy miał powód, żeby do niej trafić. Po prostu czekałam, aż usłyszę, jaki był twój.

Nachyla się z ramionami wspartymi na kolanach.

- Przez rok siedziałem w stanowym poprawczaku. Pobiłem kogoś. Kiedy mnie wypuścili, nie mogłem wrócić do akademii, więc poszedłem do społecznej.

- Nie wyglądasz na takiego - mówię.

- Na takiego, który by pobił innego człowieka prawie na śmierć? - Patrzy przeze mnie, oczy ma utkwione w przestrzeń. Słyszę, jak zaciska się węzeł w jego gardle. - Tego nigdy się nie wie.

Też się pochylam, opierając łokcie na kolanach, tak że nasze pozy stanowią swoje lustrzane odbicia. „Tego nigdy się nie wie”. Ethan dowiedział się o sobie więcej, niż chciał; ja wiem o sobie mniej, niż powinnam. Wydaje się niesprawiedliwe, że jego mroczna przeszłość podnosi wartość mojej nieistniejącej. Jego oczy są ciemne, pełne, równie pełne, jak Danae są puste. Pochylam się jeszcze bardziej, przyklękam. Tak blisko jego twarzy, że powinnam czuć skrępowanie, ale nie czuję.

- Nie zapytasz dlaczego? - mówi.

Pokonuję niewielką odległość między nami. Z wargami na jego wargach zastanawiam się, czy dawna Jenna umiała całować i czy nowa to pamięta, lecz są-

dząc z tego, jakie wrażenia budzi dotyk warg Ethana na moich, odpowiedź na oba pytania brzmi „tak”. Po chwili się odsuwam.

- Przepraszam - szepczę. - Powinnam była zapytać. Przyciąga moją twarz i całuje znowu; czuję lekki dotyk jego dłoni na policzkach.

Nasze pocałunki stają się coraz bardziej gorączkowe i wszystko we mnie, co jest ciekawe i dziwaczne, i dziwne, i niewłaściwe, znika, i nie myślę o sobie, lecz wyłącznie o Ethanie, bo ciepło Ethana, zapach Ethana, dotyk Ethana to wszystko, kim jestem teraz, i dopiero kiedy mnie odsuwa, bo Lily wrzeszczy z daleka, żebym wracała do domu, chcę odpowiedzieć na jego pytanie.

- Już wiem dlaczego. Bo czasem po prostu nie ma się wyboru.

## Wybór

---

Potrzebowałam tego jak powietrza. Nikt jednak nie mógł mnie usłyszeć. Nikt nie mógł wysłuchać. Żadnych słów. Żadnego dźwięku. Żadnego głosu.

Nie mogłam nawet uciec w sny.

Dokonano wyborów.

Żaden z nich nie był moim.

Na początku zastanawiałam się, czy to piekło.

A potem już wiedziałam, że tak.



# Przesłanie

---

Trzaskam szufladą w kuchni.

- Nie musisz hałasować. Już do mnie dotarło, że jesteś zła.

Wyciągam szufladę i znowu zasuwam z hukiem. Robię tak jeszcze cztery razy.

- Nie! Myślę, że teraz do ciebie dotarło!

- Pora na twoje odżywki.

- Jakby wcześniej w ogóle cię to obchodziło! Wyciągam z lodówki butelkę z odżywką i nalewam

odmierzoną ilość do szklanki. Wstawiając butelkę z powrotem, chwytam pojemnik z musztardą. Wciskam połowę jego zawartości do przepisanej mi beżowej mikstury. Patrzę wściekle na Lily, prowokując ją, żeby spróbowała mi przeszkodzić, i wlewam sobie wszystko do gardła.

- Proszę! Gotowe!

Z hukiem odstawiam szklankę na blat, spodziewając się niemal, że pęknie.

- Nie powinnaś tak robić. To może nie... może ci być niedobrze. - Wzdycha jakby ze znużeniem, czym rozwściecza mnie jeszcze bardziej.

- Czemu nie mogłaś się na wszystko wypiąć jak zwykle?

- To nie było w porządku, Jenno.
- I kto to mówi?
- Cały świat.
- Myślę, że jemu się podobało.
- Być może teraz.

Chcę się rozplakać. Chcę szlochać na cały głos. Chcę coś stłuc. Cokolwiek. Chcę ją bić pięściami i wołać: „Pokochaj mnie, proszę!”. Chcę, żeby wróciła tamta chwila, kiedy całowałam Ethana i istniało tylko teraz. Chcę, żeby ktoś mi w końcu wyjaśnił - dlaczego.

Dlaczego ja?

Naraz uchodzą ze mnie siły, jakby wszystkie pytania w głowie zaczęły na siebie wpadać, nie pozwalając mi myśleć. Pozostaje tylko słowo „teraz” i chociaż wiem, że to nie ma sensu, powtarzam je znowu.

- Teraz.

Twarz Lily ściąga się na mgnienie, a potem widzę, jak jej ręce sztywnieją i ta sztywność wędruje w górę aż do ust. Stoi, gapiąc się na mnie, jakbym właśnie wygłosiła całą przemowę, a nie wypowiedziała jedno proste słowo.

- Tak będzie lepiej - mówi w końcu. - Dla Ethana i dla ciebie.

Wychodzi; słyszę, jak idzie korytarzem do swojego pokoju i zamyka drzwi; zastanawiam się, czy w ogóle zauważy odwrócone zdjęcie i rozrzucone buty.

# Musztarda i pocałunki

---

Wybiło dopiero wpół do pierwszej, a ja już jestem z powrotem w swoim pokoju. We wnętrzu czuję dygot. Nie jestem pewna, czy to przez pół butelki musztardy, którą przed chwilą wypilam, czy z powodu rozmyślań o tym, jak Ethan mnie całował.

Nie obchodzi mnie, czy po musztardzie zrobi mi się niedobrze. Warto było dla widoku przyglądającej się bezradnie Lily. Wiedziała, że nie zdoła mnie powstrzymać, lekki dreszcz poczucia władzy zrobił mi doskonale.

Ogarniam wzrokiem pusty, pozbawiony osobowości pokój i moje spojrzenie zatrzymuje się na netbooku. Powinnam obejrzeć kolejny rok Jenny. Albo dowiedzieć się czegoś więcej o sąsiadach, tak jak pan Bender. Czuję, że powinnam się zajmować czymś innym. „Pośpiesz się, Jenna”. Ale zamiast tego siadam przy biurku i kładę głowę na blacie, żalując, że nie mogę zasnąć i obudzić się jako nowa ja.

Sen nie przychodzi. Nowa ja też nie. Gapię się na swoje niezgrabne palce potwora i czując, jak moje niezdarne, dziwaczne stopy przesuwają się tam i z powrotem po podłodze, nasłuchuję skrzypnięć i trzasków domu oraz westchnień i sapnięć remontu.

Umieszczam w netbooku ostatni nagrany dysk z życiem Jenny. Co jeszcze zostało do odkrycia? W tym, co zgromadziłam, więcej jest luk niż treści, lecz udało mi się złożyć tę dziewczynę z rozsypanych fragmentów wspomnień, jakie do mnie wróciły, oraz nagrań z jej rejestrowanego bez umiaru życia. Byłam traktowana jak skarb. Adorowana. Przytłaczana oczekiwaniami. Miałam tyle zajęć, że starczyłoby ich dla trojga dzieci. Tańczyłam ze wszystkich sił. Uczylam się ze wszystkich sił. Bawiłam się ze wszystkich sił. Trenowałam ze wszystkich sił. Staralam się zostać wszystkim, co sobie wymarzyli.

Lecz z tych obrazów, urodzin, lekcji, treningów, najzwyczajniejszych zdarzeń, które należało zostawić w spokoju, najbardziej utkwily mi w pamięci oczy Jenny: drgnienie powieki, niepewność, uparte próby. To właśnie zapamiętałam najlepiej: desperackie pragnienie, żeby pozostać na piedestale. Widzę je w jej oczach równie wyraźnie jak barwę. Teraz, w ciągu zaledwie paru tygodni, zaczęłam dostrzegać na ludzkich twarzach to, czego nie zauważałam wcześniej. Widzę Jennę uśmiechniętą, radosną, paplającą. I upadającą. Cóż innego pozostaje, kiedy się jest ideałem? Współczuję jej, jakby była obcą osobą. Bo jest. Ja nie jestem już idealną Jenna Fox.

Jak wszystkie pozostałe dyski, ten też zaczyna się od przyjęcia urodzinowego, wystawnej prywatnej uroczystości gdzieś w Szkocji. Matka, Ojciec i ja mamy na sobie kilty, a legion dudziarzy gra *Sto lat*. Dysk wyświetla z kolei szkolną wycieczkę szkunerem. Szukając Kary albo Locke'a, przebiegam wzrokiem twarze. Kilka poznaję; należą do kolegów, których pamiętam, ale nie ma moich przyjaciół, nie ma twarzy z moich snów. Gdzie się podziali? Włosy smagają Jennę po policzkach. Zerka na kamerę i na moment sztywnieje, z wysiłkiem przechyla na

bok głowę, milcząco błagając o przestrzeń. Zamiast tego kamera robi najazd. Widzę niemal, jak Jenna się załamuje. Poddaje. Lecz potem nagle ucieka. Znika w tłumie kolegów. Byle dalej. I kamera zostaje wyłączona.

Zaczyna się kolejna scena. Jenna w różowych trykotach, z włosami upiętymi w połyskujący brokatem kok.

- Zrób dla mnie piruet, Jenno! — woła Ojciec. Do pokoju wchodzi Claire.

- Masz wszystko? Baletki? Kostium?

- Tak — odpowiada Jenna.

- A co z makijażem? - pyta Claire. - Trochę zbyt mocny, nie sądzisz?

Oczy Jenny pociągnięte są grubo kredką, ciemne krechy nie pasują do niemowlęco różowych trykotów.

- Jakie to ma znaczenie?

- Może się nie spodobać twojej nauczycielce.

- Nie obchodzi mnie, co jej się podoba. Mówiłam ci, to mój ostatni występ.

Claire się uśmiecha.

- Oczywiście, że nie ostatni. Uwielbiasz tańczyć, Jenno.

Jenna chwyta Claire za ramiona i spogląda na nią z góry.

- Popatrz na mnie! Mam metr siedemdziesiąt dwa i pół wzrostu i dalej rosnę. Nie jestem materiałem na primabalerinę.

- Ale istnieją zespoły... Jenna wyrzuca ręce do góry.

- Czemu ty nie zostaniesz baletnicą?! Masz metr sześćdziesiąt siedem, idealnie! Śmiało, Claire.

Widzę, jak twarz Matki się zmienia. Czuje się zraniona. Muszę prawie odwrócić wzrok. Czy to wtedy pierwszy raz nazwałam ją po imieniu?

- Moje panie - wtrąca się Ojciec. Kamera zostaje wyłączona. To wszystko. Ostatnie nagranie Jenny Fox sprzed śpiączki. Drobną sprzeczką, niemal bez podnoszenia głosu. Czemu Lily sugerowała, że to najważniejszy dysk, który powinnam obejrzeć? O co jej chodziło? Ostatni dysk to niewypał. Rozczarowanie. Z jakiego powodu spodziewałam się nie wiadomo czego? A może po prostu próbowała mi oszczędzić godzin nudy? Na skróty do celu? Żeby zobaczyć, jakim ja byłam kutasem, i wzięła się do życia, ruszyła naprzód. Może właśnie to czuję? To powinnam teraz zrobić. Iść naprzód.

Zraniłam Claire. Wiem o tym. Pamiętam, jak próbowałam jej powiedzieć, że mi przykro. Kiedy cały mój świat zamarł i słowo „przepraszam” nie mogło mi przejść przez gardło. Przepraszałam za co? Za wypadek? Za szorstkie traktowanie? Za nazywanie jej Claire, chociaż chciała jedynie, by jej mówić Mamo? Może dlatego Lily nie chce mieć ze mną nic wspólnego: z powodu tego wszystkiego, co przeszła przeze mnie Claire.

Ruszać naprzód.

To powinnam teraz zrobić.

Głębia

Claire wchodzi przez frontowe drzwi właśnie w chwili, kiedy stoję na najniższym stopniu. Trzyma całe naręczce katalogów i próbek materiałów.

- Pomóc ci... Mamo?

Jest jak odmieniona. Jedno zwykłe słowo starło pięć lat z jej twarzy. Zawsze myślałam, że to do niej należy cała władza. Myliłam się.

Uderza mnie jej uroda i ogarnia wstyd, że tak długo powstrzymywałam się przed wypowiedzeniem upragnionego słowa. Matka odkłada wszystko na stół w korytarzu.

- Dam sobie radę... Jenno - głos ma łagodny, moje imię brzmi jak znak zapytania.

Schodzę ze schodka. Wpatrujemy się w siebie z oczyma na jednym poziomie, jak gdybyśmy trzymały coś delikatnie między sobą. Coś. Naraz zaczyna mi się kręcić w głowie, jakbym traciła równowagę. Czy tak się czuje ktoś, kto rusza naprzód? Cofam się. Nie mogę tego zrobić. Coś jest nie w porządku. Ale mam wobec niej dług. Wiem, że tak. Ręce mi drżą. Wzrok się mąci. Próbuję się opamiętać. Wsuwam ręce do kieszeni dzinsów. Klucz. Wciąż tam jest. Wydaje się gorący.

- Wobec tego mogę iść na spacer? Cały dzień siedziałam w domu.

Waha się, potem kiwa głową.

- Tylko nie odchodź daleko - prosi, zmierzając do kuchni.

Kiedy znika mi z oczu, otwieram frontowe drzwi, potem zamykam je głośno, żeby myślała, że wyszłam. Koncentruję się na swoich stopach, staram się stąpać jak najlżej i przemykam korytarzem do jej pokoju. Odłożę klucz na miejsce, zanim zauważy jego brak.

Zaczynam odsuwać narzutę w rogu materaca, kiedy powstrzymuje mnie myśl: „Pośpiesz się, Jenna”.

Czasu mogłoby mi wystarczyć...

Jeśli się pośpieszę.

Zwracam się twarzą do garderoby i nasłuchuję dźwięków z korytarza.

Nic.

Wyciągam klucz z kieszeni. Wsuwa się do zamka z cichym zgrzytem; słyszę, jak obraca się zapadka. Wolno otwieram drzwi, siłą woli nakazując starym zawiasom, by nie skrzypiały. Pokój jest zimny, mroczny, ledwie rozświetlony słabym zielonym poblaskiem. Próbuje wymacać włącznik, ale nie mogę go znaleźć. Oczy szybko przywykają do półmroku i widzę źródło brzęczenia. Komputery. Trzy. Stoją na niskim stole w małym, ciemnym pomieszczeniu. Mają dziwny kształt; każdy z nich to piętnastocentymetrowy sześcienny klocek, znacznie większy od komputera domowego, i każdy został podłączony do własnej stacji dokującej. Czemu nie włączono ich po prostu do sieci domowej? Podchodzę bliżej i zauważam na środkowym małą białą etykietkę.

JENNA ANGELINA FOX.

Dotykam dłonią tabliczki, tak aby imię wniknęło przez skórę. Jenna Angelina Fox. Już dawno powinnam była zapytać. Dzięki temu czuję się kompletna. Początek, koniec i środek. Czemu nieznanne zawsze wydaje się takie przerażające? „Angelina”. Zamykam oczy w ciemności i wypowiadam imię szeptem. Czuje moje stopy wparte w podłogę; moje miejsce w świecie. Należę tutaj. Zaslужuję, by tu być. Jak drugie imię mogło sprawić aż tyle? Czy to szczegóły z naszego życia czynią nas sobą, czy też sam fakt, że je pamiętamy, zmienia wszystko?

Otwieram oczy i oglądam uważnie swój komputer. Zastanawiam się, co zawiera. Prace domowe? Listy do przyjaciół?, Czuje przyływ energii, niczym wzbierającą we mnie falę. Historia. Moja historia. Powinien stać w moim pokoju. Próbuje go podnieść, ale jest zabezpieczony metalowym okuciem. Staram się je oblużować. Jeden nit wyskakuje, lecz pozostałe trzymają mocno. Uderzam w okucie nasadą dłoni, pomagając sobie całym ciężarem ciała, ale ręka się ześlizguje i rozcinam ją o ostrą krawędź. Dłoń przeszywa ból; cofam się, lecz ból



szybko mija. Przyciskam rękę do brzucha, bojąc się spojrzeć. Wiem, że rana jest głęboka. Skoro Matka mało nie zemdląca z powodu drobnego otarcia na kolanie, nie potrafię sobie wyobrazić, jak zareaguje na ten widok.

Spomiędzy palców płynie strumyczek krwi. Będę musiała zabrać komputer później. Wychodzę z garderoby, zamykam ją na klucz i szybko wracam do swojego pokoju, starając się przemknąć cicho po schodach. Idę do łazienki i rygluję za sobą drzwi.

Jak poważna jest rana? To był tylko niewielki kawałek metalu. Trzymam rękę nad zlewem, żeby nie pochłapać podłogi, lecz na szczęście krew już przestała lecieć. Od mięsistej nasady kciuka w stronę nadgarstka biegnie siedmio centymetrowe rozcięcie. Nie mogę się nadziwić, że przestało mnie boleć. Będzie trzeba szyc? Rozchyłam skórę, żeby sprawdzić, jak głęboko sięga zranienie.

Głęboko.

Co... Jak...

O mój Boże.

Nie mogę. Myśleć.

Głęboko.

## Błękit

---

Schody się kołyszą. Chwieją.

Przyciskam rozciętą dłoń do brzucha. Drugą wymacuję poręcz schodów.

Moją bluzkę plami tylko niewielka smuga krwi. Tak mało. I prawie nie jest czerwona. Czy w ogóle ma czerwoną barwę?

Potykam się i zsuwam o trzy stopnie naraz.

- Jenna?! - woła z kuchni odległy głos.

Jeszcze kilka schodów. I żadnego bólu. Ręka nie boli.

Korytarz się kołysze, framuga drzwi chwieje. Matka i Lily obramowane światłem siedzą przy kuchennym stole.

Przerywają rozmowę. Patrzą na mnie uważnie. Wzrok Matki skupia się na mojej bluzce. Na plamie krwi. Zaczyna się podnosić, ale powstrzymuje ją jedno moje słowo.

- Kiedy?

- Jenna...

- Kiedy zamierzałyście mi powiedzieć?! - krzyczę. Wyciągam rękę przed siebie. - Co to jest?!

Dłoń matki podrywa się do podbródka, częściowo zakrywa jej usta.

- Jenna, pozwól mi wytłumaczyć... Lily wstaje.

- Powinnaś usiąść - mówi. Staje za swoim krzesłem i podsuwa je nie.

Siadam, bo nie wiem, co innego zrobić. Podnoszę wzrok na Claire.

- Co jest nie tak z moją ręką?

Kładę ją na stole i rozchylam rozcięcie palcami. Skóra okrywa grubą warstwę błękitu. Błękitnego żelu. W głębi widać srebrzystobiały połysk syntetycznych kości i więzadeł. Plastik? Kompozyt metalowy?

Matka odwraca wzrok.

- Co się stało? - pytam. Szeptem.
- To po wypadku - wyjaśnia. „Wypadek”.
- Została amputowana?

Matka sięga do mnie. Kładzie mi obie dłonie na przedramieniu.

- Jenna, skarbie...
- Powiedz.
- Była poparzona. Strasznie poparzona.

Patrzę na drugą rękę spoczywającą na stole obok tej skaleczonej. Moja druga idealna ręka. Idealna ręka, której palce nie chcą się spleść jak należy. Dłoń potwora. Patrzę na Matkę. Wygląda, jakby rozsypywała się od środka, załamywała pod naporem straszliwego ciężaru.

- A co... z tą? - pytam, unosząc drugą dłoń. Kiwa głową.

O mój Boże. Spuszczam wzrok, świat poza obrębem moich kolan znika. Nagle robi mi się bardzo zimno. Skóra, w której nigdy nie czułam się dobrze, naraz wydaje się obca. Słyszę, jak Lily obchodzi stół. Zgrzyt przesuwanego krzesła. Westchnienie, gdy siada. Dźwięki huczą mi w uszach. Moje ręce dygocą. Patrzę na nie. Czy w ogóle mogę je nazywać moimi?

Zwracam się do Matki.

- Coś jeszcze?

Płyną łzy. Na jej twarzy maluje się rozpacz.

- Jenno, co to za różnica? Wciąż jesteś moją córką. I tylko to się liczy...

Moje niezgrabne stopy. Moje nogi. O Boże, nie.

- Wstań - mówię. Podnoszę się z miejsca. Matka patrzy nierozumiejąco.

- Wstań! - wrzeszczę.

Wstaje, ukradkiem odsuwa się ode mnie. Nasze oczy znajdują się na jednym poziomie. Jesteśmy dokładnie tego samego wzrostu.

- Ile masz wzrostu, Matko? - szepczę każde słowo wyraźnie; są jak rząd węzłów na linie, której rozpaczliwie się chwytam.

- Jenno? - Nie rozumie. Nie wie, co widziałam. Na tym ostatnim wideo, które kazała mi obejrzeć Lily; tam, gdzie wyrzucam w złości, jaka jestem wysoka. Lęk wykrzywia jej twarz. Nie odpowiada.

- Ile masz wzrostu? - powtarzam ostro.

- Metr sześćdziesiąt siedem.

Opadam z powrotem na krzesło, kręcąc głową. Matka mamrocze, tłumaczy bezładnie, wyjaśnia, ale dla mnie to tylko szum. W końcu zmuszam się, by na nią spojrzeć.

- Powiedz mi wszystko.

- Co? - Udaje, że nie rozumie, o co mi chodzi. Rozumie. Widzę to w jej oczach, w nerwowym wycofaniu się z nadzieją, że wszystko zniknie.

- Ile mnie zostało?

Wargi jej drżą. Oczy napelniają się łzami. Wtrąca się Lily.

- Dziesięć procent. Dziesięć procent mózgu. Tylko tyle udało im się uratować. Powinni pozwolić ci umrzeć.

Próbuję zrozumieć, co powiedziała. Widzę jej poruszające się usta. Słyszę słowa. Dziesięć procent. Dziesięć procent.

I wtedy w Matce nagle budzi się gwałtowność. Lwica. Kilka centymetrów od mojej twarzy.

- Ale to najważniejsze dziesięć procent! Słyszysz? Najważniejszel!

## Na szpilce

---

Leżę w łóżku. Gapię się w sufit. Claire chodzi tam i z powrotem. Wychodzi. Wraca. Błaga. Informuje. Słucham, ale nie reaguję. Lily też przychodzi. Patrzy. Szepta do Claire. Podchodzi do mnie bliżej. Wychodzi. I wraca.

Nie wiedzą, co ze mną robić. Przyjedzie Ojciec. Claire do niego dzwoniła. Parę godzin temu. Teraz jest środek nocy. Druga nad ranem. „On wszystko wyjaśni” - mówi Claire. Kiedy tu dotrze. On sprawi, że zrozumie. A mimo to siedzi na brzegu mojego łóżka i próbuje tłumaczyć sama.

- Byłaś tak bardzo poparzona, Jenno. Próbowaliśmy wszystkiego. Nawet mimo tymczasowych przeszczepów traciłaś zbyt dużo płynów. Kazaliśmy cię stabilizować przez kilka dni. Miałam tyle nadziei. Ale potem wdały się infekcje i

szybko cię traciliśmy. Antybiotyki nie skutkowały. Na wiele decyzji nie było czasu. Ojciec zaciągnął mnie do składziku, Jenno. Do składziku! Tam musieliśmy zdecydować. Szepnął, że to jedyny sposób, by cię uratować. Musieliśmy wybrać - ocalić cię w jedyny znany nam sposób albo pozwolić ci umrzeć. Każdy rodzic na świecie wybrałby to co my.

Ugniata dłońmi brzeg mojego łóżka. Podnosi się. Okrąża pokój. Wraca i staje w nogach.

- Kazaliśmy cię przenieść. Natychmiast. Do prywatnego szpitala. Do izolatki. Wszystkich lekarzy zajmujących się twoim przypadkiem odwołano, z wyjątkiem pracujących z ojcem w Fox BioSystems. Infekcja rozprzestrzeniała się bardzo szybko. Ojciec wstrzyknął ci nanoboty dosłownie w karetce, w drodze do nowego szpitala. Musieli natychmiast zacząć skanowanie mózgu.

- Czemu?

Wstaje znowu. Twarz ma ożywioną. Czujną. Rozjaśnioną. Fakt, że się odezwałam, dodał jej otuchy. Niesłusznie.

- Twoje żyły się zapadały. Nie byliśmy pewni, ile jeszcze wytrzyma serce. Krążenie krwi ma kluczowe znaczenie dla dobrego skanu. Skanowanie trwa co najmniej sześć minut. Główne narządy już przestawały działać. Zanim cię dowieźli na salę operacyjną, serce stanęło dwa razy. Biożel czekał gotowy. Uratowali wszystko, co jeszcze funkcjonowało.

Podchodzi blisko. Biel. Klęka przy łóżku i ujmuje moją zranioną rękę w swoje dłonie. Trzyma ją tak, jakby chciała ocalić przed roztopieniem.

- Motyl, Jenno. Tak to nazywają. Serce mózgu. Tyle nadal masz.

A reszta? Moje wspomnienia? Moja historia? One nie mieszczą się w motyłu. Czym jest ta reszta? Jakim sposobem przypomniałam sobie tak wiele rzeczy? Teraz już prawie wszystko. Prócz wypadku.

Zamykam oczy. Chcę, żeby sobie poszła. Nie chcę rozmawiać o motylach ani sercach. Nie chcę nawet poznać odpowiedzi. Nie chcę jej. Czuję na dłoni dotyk jej policzka. Jej oddech. Jej pragnienie. A potem wolno odsuwa się i wychodzi.

Znowu otwieram oczy. W pokoju jest ciemno. Cisza panująca w domu przypomina ciężki koc. Przygważdża mnie do łóżka.

## Biel

---

W ciemności był moment, kiedy strach opadł. Moment, kiedy otoczyła mnie biel. Nadzieja.

Lily i ktoś jeszcze, i spadające krople wody.

„Woda święcona, Jenno”.

„Możesz się poddać, jeśli chcesz”.

„Przebaczenie, Jenno”.

Ale nie mogłam się poddać.

Nie było to w mojej mocy.

Już wirowałam, leciałam, spadałam.

W głębie, której nie rozumiałam.

Gdzie zniknęły wszystkie dźwięki prócz mojego głosu.

Tylko ja.

Tak długo.

Nie chcę więcej być sama.

## Ojciec

---

Słyszę skrzypnięcie. Zegar wskazuje trzecią rano. Ojciec staje w drzwiach, miękkie, żółte światło z korytarza pada na jego twarz. Na policzkach ma cień zarostu. Włosy zmierzwione. Oczy zapadnięte. Wygląda, jakby biegł całą drogę z Bostonu.

- Aniolku - szepcze.
- Nie śpię — odpowiadam. Podchodzi i siada na skraju łóżka.
- Przepraszam - szepcze. - Nie chciałem, żebyś się dowiedziała w taki sposób.
- Moje ręce są sztuczne - odzywam się. - Nogi też. Kiwa głową.

Siadam i opieram się o zagłówek łóżka. Podnoszę obie ręce i patrzę na nie.

- Uwielbiałam swoje ręce. Swoje nogi — mówię bardziej do siebie niż do niego. - Nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiałam. Po prostu były. A teraz widzę, że te... - obracam je, przyglądam się dłoniom - ...te są inne. Nie moje. Podróbki.



Czekam, żeby zaprzeczył, za pomocą zaledwie kilku słów wymazał ostatnich dwanaście godzin. Obserwuję jego twarz. Nawet w ciemnej sypialni widzę, jak bardzo jest zmęczony. Widzę czerwone obwódki wokół jego oczu.

- Są prawie identyczne z oryginałem - mówi. -Dzięki nagraniom występów baletowych mogliśmy wymierzyć cyfrowo każdy centymetr twojego ciała.

- Niech żyją nagrania, co?

Słyszy sarkazm w moim głosie i na moment zamyka oczy. Boli mnie. Może to jego cierpienie. Cierpienie Claire. Ale najbardziej moje własne. Moja strata. Nie potrafię się przejmować ich stratą. Nie teraz. Skąd się wzięłam w tym miejscu? Jak mam wrócić?

Ujmuję moją dłoń i ogląda rozcięcie.

- To nawet nie jest naturalna skóra, prawda? - pytam.

- Jest. Jest naturalna. Częściowo nawet twoja własna.

- Jak to?

- To skóra laboratoryjna. Wyhodowana w laboratorium i zmodyfikowana genetycznie, żeby ją odżywiać poprzez biożel. Trwało całe miesiące, zanim zdobyliśmy wszystkie potrzebne typy. Mogliśmy wykorzystać tylko niewielką część twojej z powodu poparzeń i infekcji. Ale i tak trochę pobraliśmy - jego głos staje się silniejszy, nie tak zmęczony. Czuje się pewniej jako lekarz niż jako mój ojciec.

- Co to znaczy zmodyfikowana?

- Musieliśmy wprowadzić pewne zmiany, żeby móc jej dostarczać substancje odżywcze i tlen w inny sposób.

- A więc to nie ludzka skóra.

- Jest ludzka. Całkowicie ludzka. Od lat zmieniamy genetycznie rośliny i zwierzęta. To nic nowego. Na przykład pomidory. Modyfikujemy je, by zyskały odporność na pewne szkodniki albo dały się dłużej przechowywać, lecz to nadal stuprocentowe pomidory.

- Nie jestem pomidorem. Patrzy na mnie ostro.

- Nie. Nie jesteś. Jesteś moją córką. Musisz wiedzieć, Jenno, że zrobiłbym wszystko, by cię uratować. Jesteś moim dzieckiem. I chcę być z tobą szczerzy. Więc dajmy spokój bzdurom. Skóra laboratoryjna to przedwczorajszy news. Chcesz się dowiedzieć czegoś więcej? Przejdźmy do rzeczy.

Zawsze uwielbiałam za to Ojca. Był bezpośredni. Z Claire potrafiłam krążyć wokół tematu całymi dniami i tygodniami. Ale nie z nim. Może rzadziej bywał w domu. Nie miał czasu do stracenia. W tej chwili chce mi się tańczyć. Czuję, że mogłabym tańczyć bez końca.

- Jenno - ponagła.

- Skóra, kości, to jedno - mówię. - Ale Lily wspomniała, że uratowaliście tylko dziesięć procent mózgu. To prawda?

- Tak.

- Czym wobec tego jestem? Nie waha się.

- Jenną Angeliną Fox. Siedemnastolatka, która przeżyła poważny wypadek i była bliska śmierci. Została uratowana w taki sam sposób jak wiele ofiar wypadków, dzięki technologii medycznej. Twoje ciało odniosło zbyt poważne obrażenia, by udało się je ocalić. Musieliśmy poskładać z kawałków nowe. Zreplikowano strukturę kostną. Masz szkielet normalnej nastolatki. Obszary umię-

śnione uzupełniono zmodyfikowanym biożelem. Większość ruchów jest wykonywana za pośrednictwem cyfrowych sygnałów przesyłanych poprzez kości. Niektóre przebiegają tradycyjnie, okablowanymi ścięgnami. Otrzymałaś nową skórę. Twój mózg, te dziesięć procent, które uratowaliśmy, nasycono dodatkowo biożelem. Ale niewątpliwie dziesięć procent nie wystarcza do pełnego funkcjonowania, więc zeskanowaliśmy cały i up-loadowaliśmy tę informację do komputera, by ją przechowywać bezpiecznie, aż pozostałe elementy znajdą się na właściwych miejscach.

- Uploadowaliście? Uploadowaliście mój mózg?

- Informację. Każdy bit informacji, jaki kiedykolwiek się w nim znajdował. Ale informacja to nie umysł, Jenno. Nigdy wcześniej nie udało się tego osiągnąć. To, co zrobiliśmy, stanowi przełom. Złamaliśmy szyfr. Umysł jest energią wytwarzaną przez mózg. Wyobraź sobie szklaną kulę wirującą na czubku palca. Jeśli spadnie, roztrzaska się na milion okruchów. Nawet jeśli zachowamy je wszystkie, nigdy już nie będą wirować z taką samą siłą. Mózg działa na podobnej zasadzie. Nielegalne skany wykonywano od lat. Wstrzykuje się nanoboty wielkości krwinek, niekiedy nawet bez wiedzy zainteresowanego, bo cały transfer odbywa się bezprzewodowo. A potem pozyskuje się bity informacji. Ale umysłu - umysłu nigdy nie udało się przetransferować. To coś zupełnie innego niż bity informacji. Odkryliśmy, że umysł przypomina wirującą szklaną kulę. Trzeba ją utrzymywać w ruchu, inaczej spadnie i się rozbije. Więc umieściliśmy bity informacji w środowisku, które, można powiedzieć, utrzymuje tę energię w ruchu.

- Utrzymuje myślenie w ruchu. Kiwa głową.

To środowisko było moim piekłem. Czarną pustką, której nie rozumiałam. Nieskończoną próżnią, w której dusiłam się, krzyczałam, płakałam, lecz nikt nie przyszedł mi na pomoc.

Zesłał mnie tam własny ojciec.

Ukrywam twarz w dłoniach. Dłoniach, które naprawdę nie są moje. Spazmatycznie wciągam powietrze. Czy ja w ogóle mam płuca, czy to tylko zapamiętany odruch? Wzdrygam się, czując odrazę do wszystkiego, czym być może jestem; chcę uciec, lecz znowu zostałam złapana w pułapkę. Przez kogo? Samą siebie? Nie wiem już, kim ani czym jestem.

Czuję obejmujące mnie ramiona Ojca. Jego zarost drapie mnie w policzek. Szepcze mi do ucha: „Jenno. Jenno. Wszystko będzie dobrze. Przyrzekam”. Znowu jest moim ojcem, nie lekarzem. Pewność siebie zniknęła. Słyszę strach w jego głosie. Nie jest przekonany, czy wszystko będzie dobrze.

Odpycham go.

- Chcę wiedzieć. Wszystko.
- Dowiesz się. Ale nawet tych dziesięć procent mózgu potrzebuje odpoczynku. Prześpijmy się oboje. Porozmawiamy dłużej rano.

Jestem zmęczona. Wyczerpana. Kiwam głową i kładę się na poduszce.

Zatrzymuję go, kiedy stoi już w drzwiach.

- To prawda?
- Co?
- To naprawdę najważniejsze dziesięć procent?
- Tak - odpowiada. - Szczerze wierzę, że tak.

## Nowa Jenna/Dzień pierwszy

---

Ojciec zszywa mi skórę. Czuję bolesne uszczyknięcie. - Rana jest głębsza, niż mi się zdawało wczoraj w nocy - mówi. - Jak sobie to zrobiłaś?

- To było, kiedy... - Ostrożnie, Jenno. Oni schowali przed tobą twój komputer. - To było, kiedy poszłam na spacer. Potknęłam się i upadłam na skalę.

- Zrobiłaś to sobie o skalę?

- Miała ostrą krawędź.

- Ach.

Nie jestem pewna, czy mi wierzy, ale z drugiej strony ja też nie wiem, na ile mogę wierzyć jemu. Sądzę, że to wyrównuje rachunki. Zwilża spięte rozcięcie żelem i zaczyna owijać gazą. Siedzimy przy stole w kuchni. Claire też. Wciąż ma na sobie to samo ubranie co wczoraj, teraz wygniecione. Zwykle starannie uczesane włosy są dziś rozczochrane. Jest zmęczona, rysy ma nieruchome, jakby brakowało jej energii, żeby cokolwiek wyrazić, ale widzę, że nadal musi się powstrzymywać od mówienia; pozwala tłumaczyć wszystko Ojcu. On niczego nie ukrywa i widzę, jak Claire krzywi się na niektóre informacje.

- Skoro zachowałam tylko dziesięć procent mojego pierwotnego mózgu, co stanowi resztę?

- To nie do końca zgodne z prawdą, że nie masz swojego mózgu. Masz. Po prostu brak ci części materiału, z którego był zrobiony. Teraz zastąpił go biożel.

- Więc wyjaśnij, co to jest biożel — zadaję pytania bezbarwnym głosem. Bez emocji. Bez złości. Bez smutku. Bez akceptacji i wybaczenia. Nie mogę im go dać.

- Biożel to sztuczna sieć neuronowa oparta na modelu biologicznym. Skondensowany, natleniony żel wypełniony neurochipami. Są małe jak ludzkie neurony i — co wspaniałe - komunikują się oraz przekazują informacje w taki sam sposób jak ludzkie neurony, poprzez chemiczne neuroprzekaźniki. Typowy mózg ludzki, Jenno, składa się ze stu miliardów neuronów. Ty masz pięć razy więcej. Każdy centymetr twojego ciała jest przesycony biożelem.

Wyczuwam, że zdaniem Ojca powinno to wzbudzić mój podziw. Może nawet wdzięczność. Ale co z moim brakującym sercem? Moją wątrobą? Nie chcę pięciuset miliardów neurochipów. Chcę bebechów.

Dalej opisuje swoje dzieło.

- Kompletną informację z twojego mózgu uploadowaliśmy do centralnej sfery wokół ocalałej tkanki, mostu albo motyla, jak bywa niekiedy nazywany. Z czasem jednak ta informacja rozprzestrzeni się po całej sieci.

- Skoro cała się tam znajduje, skąd się biorą moje kłopoty z pamięcią? - Nie wspominam, że pamiętam pewne rzeczy, których nie powinnam. Jak własny chrzest, gdy miałam dwa tygodnie. Chcę wierzyć, że Ojciec nadal ma wszystko pod kontrolą, ale tego rodzaju wspomnienia sugerują, że może być równie zagubiony, jak ja. Majstrował przy nieznanym. Jakie drzwi otworzył? Czy nie zmieni zdania i nie zechce ich zamknąć?

- Twoje problemy z pamięcią przypominają kłopoty kogoś, kto przeszedł wy-  
lew i powoli wraca do zdrowia — tłumaczy. - Mózg musi znaleźć nowe drogi,  
by dotrzeć do informacji i ją przechować. To właśnie teraz robi. Neurochipy  
tworzą szlaki.

- Jesteś pewien, że wszystko tam jest?

Matka i Ojciec wymieniają szybkie spojrzenia. Sądzą, że jestem ślepa?

- W miarę pewien - odpowiada Ojciec. „W miarę”. Jakby to mogło wystar-  
czyć. Skończył już z moją ręką, więc wstaje.

- Zatem jeśli to wszystko takie przełomowe i wspaniałe, czemu tu jesteśmy? -  
Znam odpowiedź, ale chcę ich przycisnąć, jak dziecko popychające drugie na  
placu zabaw. To przyjemne. Odpowiadam na własne pytanie, zanim zdążą je  
przekreślić po swojemu. - Jestem nielegalna, prawda? Dlatego tu mieszkamy.  
Ukrywamy się.

Matka wstaje, obchodzi stół i zbliża się do mnie.

- Jenno, przepisy się zmieniają... Ojciec wpada jej w słowo.

- Ty nie zrobiłaś nic złego. Nielegalne jest to, co my zrobiliśmy. Zatem masz  
rację, to jeden z powodów, dla których tu mieszkamy.

Matka chce mnie dotknąć; wyciągam przed siebie rękę obronnym gestem, że-  
by ją powstrzymać.

- Jeden z powodów? - pytam.

Ojciec się waha. Wymienia kolejne spojrzenie z matką.

- Biożel ma pewne ograniczenia. Wiemy, że jego okres przydatności... natlenienie... spada w krańcowych temperaturach, szczególnie w niskich. Wybraliśmy to miejsce, bo ma najstabilniejszy klimat umiarkowany w całym kraju.

Zaczynam się śmiać. „Okres przydatności”? Mój Boże, mam okres przydatności!

- Nie ma nic niezwykłego w...

- Przestań! Mam okres przydatności, na miłość boską! To jest niezwykle!

- Nazywaj to jak chcesz, ale która żywa istota nie ma swego rodzaju okresu przydatności? Wszyscy go mamy. Wypaczasz znaczenie...

- W głowie mi się nie mieści! - Obracam się w miejscu, wymachując rękami nad głową, zaraz jednak ogarnia mnie niesmak, że naśladuję nerwowe gesty Claire. Zamieram i zwracam się twarzą do Ojca. - Ile czasu przetrwa?

- W tym klimacie, jak sądzimy, dobrych dwieście lat. Problem w tym, że nie ma na razie danych...

- A gdybym się przeniosła w chłodniejszy klimat? Do Bostonu?

- Znowu, brak nam dokładnych danych, ale mógłby się skurczyć do zaledwie paru lat albo nawet mniej.

Gapię się na nich oboje. Właśnie kiedy myślałam, że nie może być gorzej, okazało się, że może. Moja oczekiwana długość życia wynosi od dwóch do dwustu lat. Co będzie następne w kolej? Cofam się do drzwi.

- Jak mogliście mi to zrobić?

- Postąpiliśmy tak, jak postąpiłby każdy rodzic. Uratowaliśmy cię.



- Co uratowaliście? Jestem dziwołagiem! Uratowaliście uploadowanego do biożelu mechanicznego dziwołaga!

Matka podchodzi o krok i w mgnieniu oka podrywa rękę, by mnie uderzyć w twarz, zastyga jednak z ramieniem zamarłym w pół ruchu. Opuszcza je z rozmysłem. Nawet w gniewie nie chce uszkodzić choćby jednej komórki na twarzy swojej drogiej Jenny.

- Nie wolno ci tak o sobie mówić! I nie wolno ci nas osądzać! Nigdy tego nie zrozumiesz, póki nie znajdziesz się w naszej sytuacji! — Odwraca się raptownie i wychodzi z kuchni.

Ojciec i ja patrzymy na siebie. Wyjście Matki pozostawia puste miejsce, zaburza równowagę w naszym i tak chwiejnym trójkącie.

- To było dla niej bardzo trudne, Jenno - mówi na koniec cichym, załamującym się głosem. On też zaczyna się rozklejać? Oboje rozsypują się na moich oczach. Muszę wyjść. Uciekaj, Jenno. Otwieram drzwi prowadzące na podwórze i zatrzymuję się w progu - a dla mnie nie było trudne? Obracam się i raz jeszcze patrzę na Ojca.

- Jestem nielegalna. Nieważne, jak będziecie wykręcać słowa... Jestem nielegalna. Nie wiem nawet, czy jestem człowiekiem.

Ojciec garbi się na krześle. Pochyla się naprzód, wpija palce w twarz i skórę głowy.

- Ja to wiem. Jesteś w stu procentach człowiekiem.

- Skąd ta pewność?

- Jestem lekarzem, Jenno. I naukowcem.

- Czy to cię czyni autorytetem we wszelkich sprawach? A co z duszą, Ojczy? Pomyślałeś o tym, kiedy byłeś zajęty wszczepianiem tych wszystkich neurochirurgów? Czy moją duszę też wyciąłeś ze starego ciała? Gdzie ją umieściłeś? Pokaż! Gdzie? Gdzie pośród całej tej przełomowej technologii upchnąłeś moją duszę?

Obracam się i wychodzę, nie czekając na odpowiedź. O ile ją miał.

## Lily

---

Zawsze dostawałam piątki. Zawsze byłam bystra. Ale nie tak inteligentna jak Kara i Locke. Oni byli naprawdę błyskotliwi. Więcej niż tylko odcytani. Domyśliliby się znacznie szybciej.

Siedzę na tym samym wielkim, płaskim gładzie, na którym ledwie wczoraj całowałam się z Ethanem. Wczoraj, kiedy byłam jedynie dziewczyną z zaburzeniami pamięci. Teraz wczoraj jest odległe jak drugi koniec świata.

Zamierzałam uciec do lasu, zejść z widoku, ale wiem, że wpadliby w panikę. Może nawet ruszyliby za mną. A jeśli coś się stanie ich cennej Jennie? Teraz pewnie mnie obserwują. Przez okno. Deliberując. Gotowi pędzić na pomoc. Odgadując każdą myśl, zanim się pojawi w mojej głowie. Rozważając, czy mogli zrobić coś inaczej i co powinni zrobić teraz. Niemal czuję ich wzrok na plecach. Obracam się, ale widzę jedynie zimny, milczący dom. Cegły leżą na paletach,

czekając na remont werandy. Rusztowanie dla malarzy stoi puste. Dzisiaj odwołano wszystkich robotników. Remont został wstrzymany.

Lily nie widziałam wcale. Wszyscy potrzebujemy przestrzeni.

Gapię się na staw. Jest prawie gładki. Przy brzegu pana Bendera łyska co kilka minut burzy wodę, nurkując za czymś na dnie. Zmarszczki nie docierają nawet do naszego brzegu. Zanikają gdzieś pośrodku. Koncentruję się na tym niewielkim obszarze, gdzie coś zmienia się w nic. Kiedy dokładnie znika? I co się z nim dzieje?

Zdejmuję tenisówkę i rzucam najdalej, jak potrafię. Wpada z pluskiem do wody pośrodku stawu; spłoszona łyska znika w trzcinach. Zmarszczki rozbiegają się we wszystkie strony. Dosięgają obu brzegów, lecz w niespełną minutę powierzchnia staje się znowu gładka jak szkło; burzliwe wtargnięcie tenisówki jest historią, a ja mam o jeden but mniej. To najmniejsze z moich zmartwień; znowu do tego wracam. Ja. Czymkolwiek jestem.

Mnie samą zaskoczyło pytanie zadane Ojcu. Teraz nie mam odwrotu. Skąd się wzięło? Czy to moje sztuczne neurochipy błagały, żebym upomniała się o to, co pozostawiono na pastwę losu? A pozostawiono? Pytanie drąży w głąb, niczym drzazga, z każdym poruszeniem wbijająca się głębiej w ciało.

Moja dusza.

Ściągam skarpetkę z nieobutej stopy. Ciało wygląda jak prawdziwe. Prawdziwe palce. Protezy Ally są nieźle wykonane, ale daleko im do tych. Te wyglądają naturalnie. Czują. Przesuwam stopą po skale, wyczuwając zimną powierzchnię, nierówny granit. Okruchy żwiru.

Patrę na znów szklistą powierzchnię stawu. Podwijam palce, przeciągając nimi po skale. Słucham, jak paznokcie drapią o kamień. Wbijają się w niego.

Zdzierają o niego. Pytania wracają wciąż na nowo. Czy ona w ogóle istnieje? Czy o mojej zapomniano?

Patrzę na dłoń zwiniętą na kolanach, bandaż, który teraz okrywa tajemnicę. Wracają mdłości, jak kiedy zobaczyłam ranę po raz pierwszy. Wystarczy jedna chwila, jeden rzut oka, by rzeczywistość fiknęła koziółka. To, w co wierzymy, znika. Nasza wiara nie sprawia, że coś jest prawdą.

Matka i Ojciec zawsze chcieli, żebym była tyłoma osobami. Ale ich pragnienia także nie zmieniły rzeczywistości. Teraz chcą, żebym po prostu była tym, kim dawniej. Nie jestem. Nieważne, jak bardzo tego pragnę - ani jak bardzo ja tego pragnę — nie potrafię sprawić, by tak się stało. Uczucie porażki wydaje się znajome. Zawsze tak bardzo się starałam być tym, kim chcieli. Wszystkim, czym mogłoby zostać troje dzieci. Ich cudowna córeczka. Ja. Teraz jestem innego rodzaju cudem. Zdumiewającym, sztucznym dziwolągiem.

- Świat zmienił się nie do poznania, co?

Wzdrygam się i oglądam za siebie. To Lily. Nie słyszałam, kiedy podeszła i stanęła za mną. Nie odpowiadam; odwracam się do niej plecami.

- Pozwolisz, że usiądę?

Gapię się na staw bez słowa, tuląc kolana do piersi. Siada nieproszona.

Głaz jest duży. Odległość między nami niewielka. Czuję każdy centymetr dzielącego nas dystansu. Lily nie wygląda na zmieszaną faktem, że nie rozmawiamy. Duszę się. Nie przyszła tu bez powodu. Na co czeka? Wreszcie burzy dzielącą nas ścianę milczenia.

- Będę szczerą. Tak naprawdę nie wiem, co o tobie myśleć.

Uśmiecham się ironicznie. Omal nie wybucham śmiechem. Nie odpuści do końca. Ale jakoś mi łatwiej zaakceptować jej obcesowość niż kłamstwa.

- Nie owijasz w bawełnę.

- A po co?

- Fakt - odpowiadam, wciąż patrząc przed siebie. - Po co szanować moje uczucia, skoro jestem dziwolągiem?

- Ty tak powiedziałaś. Nie ja.

- Niektórych rzeczy nie trzeba mówić głośno.

- Półtora roku temu pozwoliłam odejść mojej wnuczce - wyjaśnia. - Pożegnałam się z nią. Oplakałam.

A kilka godzin później twoi rodzice powiedzieli mi, co zrobili.

- I uznałaś, że postąpili źle?

- Nie jestem taka jak oni. Uważam, że istnieją rzeczy gorsze od śmierci.

Myślę o mrocznym miejscu, w którym byłam, jednocześnie nie będąc nigdzie. Uwięziona w pułapce, martwa, lecz żywa. Mocniej obejmuję kolana i odwracam głowę, by spojrzeć w oczy Lily, która przyglądała mi się cały czas.

- I sądzisz, że to właśnie stało się z Jenna? Ze umarła? Kręci głową.

- Znowu zaczynasz. Wkładasz mi w usta słowa, których nie powiedziałam. Zawsze byłaś dobra w przypisywaniu. .. - Urywa gwałtownie, jakby przyłapała siebie na wyznaniu. - Jak już mówiłam, nie wiedziałam, co o tobie sądzić. I tyle.

- Nie wiedziałam. Nie wiem. To czy to?

- Nie rozumiem.

- To dwie różne rzeczy. Najpierw powiedziałaś, że nie wiesz, co o mnie sądzić. A przed momentem, że nie wiedziałaś. Czas przeszedł. To wielka różnica. Może się wreszcie zdecydujesz?

Wybuchła śmiechem.

- Boże, mówisz jak Jenna. Wyglądasz jak Jenna. Potrafisz nawet być tak samo cholernie precyzyjna, wybredna i irytująca jak Jenna.

Wysuwa rękę, jakby zamierzała dotknąć mojego kolana, potem jednak ją cofa i opiera z powrotem na swoim udzie.

- Po prostu nie wiem, czy jesteś doskonałą repliką mojej Jenny, czy...

- Czy cudem, o który się modliłaś?

Kiwa głową z zaciśniętymi ustami. Moja babcia. Kładę głowę na podciągniętych kolanach i zamykam oczy, chociaż nienawidzę ciemności.

- Ja też nie wiem - mówię. Wypowiadam te słowa w ciemne, ciasne zgięcia własnych rąk i nóg. Nie jestem nawet pewna, czy Lily mnie słyszy. Ona albo ktokolwiek inny. Znajome uczucie, do którego nigdy nie chciałam wracać.

## Gatunek

---

Ludzki przym. 1. *Typowy dla przedstawicieli gatunku Homo sapiens.* 2. *Reprezentujący skłonności i słabości natury ludzkiej.* 3. *Współczujący, humanitarny.* 4. *Mający ludzką postać lub cechy.*

Co teraz?

Ile godzin człowiek może spędzić w łazience, oglądając skórę, włosy, oczy? Obmacując palce u rąk. U nóg. Oglądając absurdalny pepek?

Ile definicji słowa „ludzki” może znaleźć jeden człowiek? I skąd wiadomo, która z nich jest poprawna?

Ile godzin można spędzić, dygocąc? Obejmując się ramionami?

Rozmyślając?

## Szczegóły

---

Siedzimy w salonie. Ojciec układa drewno w kominku, chociaż Matka ostrzega, że wciąż brakuje fragmentu komina. Nic go to nie obchodzi. Chce mieć ogień. Jeśli dom spłonie, wybuduje nowy. Matka się nie spiera.

Jego czas tutaj jest ograniczony. Nieobecność w Bostonie zostanie zauważona. Zaczną się pytania; współpracownicy nie mogą go kryć zbyt długo. Więc podczas tej nieplanowanej wizyty próbuje mi powiedzieć jak najwięcej o tym, co muszę wiedzieć. Przy kolacji dowiedziałam się więcej o nowej, ulepszonej Jen-

nie. Choć biożel jest samowystarczalny, w rzeczywistości posiadam prymitywny układ trawienny, głównie „ze względów psychologicznych”. Brak mi żołądka, lecz mam coś na kształt jelita. To wyjaśnia moje nieczęste wizyty w toalecie i niezwykłą wytrzymałość. Układ naprawdę przyswaja odżywki ze względu na skórę. Możliwe, że kiedyś będę w stanie zjadać niewielkie ilości normalnego pożywienia. Mówię Ojcu o zjedzeniu musztardy; ściąga brwi, ale nie komentuje. Wygląda na to, że nie zniesie kolejnych dramatycznych wydarzeń. Nawet jeśli miałyby zniweczyć to, nad czym pracowali z Matką tak długo. Musztarda. Nieistotne.

Matka głównie milczy. Przed kolacją, zacinając się co drugie słowo, przeprosiła, że chciała mnie uderzyć. Nie pamiętam, by mnie kiedyś uderzyła, ale wygląda na to, że wstrząsnęła nią sama myśl. Teraz siedzi w staroświeckim fotelu przy ogniu, z odchyloną głową, z oczyma utkwionymi w coś, czego nie potrafię dostrzec. W przeszłość? Czy wspomina każdą minioną chwilę, zastanawiając się, co powinna była zrobić inaczej? Zwykle rozmowna i panująca nad sytuacją, stała się swoim przeciwieństwem, jakby ktoś wyłączył ją z kontaktu. Ojciec wypełnia opuszczoną przez nią przestrzeń, dokładając drew do kominka i dolewając obojgu brandy do szklaneczek. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby Matka piła coś mocniejszego niż sok żurawinowy.

Ojciec nie ustosunkowuje się do pytania, które mu zadałam, zanim wybiegłam z kuchni tego popołudnia. Być może uważa je za nieistotne, jak kwestię musztardy. Nie sądzę, żeby Lily uważała je za nieistotne. Cały wieczór była ostentacyjnie nieobecna. Pomogła przygotować kolację, ale nie przyłączyła się do Matki i Ojca, kiedy jedli, tylko przeprosiła i wycofała się do swojego pokoju.

- Potrzebujecie побыć trochę razem - oznajmiła.



Poprawiając ogień, Ojciec tłumaczy szczegółowo więcej rzeczy, niżbym chciała; żmudny proces ratowania skrawków mojej skóry, hodowania ich w laboratorium i łączenia z innymi próbkami, póki nie uzyskano pożądanej ilości. Potem przechodzi do technologii skanowania mózgu, czego on i jego zespół dowiedzieli się dzięki doświadczeniom ze mną, oraz skutków tego dla przyszłych pacjentów mających podobne problemy. Jak długo działa w trybie lekarza-naukowca, jest elokwentny i kompetentny. Kiedy przełącza się w tryb ojca, zacina się i pod wieloma względami przypomina lustrzane odbicie Matki. Starzeje się. Kim jest owa Jenna Fox, która ma nad nimi tak wielką władzę? Czuję się jak jej słaby, niepewny cień. Może kopia. Szukam choć części jej siły.

Ojciec odchyła się na fotelu naprzeciw Matki i mówi o wyzwaniach związanych z uploadowaniem danych z mózgu do komputera. Siedzę pośrodku sofy między ich fotelami. Naukowe zawilości mają dla mnie mniejsze znaczenie niż ludzkie. Kiedy zaczniemy o nich rozmawiać?

Wcinam się w bezpieczny, lekarski tryb Ojca.

- Czemu mi nie powiedzieliście? - pytam. - Jak tylko się obudziłam? Nie zasługiwałam, żeby wiedzieć?

W mgnieniu oka zwiesza głowę. Jego pierś się unosi. Matka zamyka oczy.

- Może powinniśmy byli, Jenno - odpowiada Ojciec. Wstaje i podchodzi do paleniska. - Nie mówię, że wszystko zrobiliśmy, jak należy. Cholera, nie ma podręczników, jak postępować w tego rodzaju sytuacjach. Błądzimy w ciemnościach. Dla nas to też pierwszy raz, tak samo jak dla ciebie. My...

Przestaje się przechadzać i patrzy na mnie.

- Po prostu staramy się najlepiej, jak umiemy.

Potknięcie w jego głosie przeszywa mnie jak nóż.

Matka otwiera oczy; lwica powraca. Działają jak zespół zapaśników. Kiedy jedno opada z sił, walkę podejmuje drugie.

- Wiemy, że to dla ciebie trudne, Jenno. Nam też nie jest łatwo. Kiedyś to zrozumiesz. Pewnego dnia, gdy będziesz miała własną córkę lub syna, pojmiesz wreszcie, ile rodzice potrafią zrobić dla ocalenia dziecka.

- Spójrz na mnie! Nigdy nie będę miała dziecka! Łagodnieje.

- Zachowaliśmy jajnik, kochanie. Jest w banku narządów. Nie będzie problemu ze znalezieniem matki zastępczej...

Boże! Kawalki mnie poniewierają się po całej okolicy. Wydawałoby się to zabawne, gdyby nie było tak przerażające. Wstaję gwałtownie, rozważając, czy wyjść, czy brnąć przez to do końca.

- Proszę, możemy na razie się ograniczyć do jednej rzeczy? Zadałam proste pytanie - mówię. - Czemu mi nie powiedzieliście? Nie zapomnieliście. Tyle pamiętam na temat was obojga. Szczegóły wam nie umykają. Całe życie się z nimi zmagalam. - Patrzę prosto na Claire.

- Nie wspomnę nawet o fakcie, że jestem teraz o pięć centymetrów niższa, mam wzrost dopuszczalny dla ba-letnicy; to kolejny szczegół, który z pewnością nie był przeoczeniem. A więc po prostu wróćmy do mojego pierwotnego pytania. Czemu zajęło wam to tyle czasu?

- Posłuchaj bardzo uważnie - odpowiada Matka. Jej twarz i głos są surowe. - To z nas wyszło całe powietrze. Przez wiele dni nie oddychaliśmy. Dosłownie; takie to było uczucie. Za każdym razem, kiedy na ciebie patrzyłam, bałam się odwrócić wzrok, jakby moje oczy były jedynym, co cię trzymało na tej ziemi. Za każdym razem, kiedy na ciebie patrzyłam, widok zdawał się nie do zniesienia,

ale nie mogłam oderwać wzroku. Więc jeśli nie zrobiliśmy wszystkiego, jak należy, zrozum: nie tylko ty przeszłaś przez piekło.

Pat. Matka mówi prawdę. Czytam to z ich twarzy. Lata i zmarszczki, których im dodałam.

- Ale masz rację. Chodziło o coś więcej — dodaje.

— Teraz to już nie ma znaczenia, jednak kilka tygodni temu nie mogliśmy ci powiedzieć, bo nie mieliśmy pewności co do stanu twojego umysłu. Zwłaszcza rozsądku. Wielu ludzi ryzykowało życie i karierę dla ciebie, Jenno.

Musieliśmy być ostrożni. Gdybyś się zapomniała i komuś powiedziała, naraziłabyś nie tylko swoją, lecz także ich przyszłość.

Jak mogłabym się z tym spierać? Jak jednak uniosę dodatkowe brzemie: mam być idealną Jenną już nie tylko dla Matki i Ojca, lecz także dla ludzi, których nawet nie znam? Kiedy to się skończy? Opieram głowę o gzyms kominka i zamykam oczy.

- I gwoli ścisłości - dodaje Ojciec - matka nie ma nic wspólnego z tym, że jesteś pięć centymetrów niższa. To była decyzja związana z mechaniką, proporcjami oraz utrzymaniem równowagi. Parę centymetrów mniej byłoby jeszcze lepsze, ale pięć stanowiło idealny kompromis.

Idealny. Niższa, doskonalsza Jenna. Jak wspaniale. Ostrożnie, Jenno.

Zostało jeszcze coś. Woła do mnie. Gdzieś w moim wnętrzu fragmenty wiją się, próbują połączyć; tworzą się synapsy, składa się kompletna opowieść. Czteryście miliardów nadprogramowych neurochipów próbuje poskładać w całość to, czego dawna Jenna nigdy nie potrafiłaby złożyć.

Ręka Matki spoczywa na moim ramieniu.

- Proszę, ze względu na nas wszystkich... a szczególnie na siebie... nie wolno ci o tym wspomnieć nikomu ani słowem.

Kiwam głową; nie mogę mówić. Ojciec wyciąga rękę. Przyciąga mnie blisko do siebie, przytula, a ja wtapiam się w jego objęcia, pozwalając, by jego ramiona otoczyły mnie niczym ciepły, ciasno owinięty koc.

## Wytrwanie

---

„Słyszysz mnie, Jenno?”

Jestem tutaj. Trzymam cię”.

Śniło mi się, że jechałam na rowerze.

Moim pierwszym dwukołowcu, bez dodatkowych kółek.

Ale głos Ojca brzmiał zupełnie nie tak jak trzeba.

„Wytrwaj, Jenno. Dla mnie, aniołku. Proszę”.

Napięty. Zdesperowany.

Otwieram oczy. Ojciec stoi odwrócony.

Nie ma roweru, tylko szpitalne łóżko.

Nie widzi, że go obserwuję.

Oparty bezwładnie o ścianę, wbija pusty wzrok w ścianę naprzeciw.

Chcę wstać i go podtrzymać, tak jak zawsze on podtrzymywał mnie.

Chcę go objąć ramionami tak mocno, żeby znów poczuł się szczęśliwy.

Ale moje powieki wbrew woli opadają i wykluczają go z mojego świata.

## Odmowa

---

„Jenna Angelina Fox”. Ograniczam liczbę możliwości. Dodaję:  
„Wypadek Boston”.

Szukam nowych okruchów z pomocą tych, które zdobyłam.

Netbook mruga, a ja czekam, aż tysiące bitów zmienia się w tych kilka, których potrzebuję. Mrugnięcie. Czerwień. „Odmowa dostępu”. „Odmowa”. „Odmowa”.

Wykluczona. Nieważne, ile razy pytam, nie chce nic zdradzić. Dlaczego pan Bender ma prawo, a ja nie? Co oni zrobili z netbookiem?

Kluczyki wirują w powietrzu. Moje wyciągnięte palce. „Pośpiesz się, Jenna”.

Okruchy przemawiają, ale to za mało. Wciąż jeszcze.

## Niewidzialna granica

---

- „Przestałem mieszkać w lesie z powodów nie mniej ważnych, aniżeli zacząłem. Może wydawało mi się, że dysponuję jeszcze paroma innymi żywotami, po co zatem właśnie na to jedno poświęcać więcej czasu” - Ethan przerywa czytanie *Walden* i patrzy w moją stronę.

To drugi raz, kiedy robi przerwę podczas lektury i dyskusji, by na mnie popatrzeć, jakby mi dawał okazję, żebym się wtrąciła. Nie wykorzystuję jej, więc czyta dalej. Wciąż się zastanawiam, czy kontynuować naukę. Wydaje mi się niewłaściwe w ogóle tu przychodzić. Jestem nie na swoim miejscu. Jak gdybym grała; udawała kogoś, kim wcale nie jestem. A kim jestem? Pytanie wciąż powraca. W poniedziałek rano Ojciec musiał wracać do Bostonu. Jego nieobecność zwracałaby uwagę; to zbyt ryzykowne. Oboje z Matką oświadczyli, że powinnam też podjąć normalne obowiązki. Czy normalne życie nie idzie w parze z normalnymi obowiązkami?

Tylko że ja nie jestem normalna.

Grupa dzieli się przemyśleniami. Allys komentuje. Gabriel komentuje. Nawet Dane komentuje.

- Jenna? - zachęca Rae.

Kręcę głową i milczę dalej. Rae nie naciska. To nie w jej stylu. Skinieniem daje znać Ethanowi, by podjął lekturę. Siedzi na biurku ze skrzyżowanymi nogami; teraz zmienia pozycję i patrzy na mnie o wiele za długo, zanim wreszcie spuści wzrok na strony otwartej książki.

- Mimo że wyjechał po dwóch latach, Thoreau uważa czas spędzony nad jeziorem Walden za sukces, choćby dlatego że: „doświadczenie nauczyło mnie przynajmniej tego, że jeśli ktoś zmierza pewnie w wymarzonym przez siebie kie-

runku i stara się żyć zgodnie z tym, co sobie wyobraził, spotka go niepowszedni sukces. Niektóre sprawy zostawi za sobą...". - Urywa i znowu na mnie patrzy. Czuję, jak narasta we mnie wzburzenie. Jego ciemne oczy wwiercają się we mnie; nie odwraca ich, czeka. - „Niektóre sprawy zostawi za sobą...” - powtarza. Znowu oczekiwanie. Cisza jak grzmot. Dane uśmiecha się ironicznie, ale wszyscy inni milczą.

Zatrząskuję głośno książkę i patrzę na Ethana ze złością.

- „Niektóre sprawy zostawi za sobą, przekroczy niewidzialną granicę; a otoczą go i w nim samym powstaną nowe, uniwersalne i bardziej liberalne prawa. Albo szersze kręgi zakreślą stare, które interpretować się będzie na jego korzyść i nada się im bardziej liberalny sens. Otrzyma tedy świadectwo istoty wyższej miary”.

Ethan klaszcze trzy razy.

- Dzięki, że się przyłączyłaś.

Traktuje rolę nauczyciela-współpracownika o wiele za poważnie.

- Dzięki, że mnie zmusiłeś - odpowiadam.

- A więc masz doskonałą pamięć, ale czy posiadasz własne zdanie? Czy prócz wycofania, jak to zrobił Thoreau, istnieje inny sposób na przekroczenie niewidzialnej granicy?

Dlaczego mnie prowokuje? Czuję, jak zwężają mi się źrenice, a mój głos przypomina warknięcie:

- „Natura i ludzkie życie tak się od siebie różnią jak typy budowy ciała. Któż może wiedzieć, jakie perspektywy życie szykuje komuś innemu? Czyż mógłby

zaistnieć większy cud aniżeli ten, co zdarza nam się w chwili, kiedy patrzymy sobie nawzajem w oczy?".

Twarz Ethana odpręża się, jego spojrzenie łagodnieje; traci swoje zajadłe skupienie. Ale ja nie.

- Co prawda to tylko kolejny wykuty na pamięć fragment, nie? - dodaje. - Lecz ponieważ zapewne jesteś istotą wyższej miary, jeśli się wysilisz, zdołasz wydedukować z tego opinię, zanim eksploduje ci mózg.

Wstaję z miejsca. Mam dość. Jak mawia Dane - spadam stąd. Nawet jednak w tej chwili nie przestaję się zastanawiać: Czy wyglądam normalnie? Jak wygląda normalny rozzłoszczony człowiek? Powinnam usiąść z powrotem? Co ja wyprawiam? Kim jestem? Znowu to samo.

Kolejny pat; stoję niezgrabnie przy swoim biurku, z trzęsącymi się dłońmi, gniew miesza się z wątpliwościami.

- Krótka przerwa, Rae? - sugeruje Allys.

- Jasne - odpowiada Rae, szybko podchwytyjąc propozycję.

Uznaję to za formalne pozwolenie i ruszam do drzwi. Tuż za plecami słyszę kroki. Maszerujemy wąskim korytarzem, mijając Mitch, która zdziwiona podnosi wzrok, ale zanim zdoła zareagować, jesteśmy już za drzwiami i schodzimy po stopniach.

Ethan chwyta mnie z tyłu za ramię i obraca.

- Co cię ugryzło?

- A ciebie? Obrażasz się, kiedy ci przerywam, i zachowujesz jak dureń, kiedy tego nie robię.



- Nie rozumiem. W sobotę całowałaś się ze mną, jakbym był ostatnim facetem na tej planecie, a dzisiaj słowa ze mną nie chcesz zamienić. Nawet głupiego „cześć”. Co ci powiedziała babka, jak sobie poszedłem? „Trzymaj się z dala od tego kutasa”?

Odkąd całowałam się z nim w sobotę, minęła wieczność. Jestem teraz kimś innym. Czy może czymś innym. Jak mam to wyjaśnić? Patrę mu w twarz. Widzę wszystko. Każde drgnienie rysów, zmarszczkę, tik, wątpliwość. Więcej, niż powinnam. Czy to z powodu różnicy między neuronami a neurochipami? Czy potrafię teraz spojrzeć głębiej niż ktoś mający zwykłą ludzką percepcję? Czy Ojciec o tym wie? A może to normalne? Może zawsze umiałam to zauważyć, tylko po prostu pierwszy raz patrzyłam naprawdę?

Te pytania doprowadzą mnie do obłędu. Nawet teraz Ethan chce mnie pocałować. Widzę to. Czy chciałby nadal, gdyby wiedział? Cały świat mówi, że to nie w porządku. To moja niewidzialna granica. Patrę na jego dłoń, wciąż ściskającą moje ramię, i zastanawiam się, czy dotykamy się ostatni raz. Czy powinnam w ogóle myśleć o takich rzeczach? Trzymaj się z dala.

- Spadaj, cieniasie. - Dane pojawia się za moimi plecami.

- Nie wtrącaj się, Dane - odpala Ethan. Dane lekko uderza go w ramię.

- Idź pobić kogoś innego, śmieciu.

Ethan puszcza mnie, mruga, a jego źrenice robią się małe jak główki od szpilek; trzyma dłoń przed sobą, jakby płonęła.

- Dane, nie o to... - zanim kończę wyjaśniać, Ethan odchodzi w stronę półciężarówki stojącej na parkingu.

Dane kręci głową.

- Wiesz, co zrobił, prawda?

Patrzę za Ethanem. Tak jest lepiej. Ale nie czuję się lepiej.

- Tak - odpowiadam.

- Wątpię, inaczej trzymałabyś się od niego z dala. O mało nie zabił człowieka. Tak go pobił, że gość spędził miesiąc w szpitalu.

Myszę o dłoni Ethana na moim ramieniu i strachu w jego oczach, kiedy mnie puszczał.

- Może nie miał wyboru.

- Wsadzili go na rok do pudła. Domyślam się, że według nich miał wybór.

Wątpię.

- No chodź, przerwa się skończyła. — Dane chwyta mnie za rękę i wciąga do środka.

Ethan nie wraca, a ja spędzam resztę popołudnia, zamartwiając się nim zamiast własnymi problemami. Czy przyjdzie jeszcze?

Dane raz po raz próbuje zwrócić moją uwagę. Przyglądam mu się; uśmiechowi, który wykrzywia jego wargi, ale nigdy nie sięga oczu. „Czegoś mu brakuje” - tak powiedziała Allys. Skąd wiedziała? Czy uważa, że mnie też czegoś brakuje? Dane nie robi tajemnicy ze swojego flirtu. To dla niego raczej gra niż poważne zainteresowanie moją osobą. Chce pokonać Ethana.

Zastanawiam się, czy nie obrócić głowy dookoła trzy razy albo nie wyjąć sobie oczu i nie położyć ich na jego biurku. Czy to dziwaczne nowe ciało dałoby radę to zrobić? Ta myśl niemal mnie rozbawiła. Czy Dane byłby wtedy taki pewny siebie?

Pewnie tak.

## Szklarnia

---

Skroplona para ścieka od wewnątrz po drzwiach. Dotykam szyby palcami. Nie jestem zaproszona w żadnym sensie.

Kusi mnie, żeby otworzyć, po co jednak wkraczać na terytorium, gdzie nie jestem mile widziana?

Dręczące mnie pytania rozmnożyły się, skomplikowały, przybrały nowe kształty. Czy dziesięć procent to wystarczająco dużo? Czy to rzeczywiście najważniejsza część? Czy te dylematy znajdą kiedyś odpowiedź, a może doprowadzą mnie do samobójstwa przed pisanym mi czasem?

Czy coś takiego jak ja w ogóle można doprowadzić do samobójstwa, czy też po prostu ulegnę awarii, wypuszczając kłęby dymu?

Delikatnie otwieram drzwi.

Lily jest w głębi. Na mój widok obraca głowę ze zdziwieniem, ale ręce ma zajęte wielką palmą, którą próbuje wsadzić do doniczki, i szybko skupia na niej całą uwagę.

Robię jeszcze dwa kroki. Szklarnia ma co najmniej dziesięć metrów długości. Wszystkie potłuczone szyby wymieniono, połowę aluminiowych stołów zajmują już rośliny. Zdumiewa mnie ciepłe powietrze wewnątrz. Na dworze świeci

słońce, ale letowe powietrze jest chłodne. Tutaj panuje ciepło i wilgoć jak w matczynym brzuchu.

Lily stęka, stawiając doniczkę z palmą na stole. Odwraca się, idzie do kąta, gdzie leży kilka spiętrzonych worków, i zaczyna ciągnąć jeden z nich po podłodze. Przerywa.

- Przydałaby mi się pomoc - mówi.

Potykam się o własne nogi, chcąc dotrzeć do niej, zanim skończy. Lily puszcza jeden róg, kiedy wyciągam po niego rękę. Razem wleczeni worek, a potem podnosimy na stół obok palmy w doniczce. Lily wbija w niego sekator, rozcina na całej długości. Kolejne dźgnięcie, worek jest otwarty i wysypuje się z niego ziemia. Nie przypominam sobie tej Lily: cichej, skupionej, gniewnej. Nieprzewidywalnej. W zapamiętanych przeze mnie okrucieństwach dotyczących Lily, mojej babci, nie pojawiło się nic tajemniczego. Uśmiech był uśmiechem, ostre słowa padały rzadko. Niektórych fragmentów wciąż brakuje, lecz poza tym wszystkie są wspomnieniami jej uśmiechu na mój widok. Byłam gwiazdą przewodnią nie tylko dla Matki i Ojca, lecz także dla niej. I zastanawiam się, czy pod wieloma względami ona nie była moją.

Okres, kiedy byłam nastolatką, jest zatarty; częściej coś słyszę, niż widzę. „Daj jej spokój, Claire”. A potem: „Uważam, że jej włosy są w sam raz”. I jeszcze później: „Ona potrzebuje przestrzeni”. Głos uwalnia mnie od ciężarów, z których istnienia nawet nie zdawałam sobie sprawy.

Teraz jest cyniczna, posępna, z każdym dniem staje się większą zagadką. Małą łopatką nakłada ziemię do doniczki, a potem ugniata ją gołymi rękami. Stoję w milczeniu u jej boku, zastanawiając się, czy pozostaniemy takie już na zawsze: zniekształcone wersje tego, kim byliśmy dawniej. Świat się nie zmienił. To my

się zmieniłyśmy. Pytania, które mnie tutaj przyprowadziły, giną w przepastnej szczelinie synaptycznej pomiędzy nami.

- Wiesz, twoja matka miała rację - mówi Lily, przerywając moje rozmyślenia.

- Co?

- Nie mogłaś zapamiętać tamtego razu, kiedy omal nie utonęłaś. Miałaś tylko dziewiętnaście miesięcy. Jeszcze nawet nie mówiłaś. Podobno zapamiętujemy zdarzenia dopiero wtedy, kiedy znamy słowa na ich określenie.

- Ale zapamiętałam, prawda?

- Tak.

- Więc może oni nie wiedzą tak dużo, jak im się zdaje.

- Może - odpowiada. Odkłada łopatkę i przygląda mi się uważnie. - Nie sądzę, żeby wiedzieli. - Patrzymy na siebie skrepowane.

- Co mam teraz robić? - wyrzucam gwałtownie. - Nie wiesz?

Odwraca się plecami. Moje pytanie, jak się zdaje, padło za szybko; żądam od niej zbyt wiele.

- Tylko ciebie mogę zapytać - dodaję. - Tylko ty powiesz mi prawdę.

Kręci głową.

- Stawiasz mnie w trudnym położeniu. Mam wybrać między własną córką a...

- Już sobie idę. Nie powinnam była oczekiwać...

- Jenno.

Dźwięk. Moje imię. Dźwięk sprzed wielu lat. „Jenno”.

Zwraca się znowu twarzą do mnie.

- Są rzeczy, o których powinnaś wiedzieć - mówi. — Rzeczy, o których przysięgam nie wspominać. Claire to moja córka. Jest dla mnie całym światem i zrobiłabym dla niej prawie wszystko... - waha się, bierze głęboki oddech - ..ale uważam, że masz prawo wiedzieć.

Pierwszy raz uświadamiam sobie, że moje serce nie bije jak szalone - to tylko jego wspomnienie. Ale wystarczy. Moje myśli biją jak szalone.

Lily wyciąga spod stołu dwie skrzynki i opada na jedną. Podsuwa mi drugą. Siedzimy, niemal stykając się kolanami.

- Wiem, że jeszcze nie wszystko pamiętasz, ale może zdołam ci odświeżyć pewne wspomnienie. Miałaś szesnaście lat. Klóciłaś się z matką. Tak się składa, że przy tym byłam, ale wolałam się nie wtrącać. Claire nie chciała cię puścić na prywatkę. Nie lubiła chłopaka, który ją urządzał. Kłótnia ciągnęła się bardzo długo, dreptałyście w miejscu, aż w końcu matka straciła cierpliwość i kazała ci iść do swojego pokoju. Pamiętasz, co zrobiłaś?

Kręcę głową.

- Wybuchnęłaś śmiechem. Powiedziałaś, że nie masz siedmiu lat, i głośno tupiąc, wybiegłaś z domu.

- Wiem, że się klóciłyśmy, ale...

- Nie o to mi chodzi. Nie poszłaś do swojego pokoju. Patrę na Lily. Nie rozumiem, czemu to takie ważne, by wracać do jakiejś dawnej sprzeczki. Więc nie poszłam do swojego pokoju? Kto by to pamiętał. Było, minęło. Nie mogę zmienić czegoś, co się stało, kiedy...

- Nie poszłaś do swojego pokoju, Jenno - powtarza Lily.

Okej. Nie poszłam... Szklarnia wiruje.

„Idź do swojego pokoju, Jenno". Poszłam. Zmuszona. .. chociaż czułam rozpaczliwą potrzebę, żeby nie usłuchać. „Idź do swojego pokoju, Jenno". Poszłam.

Claire wydaje rozkaz i tak się dzieje.

Patrzę na Lily. Otwieram usta, choć nie potrafię wykrztusić słowa.

- Przykro mi - mówi. - Ale nie dlatego, że ci powiedziałam. To po prostu nie w porządku.

## Kontrola

---

Kiedy wchodzę do kuchni, Matka siedzi przed netbookiem.

- Dzień dobry - mówi. - Wczesnie wstałaś.

Uśmiecham się. Uśmiechem, który, jak sędzę, niewiele się różni od uśmiechu Dane'a. Obejmującym okolice moich ust i niemającym związku z tym, co się dzieje w moim wnętrzu.

- Nie chciałam przegapić telefonu od Ojca - odpowiadam radośnie.

Lily opuszcza gazetę i patrzy na mnie.

- Jeszcze nie dzwonił - rzuca Matka, nie odrywając wzroku od monitora. - Cieszę się, że będziesz mogła z nim porozmawiać. Tak wcześnie się położyłaś wczoraj wieczorem. Trochę się niepokoiłam.

- Bo poszłam do swojego pokoju? Nie ma się czego bać. A ty jak sądzisz, Lily?

- Sądzę, że na mnie pora. - Składa gazetę i wstaje; zabiera kawę ze sobą. - Mam parę rzeczy do zrobienia, a chciałam wcześniej zacząć.

- Nie dziwię ci się - odpowiadam. - Też bym stąd chętnie wyrwała w diabły.

Matka podnosi wzrok. Uśmiecham się i przechylam głowę.

- To znaczy, po co tu siedzieć w taki idealnie piękny dzień?

Marszczy czoło.

- Wszystko w porządku?

- W idealnym. - Kolejny uśmiech. - Zawołaj mnie, kiedy Ojciec zadzwoni - mówię, idąc przez kuchnię. Lily jest już za drzwiami. Matka wraca do czytania, a ja otwieram kredens i przeglądam jego zawartość. Białe talerze, filiżanki, miski. Wyjmuję stos talerzy i stawiam na kontuarze pośrodku kuchni, w zasięgu kamery netbooka. Rozkładam je po jednym wzdłuż krawędzi blatu, tak by stykały się brzegami, niczym olbrzymi naszyjnik z pereł.

Netbook brzęczy i Matka łączy się z Ojcem. Wymieniają powitania. Ojciec woła do mnie.

- Dzień dobry, Ojczy - odpowiadam.



Matka obraca się i zauważa naszyjnik z talerzy. Kładę palec na brzegu pierwszego z nich. Oboje z Ojcem przyglądają się, nie rozumiejąc, ale zanim zdążą spytać, naciskam krawędź, a talerz ześlizguje się i roztrzaskuje na podłodze.

- Jenna! - woła Matka, zrywając się z krzesła.

- Chcesz coś powiedzieć? - Kładę palec na krawędzi następnego talerza i także strącam go na podłogę. Włącza się Ojciec; wykrzykuje moje imię i jakieś ostrzeżenia, zagłuszone przez brzęk roztrzaskującego się trzeciego talerza.

- Co się z tobą dzieje? Przestań! - wrzeszczy Matka. Ojciec dodaje groźby w podobnym duchu.

- Może chcesz powiedzieć coś innego? - Trzymam palec nad czwartym talerzem.

Zaczynam go przechylać i Matka krzyczy:

- Idź do swojego pokoju, Jenno!

Zamykam oczy. Stawiam opór. Koncentruję się na każdym drgnieniu w swoim wnętrzu. Na każdym stawie, gotowym ponieść mnie po schodach na piętro. Skupiam się na każdym słowie, które ćwiczyłam od wczoraj.

„Nie idź, Jenno”.

„Nie idź”.

„Nie idź”.

Otwieram oczy. Zostaję na miejscu. Nigdzie nie poszłam. Jestem mokra z wysiłku. Patrzę z wściekłością na oboje.

- Jak śmieliście! — mówię. - Jak śmieliście się bawić moim mózgiem! Jak śmieliście udawać przede mną, że jestem normalna! Jak śmieliście mnie programować!

To słowo posyła falę uderzeniową. Przez moment oboje milczą, oszołomieni ujawnieniem brudnego sekretu.

- Jenno, chodź tutaj - podejmuje w końcu Ojciec. - Podejdź do monitora. Usiądź, żebyśmy mogli porozmawiać.

- Mam wybór? Czy to kolejna rzecz, jaką mi zaprogramowaliście? Siad, Jenno. Siad! Siad!

- Jenno, proszę - błaga Matka.

- Jenno Angelino Fox! - wtrąca ojciec. - Spójrz na siebie. Jesteś teraz w swoim pokoju? Nie. Najwyraźniej nie zostałam zaprogramowana. Pozwól nam wyjaśnić!

Nie ruszam się z miejsca.

- Aniolku... — zaczyna.

Podchodzę i siadam na kuchennym krześle, które Matka przysunęła do netbooka. Czy zrobiłam to z własnej nieprzymuszonej woli? Nie jestem pewna.

- To była sugestia, Jenno. Zaszczepiliśmy ci jedynie silną sugestię. To jak przekaz podprogowy, nie programowanie. I zrobiliśmy to dla twojego dobra. Przeszłaś bardzo poważny uraz, podobnie jak pacjenci z ciężkimi obrażeniami mózgu. Skutkiem ubocznym takich obrażeń bywa niekiedy nieobliczalne zachowanie. W celu złagodzenia negatywnych następstw zwykle stosuje się leki. Ale na ciebie leki nie działają, Jenno. Nie masz takiego układu krążenia ani układu nerwowego jak inni pacjenci z urazami mózgu. Więc zrobiliśmy bardzo

prostą rzecz: zaszczepiliśmy ci coś, co wpływa na twoje zachowanie w nie większym stopniu niż przekaz podprogowy, na wypadek gdybyś zaczęła się zachowywać w sposób niekontrolowany.

Czyje zachowanie tak naprawdę wymknęło się tu spod kontroli?

- Nie chcę, żebyście mnie kontrolowali.

- Nie kontrolujemy - stanowczo zaprzecza Matka. -Jak powiedział ojciec: znajdujesz się tutaj, a nie w swoim pokoju. Tak? Ale dopóki nie zrozumiałaś, co się dokładnie stało, musieliśmy mieć możliwość skłonienia cię do błyskawicznego zniknięcia, gdyby zaszła konieczność. Dla dobra ciebie samej i innych. Już wspominaliśmy, wielu ludzi zaryzykowało dla ciebie życie i karierę. Gdyby ktoś zjawił się niespodziewanie i zaczął zadawać pytania...

- Przedsięwzięliśmy wiele środków ostrożności, Jenno - przerywa jej Ojciec. - Ale gdyby ktoś cię tu teraz zobaczył, niełatwo byłoby wyjaśnić. Niedziałające organy, ciężkie poparzenia, utrata kończyn: to wszystko zostało opisane w twojej historii choroby. Zdołaliśmy w niej wprowadzić wiele zmian i wciąż wprowadzamy następne. Ale nie zmienimy tego, co ludzie widzieli. Wielu pracowników szpitala cię pamięta. Wielu wiedziało, że nie pomogłyby ci metody dozwolone przez FREN. Oficjalna wersja, jaką aktualnie wszystkim sprzedajemy, głosi, że jesteś stabilna i znajdujesz się pod opieką prywatnych pielęgniarek w nieujawnionym miejscu. Już to samo wywołało pytania i plotki, bo nikt się nie spodziewał, że przeżyjesz, nie mówiąc o powrocie do zdrowia. Gdyby ktoś cię zobaczył w obecnym stanie, z pewnością doszłoby do śledztwa lub czegoś gorszego. Trzeba się z tym pogodzić: jestem sławny, a biorąc pod uwagę moje związki z biożelem i rozgłos, jakim się cieszy Fox BioSystems, natychmiast usłyszeliby o tym wszyscy. Media rzuciłyby się na nas, a FREN postawiłaby so-

bie za punkt honoru przykładowo nas ukarać. Wszystkim zamieszonym w sprawę groziłoby więzienie. I nie mam żadnej pewności, co mogłoby się stać z...

Nie kończy. Nie musi. Potrafię wypełnić puste miejsce po niewypowiedzianym. Ze mną. Co by zrobili z tą uploadowaną rzeczą, którą jestem?

- Dlatego nie chcieliśmy, żebyś chodziła do szkoły, chociaż wiedzieliśmy, że wreszcie trzeba ci będzie oddać kontrolę nad własnym życiem, bo inaczej jaki byłby sens wszystkiego? Nikt jednak nie wie, gdzie obie z matką przebywacie. Dom został kupiony na nazwisko Lily, a ja staram się przyjeżdżać tylko wtedy, kiedy to absolutnie konieczne, żeby nas nikt nie wyśledził. I jak wspominałem - ciągnie - wprowadzamy poprawki do szpitalnych rejestrów, więc w końcu, z czasem, jeśli ktoś cię zobaczy i zacznie zadawać pytania, ewentualne niezgodności będziemy mogli przypisać ułomnej pamięci ludzkiej. Zatem to także miało służyć twojemu bezpieczeństwu. Ponieważ nie rozumiałaś skali tego, co się wydarzyło, musieliśmy mieć sposób, by cię usunąć ze sceny w potencjalnie groźnej sytuacji. Zrozum, że uważaliśmy wszczepienie sugestii za konieczne.

- A w jaki właściwie sposób ją „wszczepiliście”? -pytam.

Ojciec otwiera usta, żeby odpowiedzieć, lecz wtrąca się Matka.

- Została uploadowana - wyjaśnia po prostu. Zamykam oczy. Co lepsze: to czy mroczne miejsce?

Remis. Otwieram oczy i patrzę najpierw na Matkę, potem na Ojca.

- Czy uznaliście za konieczne uploadowanie czegoś jeszcze? Równie dobrze możemy wyjaśnić wszystko za jednym zamachem.

Następuje przeciągająca się pauza; każde czeka, chcąc sprawdzić, na ile chętnie do wyjaśnień okaże się drugie. Otrzymałam odpowiedź. Jest coś jeszcze.

Wzdycham i odchylam się na krześle.

- Opuściłaś tak wiele zajęć - wyjaśnia Matka. - Byłaś ciężko chora. Wiedzieliśmy, że i tak masz przed sobą wiele wyzwań i naprawdę nie sądziliśmy, żebyś mogła znowu chodzić do szkoły.

- Popelniliśmy błąd. Teraz to rozumiemy - dodaje Ojciec. - Ale uploadowaliśmy ci program nauczania z klas od dziesiątej do dwunastej Bostońskiego Zjednoczonego Dystryktu Szkolnego. To zapewne zbyt wiele informacji... naturalnym sposobem nie przyswoiłabyś aż tyle... ale nie możemy odwrócić tego procesu.

To się tak nie odbywa. Chyba że zaczęlibyśmy wszystko od początku.

Nic z tego tak naprawdę nie należy do mnie.

Moje synapsy odpalają jak fajerwerki.

Thoreau.

Rewolucja francuska.

Trzęsienie ziemi, drugi Wielki Kryzys, bieżące wydarzenia. Słowo w słowo.

Niewidzialna granica. Dziesięć protent. Najważniejsza część.

Któż może wiedzieć, jakie perspektywy życie szykuje komuś innemu?

Zyc pełnią życia i wysysać z niego całą kwintesencję. Każde słowo.

Patrzę na swoje dłonie. Splatam je i rozplatam. Idealne. Dłonie. Potwora.

Tysiąc punktów. Tysiąc nielegalnych punktów.

Splatam. Rozplatam.

Motyl.

Wyssać z życia całą kwintesencję. Kwintesencja Jenny Fox.

Moje stopy się wiercą. Stukają. Jak zawsze. Nerwowy tik z dzieciństwa. Moje pożyczone stopy pamiętają. Oto coś, co wciąż jest moje. Uspokajam je.

- W takim razie powinnam dostać klucz do garderoby - mówię na koniec.

Matka patrzy na Ojca. Nie jest typem osoby, która zdaje się na innych. Ale we wszystkich niejasnych kwestiach oddaje inicjatywę jemu. Widzę, że to nie jej świat. Ze wymacuje sobie drogę w nieznanym terenie.

Chciała jedynie odzyskać córkę. Była gotowa zapłacić za to każdą cenę. Okazało się nią jednak manewrowanie wśród niepewności oraz tajemnic, które - jak się zdaje - pojawiają się szybciej, niż Matka nadaża je wyjaśniać. Szeroko otwartymi oczyma wpatruje się w netbooka i Ojca. Jest opanowany, w jego oczach tylko na mikrosekundę pojawia się wahanie. Lecz owa mikrosekunda wahania jest dla mnie jak całe życie. Zauważyłam. Coś budzi jego obawę. Być może przerażenie. Rozważa odpowiedź.

- O co ci chodzi, Jenno? - pyta cicho. Czego się obawiają? Co według nich... Czuję ukłucie, chłodne i niepokojące. Klucz.

Oczy mają utkwione we mnie, skupione, wyczekujące.

- Klucz do tych małych drzwi w głębi mojej garderoby - mówię. Widzę wyraźną ulgę na obu twarzach.

- Jeśli któregoś dnia naprawdę będę musiała zniknąć, logicznie byłoby się schować właśnie tam.

- Tak, oczywiście - zgadza się Ojciec.

- Gdzieś go mam. Poszukam — mówi Matka. Zbyt skwapliwie. Przetrzęsa szufladę i wyjmuje dwa klucze. — To chyba jeden z nich.

- Wypróbuję oba.

Idę szybko na górę, chowając do kieszeni klucze otrzymane od Matki. Spieszę się w obawie, że mogłaby pójść za mną. Wysypuję zawartość kosza na bieliznę i przetrząsam brudne ubrania oraz prześcieradła, szukając spodni, które nosiłam cztery dni temu. Znajduję je i przeszukuję kieszeń. Klucz do garderoby Matki wciąż tam jest. Ten, z którego powodu Ojciec się zawahał; myślał, że to o nim wspomniałam.

Rozglądam się za schowkiem. Klękam w rogu i odginam wykładzinę, wsuwam pod nią klucz i starannie przyglądam. Kładę dłoń na wykładzinie, jakby miała się spod niej przesączyć jakaś prawda. Coś, co jest w pełni, w stu procentach moje.

Unoszę rękę, lecz nie pojawia się żadna prawda, tylko myśl, że być może w ten sposób udało mi się nieco wyrównać siły.

## Zaufanie

---

Jest północ. W domu panują ciemności. Cisza. Matka i Lily od godziny leżą w łóżkach.

Oglądam *Jennę Fox/Rok siódmy*. Jedyne dyski, które przeglądałam więcej niż raz. Już po raz czwarty.

Siedmioletnia Jenna prowadzi Ojca przez dom. Ojciec ma zawiązane oczy. Musiała to sfilmować Lily. Wędrowną punktują przelotne ujęcia Matki podążającej za nimi z uśmiechem, chichoty Jenny i stłumione protesty Ojca.

- Dokąd mnie prowadzisz, Jenno?
- Nie wolno ci pytać, Tato! - jęczy Jenna.
- Na księżyc?
- Tato!
- Na pokład Mayflower?

Obserwuję, jak Ojciec jest ciągnięty, popychany i obracany. Ufa mi, kiedy go prowadzę z pokoju do pokoju, przez korytarze. Krok do góry. Krok w dół. Wykonuje przesadne ruchy, jakby występował na scenie. Ale mi ufa. Ufa siedmioletniej Jennie. Co takiego zrobiłam, że to się zmieniło?

Docierają do drzwi kuchni. Na stole stoi wielki, trochę krzywy, niebieski tort, w czasie długiej wędrownki po omacku świeczki zdążyły się wypalić do połowy. Polewa wybrzuszyła się i ścieka z jednej strony niczym wolno zsuwający się lodowiec, pociągając za sobą przechylone świeczki.

- Stój! - komenderuje Jenna. - Obróć się. Nie, w tę stronę, Tato! Pochyl się. Gotowy?

Zdejmuję mu opaskę.

- Niespodzianka! - krzyczymy obie z Matką i klaszczemy w dłonie. Ojciec wyrzuca ręce w powietrze. Wzdycha z podziwu. Jenna promienieje. Jej szczerbaty uśmiech jest niemal anielski.

- Piękny! Idealny! Najwspanialszy tort, jaki dostałem w życiu!



- Sama go upiekła - dodaje Matka z dumą. - Podwoiliśmy liczbę składników, bo chciała, żeby był duży.

Wymieniają z Ojcem spojrzenia; ich oczy spotykają się na krótko nad głową podskakującej Jenny. Skupione, tylko między nimi dwojgiem. Pełne miłości, satysfakcji, zadowolenia. Odprężenia. Spełnienia. Wszystko, czego pragną i potrzebują, znajduje się w tym pomieszczeniu.

- Jaki wielki, ho, ho! I jaki niebieski! - Ojciec chwali i podziwia. Tak samo jak podziwia Jenkę.

Przyglądam się, jak wbijają w tort widelczyki; jedzą bez talerzy. Kolejne śmiechy. Kolejne piski. Kolejne spojrzenia.

Zaczynam się czuć właśnie tak jak marzyłam od dnia przebudzenia.

Obdarzona zaufaniem.

Szczęśliwa.

W miarę.

Ojciec nabiera na palec niebieskiej polewy i ozdabia nos Jenny, a ona piszczy.

I teraz, w cichym pokoju, ja też się śmieję. Śmieję się głośno.

Jak za każdym razem, kiedy to oglądam.

Kościół jest pusty. Nie ma księży. Nie ma Lily. Powietrza nie poruszają nawet słodkie rozśpiewane głosy. Sanktuarium ma kształt krzyża. Stoję w miejscu przecięcia ramion, czując się jak intruz; oczekuję, że lada chwila ktoś mnie odkryje i wyprosi.

Sanktuarium.

Rozważam znaczenia tego słowa. Święte miejsce.

Azyl.

Miejsce przebaczenia.

Po obu moich bokach, wzdłuż krótszych ramion kościoła migocą rzędy świec. Robię krok naprzód, moje niezgrabne stopy szurają po podłodze, dźwięk odbija się echem w ciszy. Dusze, jeśli coś takiego istnieje, karmią się tu i wracają do zdrowia. W razie pomyłki nie można ich uploadować jak bostońskiego programu nauczania— nie ma zapasowych dusz, na wypadek jeśli któraś zaginie. Duszę dostaje się tylko raz.

Pokonuję trzy kroki do ołtarza i przechodzę nad niską barierką oddzielającą wiernych od wszystkiego, co święte. Wkraczam na cudzy teren, ale nie potrafię się powstrzymać. Czekam, aż coś poczuje. Aż poczuje się inaczej. Ale kto wie, jakie to uczucie mieć duszę?

Ośmielam się podejść jeszcze bliżej, naruszając świętą, otaczającą mnie przestrzeń. Kładę dłonie na ołtarzu, czując dotyk płótna przeznaczonego jedynie dla palców księdza. Historia. Wyczuwam ją w nitkach tkaniny. Zamykam oczy, szukając własnej historii, nieuchwytnych okruchów, które mi powiedzą, czy to, czym jestem, wystarczy.

Rozlega się grzmiący głos.

- Nie powinnaś tam wchodzić.

Błyskawicznie otwieram oczy i oglądam się za siebie. Równie szybko odwracam się z powrotem i starannie układam dłonie na ołtarzu, nakazując im siłą woli, by nie drżały. Ignoruję ostrzeżenie i zbliżające się kroki.

- Ciągłe nie chcesz rozmawiać z kutasem, co? O Boże. Muszę coś powiedzieć.

- Nie powinno się używać takich słów w kościele -ripostuję.

Słyszę, jak się zbliża; jego kroki brzmią ciszej, kiedy wchodzi po stopniach.

- W takim razie oboje zarobiliśmy krechę. Ty za wchodzenie, gdzie nie wolno, a ja za używanie brzydkich wyrazów.

Słyszę jeszcze kilka kroków i stuknięcie, kiedy przechodząc nad barierką, zahacza o nią butem. Obracam się i staję do niego twarzą.

- Dwie.

- Co?

- Ja zarobiłam tylko jedną krechę. Ty masz dwie. Przeszedłeś też nad balaskami.

Jego twarz wykrzywia się w niezbyt ładnym grymasie bezsilności zmieszanej z irytacją.

- Jesteś taka... - lecz równie szybko gniewny grymas znika, a ostry ton ulatuje. Jego łagodne brązowe oczy wpatrują się w moje przez sekundę albo dwie. Albo trzy. - Jenna - wzdycha. - Nie chcę się kłócić. Przyszedłem tylko cię poszukać. Mieliśmy się spotkać ponad godzinę temu w dole przy starej pralni. Jeśli nie

chcesz dłużej pracować ze mną przy projekcie, ksiądz Rico ma kogoś innego, kto...

- Nie - mówię.

Podchodzi bliżej, na wyciągnięcie ręki.

- Nie chcesz ze mną pracować?

Milczę niezdecydowana. To, co powinnam powiedzieć, i to, co chcę powiedzieć, to dwie różne rzeczy. Zawsze byłam taka pogubiona?

Ethan chwyta mnie za ramiona.

- Jenna, musimy pogadać.

- Potrzebuję... chcę dalej z tobą pracować, Ethan. Ale...

Nachyla się i mnie całuje. A ja całuję jego.

Całujemy się na ołtarzu. Namiętnie całujemy się na ołtarzu w kościele, na oczach wszystkich świętych figur. Ile to będzie kresek?

Odpycham go.

- To nie w porządku - mówię.

- Słuchaj, wiem, że w przeszłości zrobiłem kilka rzeczy...

- Ethan. Nie chodzi o ciebie. Wszystko się zmieniło. Chodzi o mnie. Są pewne sprawy...

- Powiedz - prosi.

Patrzę mu w oczy. Nazywają je oknami duszy. Wydaje mi się, że widzę duszę Ethana. Co on widzi, kiedy patrzy w moje? Odwracam wzrok i zauważam wię-

cej oczu, figury świętych obserwują nas ze swoich nisz. Józef. Maria. Święty Franciszek. Ich spojrzenia przeszywają mnie na wylot.

„Nie wolno ci wspomnieć nikomu ani słowem”.

„Ze względu na nas wszystkich”.

„Szczególnie na ciebie”.

„Nie wolno ci wspomnieć nikomu ani słowem”.

- Nie tutaj - odpowiadam. - Chodźmy na zewnątrz.

## Wyznanie

---

Podobnie jak kościół, cmentarz jest pusty, ale tutaj nie ma zakamarków ani cieni, wśród których mógłby się ukryć ktoś ciekawski. Tylko zmarli. Być może słyszą, ale nie mogą mówić i nigdy nie powiedzą. Przebywają o krok dalej niż ciemne miejsce. Nie powiedziałam o nim nawet własnym rodzicom. Jak mogę powiedzieć Ethanowi?

Idziemy po trawie, przestępując i obchodząc wokół zatarte pomniki upamiętniające ludzkie życia i chwile w czasie. Dokąd idziemy, nie wiem. Jak się zdaje, ważne jest nie miejsce, tylko odległość. W końcu Ethan zatrzymuje się obok ciemnej, zapleśniałej niszy kryjącej figurę czujnego świętego, pokrytą smugami brudu po latach zmiennej pogody. To musi być miejsce wyznania.

Boli mnie głowa. Pierwszy raz czuję tego rodzaju ból. Prawie jak migrena. Czy moje biochipy karzą mnie za to, że próbuję ujawnić prawdę? Może zostałam zaprogramowana, żeby nigdy nic nie powiedzieć? Może właśnie teraz, kiedy tu stoję, ulegam autodestrukcji? Krzywię się i chowam twarz w dłoniach, rozcieram skronie.

- Mniejsza o to, Jenna. Nie musisz mówić - odzywa się Ethan.

Uciskam skronie, próbując się zdecydować.

- Muszę - zaprzeczam. - Muszę komuś powiedzieć.

Dziwne. Świeci słońce. Trawa jest jasnozielona. Cmentarz wydaje się niemal radosny, kolorowe kwiaty leżą na starannie utrzymanych grobach. Cóż za szokujący kontrast z odrażającą prawdą, którą zamierzam wyznać Ethanowi.

Wyciągam ręce, dłońmi do góry, w jego stronę.

- Weź mnie za ręce - mówię. Robi, o co proszę. Ścisza je. Myślę o wrażeniach, jakie budzi to w moich dłoniach, w mózgu, we wszystkim, co uleczone i nowe. Myślę o tym, co jest naturalne, i tym, co jest kopią, o splocie prawdy i fałszu. Myślę o cudzie, jaki uczynił Ojciec.

- Nie są prawdziwe, Ethan - oznajmiam. Ściąga brwi i kręci głową. - Wypadek - wyjaśniam. - Straciłam ręce w wypadku. Te są odtworzone. Jak protezy.

Delikatnie obraca moje ręce i przygląda im się uważnie, jak gdyby nie wierzył.

- Piękne - mówi. Nie wypuszcza ich ze swoich. Zaczyna gładzić. - Czujesz to?

Kiwam głową. Wyczuwam każdy odcisk i bruzdę na jego palcach. Odczuwam jego dotyk w sposób, w jaki nie czułam nigdy wcześniej. Jest aksamitny, płynny,

a jeśli się skupię, potrafię niemal czuć jego skórę, jakby była moją własną. Wzdycham.

- To nie wszystko. Jest więcej.

- To znaczy?

- Moje ramiona. Nogi. - Obserwuję jego oczy. Szukam najmniejszych oznak odrazy, lecz jej tam nie ma. Na razie.

- Prawie wszystko - wyrzucam z siebie. Jego oczy patrzą spokojnie. - Wystarczająco dużo, żebym była nielegalna. Bardzo nielegalna. Według systemu punktowego, o którym mówiła Allys, możliwe, że przekraczam normę pięciokrotnie.

W oczach Ethana pojawia się wahanie; czuję, jak wszystko się we mnie rozsypuje. Uwalniam dłonie z jego uścisku.

- Więc dlatego moja babka nie chce, żebym się z tobą spotykała. Próbuje ochronić ciebie, nie mnie. Jak to ujęła, nie wie, co o mnie myśleć. Ja też nie, poza tym, że jestem jakimś dziwolągiem. Potworem.

Ethan robi parę kroków. Wraca z rękami wbitymi głęboko w kieszenie. Gapi się na mnie. Twarz ma nieruchomą. Przerazającą. Czuję się słaba. Co ja narobiłam? Trzeba było milczeć. Posłuchać Matki. Lily. Chciałabym cofnąć każde słowo, ale już za późno.

Jego miękkie brązowe oczy zmieniły się w lodowe koraliki. Całe ciepło wyparowało.

- O mało nie zabiłem człowieka, Jenna - mówi. - Niektórzy nazywali mnie potworem, bo białem go kijem bejsbolowym, nawet kiedy już stracił przytomność. Ale nigdy nie czułem się potworem. Ledwie pamiętam, co się wtedy stało; coś we mnie pękło.

Na twarz występuje mu pot, chociaż dzień jest chłodny. Jego wyznania płyną na urywanych oddechach, depczą po piętach moim, jakby coś je łączyło.

- Gość był dilerem. Sprzedawał HCP mojemu bratu. Mały miał wtedy trzy-  
naście lat, Jenna. Nic nie wiedział o świecie. Więc dorwałem dilerę. Kiedy mnie  
skazywali, powiedzieli, że nie mogą tolerować na wolności takich jak ja, którzy  
biorą wymierzanie prawa we własne ręce. Nazywali to „samozwańczą sprawie-  
dliwością”. To nie była sprawiedliwość. Gość chodzi wolno, a mój brat jest uza-  
leżniony. Od tamtej pory co i rusz ląduje na odwyku.

Milknie i bierze długi, spazmatyczny oddech.

- Więc ja wiem, co oznacza słowo potwór, Jenna, i nie jest nim żadne z nas -  
głos ma zdławiony. Tak jakby mój strach obnażył jego własny. Obejmuję go  
ramionami i przytulam; przesuwam palcami po wypukłościach kręgow, po  
łopatce, myśląc o wydarzeniach, które uczyniły nas oboje tym, kim jesteśmy  
teraz. Jego usta moszczą się niedaleko mojego ucha, czuję na skórze ciężki  
oddech.

- Nie mów Allys - szepcze w końcu.

- O tobie?

Przytula mnie mocniej.

- Nie. O sobie.



# Czy poprosiliby o to kogoś prawdziwego?

---

Nie było dni. Nie było nocy. Półtora roku nicości. I wieczności.

Myśli z szesnastu lat życia uwięzione w elektronicznych obwodach. Wirująca szklana kula.

Rozsypująca się wewnątrz z każdą pozbawioną powietrza chwilą.

Wszyscy powtarzają: „Nie mów”.

Jak mogę nie powiedzieć?

## Lekcja nauk ścisłych

---

- Pośpiesz się, Dane!

W głosie Rae słyszę jad. Widać także jej pozornie niewzruszony uśmiech i niewyczerpana cierpliwość mają swoją niewidzialną granicę. Chłopak błyska zębami ze szczytu wąwozu i kiwa głową, ale kiedy Rae się odwraca, jego twarz natychmiast traci wszelki wyraz. Słyszałam o socjopatach, ludziach, którzy rozumieją tylko siebie i własne potrzeby. Całkiem jak Dane.

Ramię w ramię brniemy z Allys ku korycie strumienia w ramach lekcji nauki i etyki na świeżym powietrzu. Allys wybrała to miejsce, co mnie zdumiewa. Schodzi z pochyłości bez swoich usztywnień.

- Radzisz sobie coraz lepiej - zauważam.

- Fakt, nowe oprogramowanie udało się dobrać idealnie. Trafili w punkt. Mówili, że dopasowanie powinno potrwać kilka tygodni, i proszę bardzo: trzy tygodnie i gotowe. Zredukowało też bóle fantomowe.

- Wspaniale. Wzrusza ramionami.

- Ale to nie to samo co prawdziwe ręce i nogi. Nigdy ich nie zastąpi. Zwykła łatanina i tyle.

- Jesteś rozgoryczona?

Zatrzymuje się, żeby odpocząć, i uśmiecha do mnie. Przypominam sobie tamten raz, kiedy mi powiedziała: „Lubię cię, Jenna”. Jej rysy są w tej chwili równie łagodne..

- A wydaję się rozgoryczona? - pyta. - Mam nadzieję, że nie. Chociaż są dni, kiedy tak się czuję. Próbuję jednak zmienić rozgoryczenie w determinację. Może zdołam zrobić coś dla innych. I tyle.

- Jako wolontariuszka w zespole etycznym?

- Tak, tak myślę. Chcę gwarancji, że w przyszłości badania naukowe będą prowadzone odpowiedzialnie, aby inni nie musieli przechodzić przez to co ja. Jednak czuję wdzięczność za to. - Porusza protezami. - Naprawdę. Nie są idealne, ale nikt z nas nie jest dokładnie tym, kim sobie wymarzył, prawda?

- Prawda - przytakuję.

- Kiedy przechodziłam fazę rozgoryczenia, mój psycholog powiedział, że wszyscy w tym czy innym sensie jesteśmy wytworem naszych rodziców, genów lub środowiska. - Znowu zaczyna iść. - I chociaż mogę żałować, że nie można zmienić rozdanych kart, i tak ich nie zmienię, więc pozostaje mi jedynie zdecydować, jak nimi zagram. I to właśnie robię. Gram najlepiej, jak potrafię.

- Dane! - woła Rae.

Z góry dolatuje mało entuzjastyczne: „Idę”.

- A propos genów i złych kart - rzuca Allys, zerkając przez ramię i przewracając oczami.

Staje i łapie ją za rękę, aż zatrzymuje się gwałtownie w miejscu.

- Lubię cię, Allys.

Patrzy na mnie; jej czoło przecina zmarszczka.

- Ja też cię lubię, Jenna - odpowiada wolno. Ethan jest już na dole, siedzi na głazie nad strumykiem. Chwytam jego ostrzegawcze spojrzenie.

Patrzę znowu na dziewczynę.

- Chciałam ci tylko powiedzieć - mówię. - To ważne, żebyś wiedziała.

- Jasne — przytakuje. I uśmiecha się z zakłopotaniem.

Jestem niezdara. Nie umiem wyczuć właściwej chwili. Ale musiałam to wyznać. Pewne rzeczy trzeba powiedzieć, choćby brzmiały głupio. Nie można ich odkładać na później. Może nie być żadnego później.

Docieramy nad strumień, w pobliże grupy głazów, które będą naszą klasą. Rae występuje jako wsparcie, ale nauczycielką-współpracownicą podczas tej sesji jest Allys. Dane zjawia się nareszcie i siada na niskiej gałęzi pobliskiego dębu,

zamiast przyłączyć się do nas na kamieniach. Rae włożyła turystyczne buty i niebieskie dżinsy. Pasują do niej bardziej niż kostiumy, które zwykle nosi. Patrząc na własne ubranie, prostą bluzkę i luźne spodnie kupione przez Claire. Jasny błękit, ciemny błękit. Mają tyle charakteru co meduza.

- Będziesz stamtąd słyszał, Dane? - pyta Rae.

- Doskonale - odpowiada, po czym dodaje swój firmowy bezduszny uśmiech.

Allys zaczyna dyskusję od przedstawienia manipulacji genetycznych na bakterii *Bacillus thuringiensis* w celu stworzenia upraw odpornych na szkodniki oraz wprowadzenia dziesiątki lat temu mięsa zwierząt transgenicznych na rynek produktów spożywczych.

- Oczywiście w tamtych czasach wszystkie te „przełomowe odkrycia” wydawały się korzystne, szczególnie z ekonomicznego punktu widzenia...

- Musieliśmy odbyć tę całą wyprawę tylko po to, żeby to usłyszeć? - jęczy Dane.

- O co chodzi? Wsiadasz? - odcina się Gabriel. Jestem zdziwiona. Gabriel zazwyczaj unika konfrontacji. Może, podobnie jak Rae, on też ma swoją granicę, która została przekroczona zbyt wiele razy. Dane wytrzeszcza na niego oczy, ale nie odpowiada; jego usta i oczy nie wyrażają nic. Twarz trupa. To budzi większy niepokój niż wściekłe spojrzenia. Nie sposób odgadnąć, co myśli.

- Wiem, Dane, że masz tyle cierpliwości co rozkładająca się kupa, ale zaraz wyjaśnię, czemu spotkaliśmy się właśnie tutaj. Chociaż nie uważam tego za konieczne. Większości ludzi wystarcza, że mogą posiedzieć na słońcu. - Allys mówi się wygodniej na glazie, nieświadoma, jak wielką przyjemność sprawiła Ethanowi i Gabrielowi. A może nawet Rae. - Zanim FREN wkroczyła do laboratoriów naukowych ze swoimi regulacjami, zmodyfikowane rośliny i zwie-

rzęta transgeniczne wprowadzono do ekosystemu w tempie dziesiątków gatunków rocznie. Ponieważ nie stanowiły bezpośredniego zagrożenia dla ludzkiego zdrowia, FDA wydawało na nie pozwolenia w alarmującym tempie. Tylko...

Wiem, do czego zmierza. Nie powinnam przerywać, ale słowa wyrwyją mi się z ust, zanim się zdązę pohamować.

- Tylko nikt nie badał, jakie skutki będzie miało wymieszanie się tych nowych gatunków z rodzimymi populacjami? Na tym polegało niebezpieczeństwo, tak?

- Właśnie - odpowiada. - Nawet nie wzięli takiej możliwości pod uwagę. Dlatego regulacja jest sprawą kluczową.

- By mieć pewność, że nie produkujemy laboratoryjnych monstrów? — podsuwam. — Które mogłyby się wydostać na wolność i skazić oryginalne gatunki? O to ci chodzi? - Ethan wstaje i przeskakuje na sąsiedni gład, by przyciągnąć moją uwagę. Chce, żebym się zamknęła. Czy Allys i moja tajemnica tak bardzo go niepokoją?

- Cóż, Jenna - odpowiada - nie jestem pewna, czy „skażenie” to najwłaściwsze słowo. Chodzi raczej o upewnienie się, że rodzime populacje nie zostaną narażone na szwank. Dla wielu gatunków jest już za późno i dlatego działania Federalnej Rady do spraw Etyki Naukowej są takie...

Ethan przeskakuje na kolejny gład, machając ramionami nad głową.

- I tu się zaczynają problemy, prawda, Allys? Nawet FREN miała swój udział w skandalach. Łapówki. Konflikty interesów. Sypianie z...

- Ethan! Która agencja federalna nie ma problemów? Wszystko, o czym wspomniałeś, zdarzyło się w początkach jej historii.

Rae obserwuje uważnie. Wydaje się zadowolona, że zwyczajna lekcja nauk ścisłych nieoczekiwanie przekształciła się w namiętą dyskusję.

- Poza tym — ciągnie Allys - te kwestie zostały wyjaśnione. A zresztą gdyby nie staranna kontrola, kto wie, co laboratoria wypuszczałyby w świat?

Wstaje.

- Prawdopodobnie mnóstwo nielegalnych stworów -mówię. - Dziwacznych stworów. - Podchodzę do Allys. - Niebezpiecznych.

Jestem dziwolągiem: ja sama; moje słowa; wycucie chwili; wszystko, co mnie dotyczy, jest nie takie. Inna. Wypuszczona w świat.

- Właśnie - odpowiada Allys. Przypatruje mi się. W milczeniu. Dziwi się mojej opinii? Niezgrabnej postawie? A może temu, że stoję zaledwie na wyciągnięcie ręki, patrząc jej w oczy? Jej myśli biegną szybko. Co jest nie tak z Jenną Fox? Coś się zmieniło. Wyczuwa to. Widzę to w każdym drgnieniu powieki, każdym skurczu źrenicy. Szuka. Próbuje stworzyć połączenia między swoimi synapsami. Czy naprawdę tak bardzo się od niej różnię?

Czas stanął w miejscu. Czuję oddechy Ethana, Rae i Gabriela, zawieszony między nami.

- Czemu tu przyszliśmy? - Głos Dana przecina ciszę. Allys zwraca się twarzą do niego. Niemal pluje w niego słowami.

- Niespełna czterdzieści lat temu, ty beznadziejny kretynie, znajdowałbyś się pod wodą. Spójrz na brzegi tego wąwozu! To była kiedyś rzeka. W ciągu zaledwie czterdziestu lat transgeniczne interwencje i wywołany przez nie efekt domina sprawiły, że ten dopływ zmienił się praktycznie w wyschnięte koryto. Więc dlatego tu jesteśmy, Dane. Koniec lekcji!

Patrzę na leniwie ciekący strumyk. Patrzę na wyschłe głązy. Patrzę na to, co zrobili naukowcy. Mnie. Wąwozowi. I w końcu Allys. Słusznie. Koniec lekcji.

## Czerwień

---

Przesuwam rękę, muskając wieszaki w szafie. Najpierw moje bluzki, potem spodnie, wszystkie w rozmaitych odcieniach błękitu. Porządne. Schludne. Praktyczne. Bez cienia stylu, który podziwiałam w ubraniach Rae. Bez śladu osobowości.

Nawet Gabriel, który najbardziej ze wszystkich chce się wtopić w tło, w porównaniu ze mną wygląda jak puszący się paw. Wczoraj, w drodze powrotnej z dna wąwozu, Dane i Gabriel wspięli się na górę jako ostatni. Nikt nie widział, co się wydarzyło. Dane twierdził, że omsknęła mu się noga, ale przecież to Gabriel spadł. Rozdarta koszula ledwo trzymała mu się na plecach. Wściekał się, kiedy wsiedliśmy z powrotem do samochodu. Wiedział, że to nie był wypadek, ale mruknął tylko: „To moja ulubiona koszula”. „Moja ulubiona koszula” - uderzyło mnie to wtedy. Ja nie mam ulubionej bluzki. I teraz nagle wydaje się to bardzo ważne.

Wyjmuję i porównuję dwie bluzki. Nie ma powodu, by lubić jedną bardziej niż drugą. Wyglądają niemal jak fartuchy laboratoryjne. Jedyne, co mi się podoba, to...

Kolor.

Dogania mnie wspomnienie.

Razem z Karą robię zakupy na Newbury Street, wpadamy do maleńkich sklepików w deszczowy wiosenny dzień i wypadamy z nich. Na koniec instalujemy się w naszym ulubionym. Kara mnie strofuje: „Jenna, zabraniam ci kupować kolejną niebieską spódnicę! Masz całą szafę niebieskich rzeczy!”.

Moim ulubionym kolorem był niebieski.

A ulubiony kolor Kary to czerwień.

Może Claire musiała wybierać dla mnie ubrania w pośpiechu albo zdecydowała się na takie, które nie zwracają uwagi, lecz przynajmniej starała się kupić je w moim ulubionym kolorze. Ale tamtego dnia przed niemal dwoma laty Kara namówiła mnie na czerwoną spódnicę. Miała rację. Potrzebowałam odmiany. Co się stało z tamtą czerwoną spódnicą? Czy Matka nie mogła spakować moich ubrań i przywieźć ich z Bostonu? A może to przez tajemnicę. Poważnie chora, przykuta do łóżka Jenna nie miałaby pożytku z krótkiej, czerwonej spódnicy ani z miękkich kapeluszy przybranych kwiatami, ani z bluzek wyszywanych dżetami - a taki wizerunek chorej należało podtrzymywać na użytek szpiegujących oczu. Poza tym nowa, ulepszona, niższa Jenna i tak potrzebowała nowych spodni. Takich, które nie ciągnęłyby się za nią po podłodze, zdradzając, że straciła pięć centymetrów wzrostu.

Tęsknię teraz za tą czerwoną spódnicą.

I tęsknię za dniem, kiedy ją kupiłam - razem z Karą.



Uliczka prowadząca do domu pana Bendera jest cicha. Wiatr z szelestem toczy złote liście wzdłuż rynsztoka. Ten sam wiatr smaga mnie po twarzy. Jest zimno, ale nie drzę. To tylko kalifornijski chłód, nie bostoński. Matka i Ojciec twierdzą, że nie poczuję go już nigdy.

Może.

Czy naprawdę chcę żyć dwieście lat? Ale z drugiej strony, czy chcę przeżyć tylko dwa lata? Powinnam więc o tym zdecydować sama? Teraz mam prawie osiemnastkę. Jestem osiemnastoletnim czym? Osiemnastoletnią rzeczą zdolną do dokonania wyboru? Jeśli Ojciec naprawdę wierzy w to, co mówi — że to najważniejsze dziesięć procent — pewnego dnia mogę postanowić, że wracam do Bostonu. W Bostonie są Kara i Locke.

Włosy porwane podmuchem wiatru smagają mnie po twarzy i wzdrygam się; staję jak wryta na ulicy i zamykam oczy, lecz nadal widzę; pamiętam uczucie, gdy odgarniałam włosy z twarzy dwa lata temu, słony zapach, rzeźkość, wodny pył z fali, która rozbila się niedaleko, krzyki mew nad głową, dotyk piasku między palcami stóp.

Wspomnienia spadają znikąd: przywracają mi okruchy tego, kim byłam, lecz ich znaczenie umknęło. Wzdycham i podejmuję spacer, nie wiedząc, czy było ważne, czy też to kolejny zniekształcony drobiazg z życia Jenny, jak kupowanie skarpetek. Może życie każdego złożone jest właśnie z nich - z drobiazgów, które w sumie składają się na osobę, i może po prostu nie zebrałam ich jeszcze wystarczająco wiele, by się stać całością.

Moją pełną luk pamięć zapełniają ekstrema: wyraziste w każdym szczególe sceny zmieszane z żółwio powolnymi poszukiwaniami najprostszych słów znanych każdej czterolatce; mgnienia oszalamiającej głębi, a po nich fale zawstydzającej tępoty; olbrzymie luki - jak to, że nie pamiętam nawet, co się stało z moimi najbliższymi przyjaciółmi — oraz obrazy z niemowlęctwa, których w ogóle nie powinnam pamiętać. Ale kiedy czuję się najmniej ludzka, przypominam sobie, jak się całowałam z Ethanem, i intensywne wrażenie bycia żywą – bardziej żywą, niż kiedykolwiek mogła się czuć dawna Jenna. Czy dla FREN miałoby to znaczenie?

W mrocznych, cichych minutach w środku nocy, samotna, liczę, ile razy podnosi się moja pierś, obserwując z odległym zainteresowaniem tę rzecz, którą jestem; wiem, że moje oddechy nie służą pobraniu tlenu - że to tylko na pokaz. Ów rytm budzi niemal moją fascynację, podszytą jednak odrazą. I nagle, niespodziewanie, rytm prowadzi mnie z powrotem do miejsca, w którym zdaje mi się, jakbym niemal mogła dotknąć ręką tej, którą byłam. Jenny. Prawdziwej Jenny.

Zastanawiam się. Czy ktoś taki istnieje? Prawdziwa Jenna? A może ta dawna ja także czekała, żeby się stać kimś innym?

„Pośpiesz się, Jenna. Pośpiesz się”. Głosy Kary i Locke'a nie chcą mnie opuścić.

A może sama ja im na to nie pozwalam.

Szarpię klamkę i otwieram furtkę pana Bendera. Jego dom przypomina mi *Walden* Thoreau. Jest większy, lecz zachował sielski, naturalny charakter; tkwi wtopiony w krajobraz; krzewy białych dzikich róż falą wspinają się na dach ganku. Nie otwiera, kiedy pukam. Obchodzę róg domu, a potem ruszam w dół długim podjazdem. Widzę, że ogląda okno wolno stojącego garażu.

- Dzień dobry! - wołam. Odwraca się i macha ręką.
- Miło cię widzieć.

Podchodzę bliżej i zauważam, że ktoś stłukł szybę.

- Pan ją wybił?
- Ktoś to zrobił - wymawia słowo „ktoś”, jakby było imieniem.

Zaglądam do środka. Stoły poprzewracano. Ściany ochlapano farbą. Tapice-  
rowany stół został rozpruty, a wypełnienie wydarte i rozrzucone wokół. Ale  
to zaparkowany pośrodku samochód w kolorze akwamaryny sprawia, że zamie-  
ram. Zakurzony pokrowiec ktoś częściowo zerwał, odsłaniając stary i bez wąt-  
pienia niesprawny pojazd. Widziałam go już wcześniej. Ale nie wiem gdzie. Mo-  
że na zdjęciu? Albo może tylko widziałam podobny.

- Dzwonił pan na policję? - pytam.
- Nie. Nie chcę ich w to mieszać.
- Z powodu pańskiej tajemnicy?

- Muszę ważyć ryzyko. Ta sprawa nie jest tego warta. Mogę to sprzątnąć w  
parę godzin, a straty finansowe wynoszą nie więcej niż kilkaset dolarów. Naj-  
bardziej mnie niepokoi, że niczego nie zabrał - przynajmniej o ile zdołałem się  
zorientować. Mam tu narzędzia warte tysiące dolarów. Nie zainteresowały go.  
Tylko chora przyjemność niszczenia czegoś, co należy do drugiego człowieka.

Jak pierwszego dnia, kiedy go poznałam, spogląda w stronę białego domu na  
końcu naszej uliczki i kręci głową.

- Pomogę panu sprzątnąć - proponuję.
- Nie teraz. Potrzebuję filiżanki herbaty. Tym zajmę się później.

- Wobec tego mogę o coś prosić? Pozwoli mi pan skorzystać ze swojego netbooka?

Waha się.

- Mój się zepsuł - dodaje. To tylko drobne kłamstwo.

- Chodźmy.

Wystarcza kilka starannie sformułowanych pytań i fakty płyną szerokim strumieniem. Matka i Ojciec byliby przerażeni. Ja też jestem, wiedząc, że potwierdziło się moje kolejne podejrzenie - nadal mają przede mną tajemnice. Ważne tajemnice. Czy są jeszcze inne? Netbook pana Bendera, inaczej niż mój, nie odmawia dostępu do niczego. Gospodarz parzy sobie herbatę, szanując moją prywatność, a potem przegląda jakieś wydruki. Wciąż nowe i nowe fragmenty doniesień wypełniają luki i równocześnie stawiają kolejne pytania. Zmieniają moją sytuację w sposób, jakiego nigdy nie brałam pod uwagę. Czuję... co? Ze brak mi powietrza, jak Matce? Ze chcę odwrócić wzrok? Ze moja zmodyfikowana krew odpływa do stóp?

Odchylam się na krzesło i gapię w monitor.

- Wiedział pan o Karze i Locke'u, prawda?

Pan Bender odkłada na bok papiery i kiwa głową.

Wpatruję się w monitor, słowo po słowie przyswajając sobie ten fragment mojego życia, który zmienił wszystko.

*Mimo toczącej się sprawy z powództwa cywilnego biuro prokuratora okręgowego donosi, że w chwili obecnej nie planuje wszczynać postępowania przeciwko Jennie Fox, lat 16, córce Matthew Foksa, twórcy Fox BioSystems z siedzibą w Bostonie. Jak się wydaje,*

*świadców wypadku nie było. Pasażer Locke Jenkins, także lat 16, zmarł dwa tygodnie po katastrofie, nie odzyskawszy przytomności. Kara Manning, lat 17, druga pasażerka, wypadając z samochodu, odniosła poważne obrażenia głowy, wskutek czego nie była zdolna udzielić informacji oficerom śledczym. Umarła trzy tygodnie po wypadku, kiedy jej bliscy polecili odłączyć aparaturę podtrzymującą życie.*

Moje palce drżą. Wciskam klawisz, żeby przejść do następnej strony.

*Fox, która nie posiadała jeszcze prawa jazdy, jest w stanie krytycznym i znajduje się w półśpiączce. Jej oparzenia i rany są tak poważne, że uniemożliwiają porozumiewanie się i udzielenie władzom informacji o szczegółach wypadku. Zdaniem oficerów śledczych, nie można wykluczyć udziału drugiego samochodu, jak się jednak wydaje, to nadmierna prędkość oraz nieostrożna jazda były przyczyną tego, że auto wypadło z zakretu na drodze nr 93 i stoczyło się ponad czterdzieści metrów po stromym zboczu. Wodór w zarejestrowanym na Matthew Foksa bmw z napędem triadowym wybuchł po zderzeniu, niszcząc większość dowodów, na których podstawie śledczy mogliby odtworzyć zdarzenia tego wieczoru.*

Zamykam netbooka pana Bendera. Z jakiegoś powodu wiedziałam, że ich więcej nie zobaczę.

Coś w głębi podpowiadało mi, że nie żyją.

Jak? Kiedy? Czy zanim zeskanowali mój mózg, zanim pobrali moje dziesięć procent, słyszałam, jak ktoś w szpitalu o tym rozmawiał? Czy Matka oplakiwała

Lockea, a potem Karę, siedząc przy moim łóżku i wiedząc, że jej córka jest temu winna?

Ale nie byłam.

Nie mogłam być winna.

- Nieprawda - mówię. - Nie zrobiłam tego. Pamiętałabym.

- Straciłaś dwoje przyjaciół. Mogłaś to wymazać z pamięci.

Albo mógł to zrobić ktoś inny.

Nic dziwnego, że Matka i Ojciec nie chcą o tym rozmawiać. Zabiłam swoich najlepszych przyjaciół. „Nadmierna prędkość i nieostrożna jazda”. Ich droga Jenna okazała się nie całkiem doskonała.

„Pośpiesz się, Jenna”. Czy dlatego wciąż do mnie wracają te słowa? By mi przypomnieć, co zrobiłam? Dziwne: czuję coś, lecz nie wyrzuty sumienia. Czy to znaczy, że jestem potworem?

Pamiętam. Coś. Okruch.

Czarne niebo. Gwiazdy. Aureolę ulicznej latarni.

„No, śmiało. Rzucaj”. Kluczyki wirujące w powietrzu. Moja wyciągnięta ręka. „Pośpiesz się, Jenna”. Przebłysk wieczoru, kiedy wszystko się zmieniło. Matka i Ojciec wymazali większość, ale nie zdołali usunąć wszystkiego. Zdradliwy neurochirurg zdecydował, że powinnam móc zerknąć ukradkiem na to, co zrobiłam. To kpina z Ojca czy ze mnie?

Pan Bender sugeruje spacer po ogrodzie. Karmi ptaki; dziobią mu z ręki. Wyciągam na chwilę dłoń, ale znów do mnie nie przylatują. I chyba już wiem dlaczego.

# Jedna zwyczajna rzecz

---

Rozrywam pudełka. Jedno po drugim. Książki. Naczynia. Dokumenty. Ubrania. Pamiątki. Wyrzucam wszystko na ziemię. Pudełko za pudełkiem. I jeszcze jedno. Przetrzęsam. Przeszukuję. Tłukę.

Nic z tego nie należy do mnie.

Zalamuję się pośrodku katastrofy, którą wywołałam w garażu, i z mojego gardła wydobywają się zniekształcone dźwięki.

Przypominają zwierzę.

Jestem.

Jestem zwierzęciem hodowlanym. Bez przeszłości, jeśli nie liczyć tego, co mi rzuca. A przecież szukałam dzisiaj jednej jedynej zwyczajnej rzeczy.

Czerwonej spódnicy.

# Inne ciemne miejsce

---

- Od podłogi do sufitu, jak sądzisz? - Claire wycelowuje laserowy wskaźnik w sufit i notuje wynik pomiaru.

- W porządku - odpowiadam. Obserwuję, jak wymierza zasłony do mojego pokoju. Odnutowuję, pod jakimi kątami zbiegają się ściany; wpadające przez okna skośne strugi światła; rozdzielające nas płaszczyzny; ironię zasłon mających sprowadzić ciemność.

Gapię się na Matkę. Stanowi starszą wersję mnie, lecz zarazem jest taka, jaka ja nigdy nie będę. Stara. Moja skóra i kości się nie zmieniają - biożel po prostu osiągnie termin ważności i przestanie funkcjonować. Gdybym wyszła za mąż, nie zestarzałabym się razem z mężem. Mogłabym albo umrzeć po dwóch latach, albo przeżyć go o stulecie. Interesująca perspektywa. Jaką cenę zapłaciła Claire, by ocalić jedyne dziecko?

Zauważa, że się jej przyglądam, i zaczyna poruszać się żwawiej. Pagle, wypełnia przestrzeń, jest czujna, ale nie pyta, na co patrzę. Szybciej przebiera rękami i nogami, chcąc się utrzymać na powierzchni, lecz nie mam jej tego za złe. Powiedziała, że przez całe miesiące znajdowała się w równie ciemnym miejscu co ja. Może utrzymywanie się na powierzchni chroni ją przed powrotem tam, gdzie nie można oddychać. Wymierza długość i szerokość z precyzją chirurga manewrującego skalpelem, jak gdyby to była kwestia życia i śmierci. Być może dla niej jest.

W mojej obecności zawsze zachowuje ostrożność. Czy dlatego to słowo wciąż pojawia się w moich myślach? Ostrożna w ruchach, ostrożna w słowach. W naszych kontaktach brak swobody. Jest ostrożna ze strachu, że się załamie? Czy że załamie się sama? Czy kiedy leżę samotnie w ciemności, licząc oddechy, ona robi to samo w mroku swojego pokoju, zastanawiając się... czy było warto?

Teraz, kiedy światło wlewa się przez okno, krząta się, zdecydowana odzyskać kontrolę nad tym, co naturalne. Każdy jej ruch jest jak cios, uderzenie pięścią nadające kształt rzeczywistości.



- Wypadek - mówię.

Laser gaśnie z pstryknięciem. Claire patrzy na mnie, w mgnieniu oka pobladła, z zapadniętymi oczyma.

- Co?

- Nauczyłam się wymawiać to słowo. „Wypadek”. Zakładam, że była to kolejna sugestia, którą wpoiliście mi z Ojcem, abym nigdy o nim nie wspominała.

Odkłada laser na szafkę nocną. Patrzy na mnie pustym wzrokiem. Opadła z sił.

- Nie - odpowiada, siadając na brzegu mojego łóżka. - Myślę, że to coś w twoim wnętrzu nie pozwalało ci go wypowiedzieć. - Kiwa głową, jakby zbierając razem słowa, które zaoszczędziła na tę chwilę. - A my nie chcieliśmy naciskać.

- Oni nie żyją - szepczę.

Oczy Claire lśnią od łez. Wyciąga do mnie ręce, a ja frunę bez wysiłku niczym piórko w prądzie powietrza, porwana przez siłę, którą ma w sobie.

Siadam na łóżku obok, czując, jak jej ramiona mnie obejmują, jak kołyszą nas obie w pierwotnym rytmie.

- Staraliśmy się powiedzieć ci o tym w szpitalu -szepcze; czuję na policzku ciepło jej oddechu, ciepło łez. - To było dla ciebie zbyt trudne. Wpadałaś w rozpacz, nawet kiedy próbowałaś się z nami porozumieć. Niedługo potem zapadłaś w śpiączkę. Baliśmy się, że naciskaliśmy za bardzo i dlatego twój stan się pogorszył. Nie chcieliśmy znowu popełnić błędu. - Odsuwa się i patrzy mi w oczy. - To był wypadek, Jenno. Wypadek. Nie musisz wspominać wciąż na nowo wszystkich szczegółów.

- Dlatego zablokowaliście informacje w netbooku?

Znowu kiwa głową.

- Po przebudzeniu wydawało się, że nie pamiętasz. Nie chcieliśmy, żebyś przypadkiem na coś trafiła i wpadła w regres.

Znowu przyciąga mnie do siebie, kładę głowę na jej piersi. Słyszę bicie serca Matki. Znajome. Dźwięk, który słyszałam jeszcze w jej brzuchu. Szmery, pulsowanie, szumy wyznaczające moje początki w tym drugim ciemnym miejscu. Wtedy nie miałam słów na ich nazwanie, tylko uczucia. Teraz mam jedno i drugie. Pamiętam je równie wyraźnie, jak wczorajszy dzień.

Leżymy na plecach wśród poduszek, obejmując się w milczeniu; czas zmienia się w zapomniany drobiazg. Sekundy i minuty stapiają się w godzinę, może więcej. Nie chcę się ruszać. Claire gładzi mnie po czole, drzemiąc, skośne promienie słońca wpadające przez okno stają się złote, potem gasną; popołudnie przemija.

- Przepraszam - szepczę w końcu. Przepraszam za Locke'a i Karę. Za miesiące jej udreki. Przepraszam za to, jak musimy teraz żyć. Za to, że ją odepchnęłam. Przepraszam za to, że nie jestem ideałem.

- Cśśś - odpowiada, gładząc mnie znowu. A potem dodaje: - Ja też przepraszam.

Zauważam plik próbek leżący na szafce nocnej.

- Wszystkie są niebieskie - mówię. - Masz może czerwone?

- Czerwone?

- Czy mogłabym mieć czerwone zasłony?

- Możesz mieć wszystko, co zechcesz. Wszystko. Zamykam oczy i znowu przykładam ucho do jej piersi.

Słucham dźwięków, pulsu Claire; świata moich początków; czasu, kiedy nie dręczyły mnie wątpliwości, czy posiadam duszę. Kiedy istniałam w ciepłym, aksamitnym płynie, ciemnym jak noc, i to było jedyne miejsce, w którym się chciałam znajdować.

## Procenty

---

Składam poźółkły, koronkowy obrus i chowam go na dno pudełka.

- Przepraszam za ten wazon. Ja... byłam nieostrożna. Lily wydaje jakiś dźwięk. Nie jestem pewna, czy to

prychnięcie, czy śmiech.

- Oględnie powiedziane.

Dzisiaj rano usłyszałam, jak przeklina. Od razu wiedziałam dlaczego i wybiegłam kuchennym wejściem. Odkryła dokonane przeze mnie zniszczenia, kiedy podniosła drzwi garażu, żeby wyprowadzić samochód.

- Nie mam pieniędzy, ale coś wymyślę i go odkupię. Nie reaguje na moją propozycję.

- Jak się zdaje, rozbijanie różnych rzeczy stało się twoją nową specjalnością. Niemal żałuję, że wyszłam tamtego ranka, kiedy na oczach rodziców zaczęłaś tłuc talerze.

- To nie było śmieszne.

- Wtedy nie, z całą pewnością.

Zamykam napelnione pudełko i biorę się za następne. Wszystko tutaj należy do Lily.

- Dlaczego twoje rzeczy leżą w pudłach?

- Miałam je oddać na przechowanie. Zanim tu przyjechałam, zamierzałam... cóż, chyba można powiedzieć, że zamierzałam zmyć się z Dodge.

- Dodge?

- Takie stare powiedzenie. Oznacza wymknienie się z miasta, zanim się zaczynają kłopoty. Tylko że ja miałam wyjechać z kraju. Wiedziałam, że będziesz... że twoi rodzice byliby... - Wzdycha i otrzepuje z brudu kaszmirowy kapelusz z wywinętym rondem. - Wiedziałam, że to najwyższa pora.

Czas. Prawie jak ponowne narodziny.

- Jak to wyglądało? Lily się wzdryga.

- O co ci chodzi?

- Widziałaś proces budowy? - To brzmi brutalnie. I jest brutalne. Było.

Kręci energicznie głową.

- O, nie. Kiedy się tylko dowiedziałam, co zamierzają, zamknęłam się u siebie w Kennebunk. W tamtym okresie ja i twoja matka prawie ze sobą nie rozmawialiśmy.

- Nie aprobowałaś tego.

Milczy, wkłada kapelusz do pełnego pudełka i je zamyka. Odrywa z rolki pół metra taśmy; zakurzoną ciszę przecina pisk.

- „Aprobata” to chyba niewłaściwe słowo - mówi na koniec. - Być może „szok”. Albo „strach”. - Zastanawia się chwilę dłużej i dodaje: — A może jednak właściwe. Sama nie wiem. Wobec niewiadomego.

Rozumiem. To właśnie niewiadomego się boję -okruchów wspomnień, wciąż ze sobą niepowiązanych; tego, jaką rolę odegrałam w śmierci Kary i Locke'a; towarzyszących mi głosów, zbyt bliskich; nieustannej gry w przeliczanie procentów: zastanawiania się, czy dziesięć procent jednej rzeczy może być warte tyle samo, co dziewięćdziesiąt procent czegoś innego. Odpowiedź, która zawsze wtedy przebiega przez moje neurony i neurochipy, brzmi: nie wiem.

- Tego jednego Matka i Ojciec nie przewidzieli: niewiadomego. O wielu rzeczach im nie wspomniałam.

Lily się ożywia; wygląda niemal na zadowoloną, że znalazłam skazę w drobnym triumfie rodziców.

- Na przykład? - pyta.

- Że pamiętam własny chrzest i jeszcze wcześniejsze wydarzenia.

- Jesteś pewna? Kiwam głową.

- Z początku mnie to przerażało, ale teraz w pewien sposób uspokaja. Jakbym miała każdy kawałek tego, kim byłam kiedyś; może nawet więcej, niż kiedykolwiek posiadała ta Jenna, którą byłam dawniej. Jakby w zamian za to, co straciłam. Może to równoważy procenty.

- Procenty! - prycha. - One są dla ekonomistów, twórców sondaży i polityków. Procenty nie wyrażą tożsamości. - Wkłada do pudła stos książek i podnosi głowę. - O czym im jeszcze nie mówiłaś?

Kiedy odpowiadam, nadal jeszcze zastanawiam się nad słowem „tożsamość”.

- Słyszę głosy.

- Chodzi ci o wspomnienia? Waham się.

- Nie jestem pewna - mówię. - Czasem wydają się zbyt... bliskie. Jakby szeptały mi prosto do ucha.

Lily sztywnieje.

- Kto? - pyta.

- Kara i Locke. Przynajmniej wydaje mi się, że to oni. Lily siada na stojącym obok pudełku.

- Wiem o nich - mówię. - Wiem, że nie żyją.

- Pamiętasz wypadek.

- Nie. Przeczytałam o nim. Ale zdaje mi się, że już wcześniej wiedziałam, gdzieś w środku. Nie byłam wstrząśnięta, kiedy to odkryłam. To było raczej potwierdzenie.

Podnosi wzrok w górę na krokwie, w powietrze; jej spojrzenie krąży wśród belek, jakby zapomniała o mojej obecności.

- Byli dobrymi dziećmi - mówi.

- Ja tego nie zrobiłam, Lily. - Staję tuż przed nią, tak żeby musiała na mnie spojrzeć. - Nie zabiłam ich.

- To był wypadek, Jenno. Niezamierzony, ale się wydarzył. Co do tego zgadzamy się wszyscy.

Kiwam głową. Lecz chodzi o coś więcej niż wypadek. Zostałabym oskarżona, byłam jednak zbyt ciężko ranna, żeby policjantom chciało się fatygować. Gdyby zobaczyli mnie teraz, co by zrobili? Lecz chodzi o jeszcze coś. Luźne fragmenty przepływają przeze mnie, szukając punktu zaczepienia. Neuron. Neurochip. Nie zabiłam swoich przyjaciół. A może po prostu nie umiem się pogodzić z faktem, że to zrobiłam. Może oznaczałoby to ostateczny upadek Jenny z wyżyn doskonałości. Podnoszę z ziemi trzy rozrzucone książki i wkładam do pudełka.

Lily wstaje, przytrzymuje tekturowe klapy, kiedy je zaklejam.

- Czemu mówisz o tym mnie, a nie rodzicom? Jestem zdziwiona, że pyta. Chce mnie sprawdzić?

Obie znamy odpowiedź. Bo zawsze tak robiłam.

Pamiętam weekendy, kiedy jeździłam pociągiem do jej domu. Jak planowałam wszystko, co powiem; wszystkie wydarzenia, zmartwienia i błędy, które ukrywałam przed Matką i Ojcem. Oszczędzałam je dla Lily, bo mnie słuchała. Czasem człowiek ma dość tego, że wciąż na niego chuchają. Ze każdy drobiazg urasta do rangi problemu. Ze każdym niedociągnięciu należy poświęcić uwagę. W końcu trzeba się komuś zwierzyć. Moim takim kimś była Lily.

- Chyba pamiętam, że miałaś wysoką zdolność słuchania bez roztkliwiania się nad treścią. - Odrywam ostatni kawałek taśmy i przyklejam go wzdłuż klapy. — Z czasem to zaczyna męczyć, rozumiesz, ciągle bycie ideałem. Wiesz, że pewnego dnia coś się stanie; pojawi się problem, który nie da się wpasować w elegancki, zgrabny projekt. Coś, czego się nie da naprawić. I co wtedy?

Lily odpowiada bez wahania.

- Staniesz się śmiertelnikiem jak wszyscy - oznajmia. Odwraca się i zabiera do porządkowania kolejnego fragmentu bałaganu, który stworzyłam. Prawie mi jej żal. Widzę linę, na której tańczy. To ta sama lina, na której tańczyę ja, odkąd zobaczyłam błękitny żel w rozcięciu skóry.

- Właściwie mi nie wyjaśniłaś — mówi. - Czego tu szukałaś, kiedy się zmieniłaś w ludzkie tornado?

Zwykła metafora, nic więcej. Nie powinnam jej przypisywać wielkiego znaczenia, lecz mimo to odnotowuję określenie „ludzki”. Chętnie zostałabym ludzkim tornadem.

- Czegoś do ubrania - odpowiadam.

- Kapelusz to też część ubrania.

- Szukałam czerwonej spódnicy, którą kiedyś miałam.

- Musiała być cenna.

- Była. Kupiłam ją z Karą.

- O - w tej pojedynczej głosce rozbrzmiewa całe znaczenie spódnicy.

- Chciałam odmiany po tych wszystkich niebieskich koszulach i spodniach, jakie mam teraz. Myślałam, że może ją tu znajdę, ale domyślałam się, że Claire zostawiła wszystkie moje rzeczy w Bostonie. Kolejny drobiazg służący podtrzymaniu pozorów, jak sądzę.

- Pewnie coś w tym guście.

Zaczynam zmiatać śmieci na szufelkę i zmieniam temat.

- Ale w końcu mi nie wyjaśniłaś: jak tu wylądowały te wszystkie pudła?



- Postanowiłam pojechać określoną drogą - tłumaczy, ściągając brwi. - Claire do mnie zadzwoniła. Sytuacja z domem się skomplikowała. Claire szalała. Miejsce, które początkowo wybrali, w ostatniej chwili nie wypaliło. Ale twój ojciec miał przyjaciela z dzieciństwa, Edwarda; wiedział, że może mu ufać. Edward wspomniał o idealnym miejscu w swoim sąsiedztwie: odpowiedni klimat, na uboczu, dużo przestrzeni, trochę zaniedbane, poza tym dokładnie to, czego potrzebowali twoi rodzice. Nie chcieli tylko, żeby na podstawie aktu własności dało się wytropić ich albo firmę ojca. Spieszyli się, więc ja byłam najlepszym rozwiązaniem. Obie z Claire zawsze nosiłyśmy różne nazwiska, a zresztą moje życie nikogo nie obchodzi. Więc go dla nich kupiłam.

- Kupno nie oznaczało, że musiałaś przyjechać.

- Claire mnie prosiła. Nie, poprawka. Błagała. Powiedziała, że mnie potrzebuje. Bała się. A ja pomyślałam, że bez względu na to, co sędzę o całej sprawie, jest moją córką. Jediną córką.

A więc Lily także znajduje się pod urokiem Claire. Nie tak bardzo różni się ode mnie.

Lily podnosi wzrok, mruży oczy, potem kręci głową.

- Równie dobrze mogę ci powiedzieć wszystko. Zostałam także zwerbowana jako element planu ucieczki... gdyby zaszła konieczność.

- Co?

- Potrzebowali planu ewakuacji na wypadek, gdyby władze ich nakryły. Podczas gdy twoi rodzice będą próbowali odwrócić uwagę, mam cię zgarnąć do Edwarda, który z kolei zgarnie nas obie za granicę. Wybór padł na Włochy, bo mają tam mniej restrykcyjne prawo niż my i odpowiedni dla ciebie klimat.

Zgarnąć mnie. Jak śmieć zmiotany na szufelkę.

- Więc czemu mnie po prostu nie zgarnęli na samym początku?

- A dlaczego twoi rodzice robią to, co robią? Bo chcą mieć wszystko. Skoro istnieje szansa, że ujdzie im to na sucho, muszą spróbować.

Odnotowuję jej punkt widzenia. Ujdzie im to na sucho. „To”, czyli ja i moja nielegalność. Wbrew woli została wplątana w coś, do czego nie ma przekonania i co jest sprzeczne z prawem. Jak wiele rodzice gotowi są zrobić dla swojego dziecka?

- A gdzie byś się znajdowała właśnie teraz, gdybyś nie utknęła w tym uroczym, maleńkim kurorcie?

Uśmiecha się.

- Byłam w drodze do willi przyjaciółki niedaleko Montalcino w Toskanii. Całkiem przyjemne miejsce na emeryturę. Powiedziała, że mogę zostać, jak długo zechcę. Zamierzałam nawet spróbować swoich sił w produkcji wina.

Maleńki azyl, który nigdy nie przybrał realnych kształtów. Dla czegoś takiego...

- Zamieniłaś włoską willę i wino na walącą się chałupę w stylu cotswold i nielegalne laboratoryjne monstrum. Nie znasz się na interesach, co, Lily?

Wysypuje odłamki szkła do kubła i przez moment patrzy wprost na mnie, a potem uderza szufelką o brzeg, żeby wytrząsnąć ostatnie okruchy.

- Nie narzekam - odpowiada.

Sprzątanie skończone. Nie ma pretekstu, który by nas tu zatrzymał.

Stoimy skrępowane. Powód, by pracować razem, zniknął, a ja tyle jeszcze chcę od Lily. Tępa, niezdarna ja znowu przypomina o swoim istnieniu; spadam z cienkiej liny, na której tańczymy.

- Czy ja bym tego chciała, Lily? Czy Jenna, którą znałaś, chciałaby tego, czym jestem teraz? - W mgnieniu oka ogarnia mnie rozpacz i przerażenie, bo przekroczyłam granicę. Między czernią a bielą; między tak a nie.

- To zależy, Jenno - odpowiada. - A czym teraz jesteś? Czarno-biała odpowiedź, której się spodziewałam, rozmywa się w mętną szarość.

- Nie wiem.

- Cóż, więc dopóki nie będziesz umiała odpowiedzieć na moje pytanie, ja nie odpowiem na twoje.

## Tożsamość

---

*Tożsamość rzecz. 1. Stan bycia sobą, a nie kimś innym. 2. Uczucie identyczności z samym sobą, stanowiące podstawę osobowości i świadomości trwania w czasie. 3- Całkowita zgodność natury lub cech. 4- Odrębne lub odróżniające się istnienie. 5. Cechy danej osoby odróżniające ją od innych.*

Odhaczam kolejne punkty.

Inna od pozostałych. Czy jedno „tak” na pięć wystarczy?

Lily mówi, że procenty i politycy nie potrafią zdefiniować tożsamości, ale mają określili: nielegalny wytwór laboratorium. Karty, które dostałam z rozdania. Czy to właśnie miała na myśli Allys?

Allys wydaje się taka pewna siebie. Taka przekonana do swoich racji. Bez wahania nazywa Danae rozkładającą się kupą. Nie wiedząc o tym, nazywa mnie laboratoryjnym monstrum. Dlaczego tak mnie pociąga ktoś, kto mnie może zniszczyć? Czemu chcę, żeby została moją przyjaciółką?

Według słownika, moja tożsamość powinna oznaczać wyłącznie odrębność lub odróżnianie się od innych ludzi, a mimo to mam wrażenie, że jest z nimi głęboko związana.

## Niepoznawalne

---

Czy są rzeczy, których się nigdy nie dowiem? Pytania bez odpowiedzi, z którymi będę się musiała pogodzić?

Czy ulegałam zmianom tak jak wszyscy, kształtowana przez czas i wydarzenia?

Czy też jestem nową Jenną, wytworem techniki, ukształtowaną przez to, w co mnie wyposażono, albo może przez to, o czym zapomniano?

I skoro moje oryginalne dziesięć procent to naprawdę wystarczająco dużo, co by było, gdybym zachowała dziewięć? Albo osiem?

Czy jedna liczba tak bardzo się różni od drugiej?

W którym momencie komórka staje się zbyt mała, żeby przechować naszą istotę?

Nawet pięćset miliardów neurochipów nie umie mi tego wyjaśnić i nie jestem pewna, czy zdołają to kiedyś zrobić.

Pierwszy raz uświadamiam sobie, że pytanie, które nie daje mi spokoju ani na chwilę

- czy istnieję wystarczająco? - to nie tylko moje pytanie, lecz także pytanie dawnej Jenny.

Myślę o Ethanie i Allys, i nawet o Danie i zastanawiam się, czy oni też czasem je sobie zadają.

## Środowisko

---

- Jadę po ojca. Niedługo wrócę! - woła Claire, stojąc na dole przy schodach.

Słyszę, jak wychodzi. Dom jest pusty. Lily poszła na niedzielną mszę. Nigdy wcześniej nie zostawiły mnie samej. Zaczynają mi ufać? Wyglądam przez okno na werandę w dole. Bariereki zostały wymienione, ceglane murki naprawione.

Cotswold zaczyna coraz bardziej przypominać dom, nie ruinę. Czary Claire działają. Zyskuje z każdym dniem. Pokoje na piętrze nadal są puste, ale teraz jest w nich przynajmniej czysto, wszystkie pajęczyny wymieciono.

Dzisiaj sprzątałam w swoim pokoju. Claire nie zatrudnia już gospodyń, jak w Bostonie. Nie chce wścibskich oczu i uszu. Kiedy któryś z robotników musi wejść do środka, podąża za nim krok w krok. Ani przez minutę nie pozwala mu się wałęsać swobodnie.

Nie mam wiele do sprzątnięcia. Mój pokój wciąż jest skąpo umeblowany. „Zywiec najbliższe swej istocie smakuje najlepiej” - oświadczam ścianom. Zabawiam siebie swoją erudycją. Przeciagam szmatką po biurku i krześle, gotowe.

Sięgam po egzemplarz *Walden*, uploadowany obecnie słowo po słowie do moich biochipów, ale zawsze czymś innym jest otworzyć prawdziwą książkę, poczuć jej zapach, przyglądać się kolejno poszczególnym słowom, wchłaniając ich kształt i niuanse znaczenia. Myślę o rzeczach takich jak dźwięki i zapachy, które otaczały Thoreau, kiedy notował kolejne zdania i akapity.

Przewracając strony, czując dotyk papieru, zastanawiam się, czy żyje jeszcze choć jedno drzewo w lesie Thoreau; zastanawiam się, co by pomyślał Thoreau, gdyby mógł dzisiaj odwiedzić mój mały staw i zagajnik eukaliptusowy. Zastanawiam się, czy, inaczej niż on, za dwieście lat wciąż będę mogła odwiedzić swój staw i las. Kiedy przewracam strony książki, patrzę na słowa i spacje pomiędzy nimi; mam czas na rozmyślanie o takich rzeczach. Tego rodzaju myśli nie zostały zapisane ani zuploadowane do mojego biożelu. Te myśli są moje i niczyje inne. Nie istnieją nigdzie we wszechświecie, tylko w moim wnętrzu.

Ta nowa idea przykuwa moją uwagę. A gdybym nie dostała szansy, by zbierać i budować nowe wspomnienia? Zanim zdążę się zastanowić, co robię, słyszę,

jak w powietrzu rozbrzmiewa mój szept: „Dziękuję”. Mimo ceny jestem wdzięczna za to, że mogę tu być. Zapomniałam

o piekle, przez które przeszłam, czy też nowe wspomnienia niczym poduszka stłumiły tamten ból?

Odkładam *Walden* na środek biurka i odnoszę ściereczkę do garderoby, żeby ją wrzucić do kosza na bieliznę. Claire pewnie niedługo wróci. Zerkam w róg pomieszczenia. Klucz. Niemal zapomniany. Znowu przechodzi mnie dreszcz na wspomnienie wyrazu twarzy Ojca, kiedy napomknęłam o kluczu. Schylam się i odginam róg wykładziny. Wciąż leży na miejscu, zaciskam go w pięści, jakby mógł zniknąć. Podchodzę do schodów

i wychylam się przez poręcz.

- Claire? Lily?

„Tutaj! Jenna!” Wzdrygam się i niemal upuszczam klucz. Zamieram na podestie. Nasłuchuję. Ale w domu panuje cisza. Czy to tylko zapamiętany przeze mnie głos?

Ściskając klucz, staję na pierwszym stopniu. Wiem już, co znajdę w garderobie Matki. Tylko komputery. Ale było tam ciemno. Może coś przeoczyłam. Czego bał się Ojciec? Ze co zobacze? Coś bije w moim wnętrzu, w największej głębi, ale wiem, że to nie serce. Robię następny krok i jeszcze jeden, aż staję przed drzwiami pokoju Matki.

Po przełomie, po chwilach czułości, jakie dzieliłyśmy - czy to zdrada? Oglądam się przez ramię na długi, pusty korytarz.

- Matko? - Mój głos jest pełen napięcia. Na jego dźwięk pulsowanie w moim wnętrzu narasta. Ściany korytarza wibrują ciszą. Otwieram drzwi.

Pokój jest jasny, przestronny, nie ma się czego obawiać. Wchodzę, stopy niezgrabnie szurają po podłodze. „Jenna”. Zatrzymuję się. Znowu wstrzymuję oddech, paznokcie wbijam w dłoń. Podchodzę do garderoby. Znow przypominam sobie błysk niepokoju w oczach Ojca; wsuwam klucz do zamka, pchnięciem otwieram drzwi.

Stół dalej jest tam gdzie wtedy.

I komputery.

I słaby, zielonkawy poblask.

Tym razem znajduję kontakt na ścianie i zapalam światło. Wchodzę do środka. Pomieszczenie jest zwyczajne. Puste ściany. Patrzą na podłogę, sufit, zaglądam pod stół. Oprócz trzech komputerów nie ma tu nic. Mój wciąż stoi pośrodku, z jednym nitem obluźowanym. Podchodzę i niemal go dotykam, ale się cofam.

Nie pamiętam, że bym w Bostonie miała własny komputer. Musiałam jednak go mieć, skoro moje nazwisko widnieje wyraźnie wypisane na tabliczce z boku. Komputer jest duży, o dziwnym kształcie; nigdy takiego nie widziałam - piętnastocentymetrowa kostka z dwoma portami, oboma wolnymi. Nie ma monitora. To musi być to. Tego właśnie nie chcą mi pokazać.

Stoję tak, patrząc, próbując się zdecydować. Zaufać im. Albo zaufać szeptowi we własnym wnętrzu.

Gdybym zdołała odzepić komputer, mogłabym go podłączyć do netbooka na górze i zobaczyć, co zawiera. Czubkami palców dotykam swojego nazwiska. JENNA ANGELINA FOX. Czuję mrowienie w palcach. Dlaczego tutaj?

Dwa pozostałe nie mają tabliczek. Może też są moje? Kładę dłoń na pierwszym. „Teraz! Pośpiesz się!”.



Cofam się gwałtownie. Czuję pulsowanie w głowie. Dotykam drugiego komputera, zastanawiając się, do czego służy, a potem przykucam.

Mają etykiety. Ledwie widoczne, w pośpiechu nabazgrane długopisem.

L. JENKINS i K. MANNING.

Co?

Kolana uginają się pode mną i przewracam się na podłogę. Co to...? Jak...? Dlaczego...? Myśli potykają się o siebie, wpadają jedna na drugą. Podnoszę się i odstepuję o krok, patrząc na trzy pudełka o dziwnym kształcie. Czemu Matka i Ojciec przechowują ich komputery? Wybiegam z garderoby, a potem korytarzem do kuchni, gdzie Lily trzyma w szufladzie podstawowe narzędzia. Grzebię w poszukiwaniu śrubokrętu. Nie mam już wątpliwości. Wiem, komu ufać. Znajduję wielki, płaski śrubokręt i biegnę z powrotem przez dom do pokoju Matki. Najpierw mój. Potem pozostałe. Podłączę wszystkie do netbooka. Załaduję ich zawartość i przekonam się sama. Załaduję...

W połowie korytarza staję jak wryta. Widzę oczy Ojca. Rozpaczliwe spojrzenie Matki. Ciemna, zamknięta na klucz garderoba i ukryty klucz. Załadować.

„Złamaliśmy szyfr, Jenno”.

Śrubokręt wysuwa mi się z palców.

„Wstrzykuje się nanoboty wielkości krwinek, czasem nawet bez wiedzy zainteresowanego”.

Moje stopy niepewnie posuwają się naprzód.

„Wyobraź sobie szklaną kulę wirującą na czubku palca. ..”.

Ściany się chwieją. Drzwi pokoju Matki majaczą niewyraźnie.

„Umysł to energia wytwarzana przez mózg...”.

Chwytam się framugi drzwi, żeby nie upaść.

„Trzeba ją utrzymywać w ruchu, inaczej spadnie i się rozbije...”.

Gapię się na trzy brzęczące pudełka.

...umieściliśmy bity informacji w środowisku, które utrzymuje energię w ruchu...”.

Poprawka. Środowisko. Gapię się na trzy brzęczące czarne środowiska. Pie-  
kło.

„Pośpiesz się, Jenna. Chodź”.

Nie mogę.

Cofam się.

Kopie zapasowe. Oczywiście. Rzucam się do ucieczki.

## Wymiana myśli

---

Ziemia w lesie jest wilgotna. Dywan z eukaliptusowych liści szeleści. Leżę na nim od wielu godzin, nasłuchując dźwięków. Niewiele ich. Liście szurające pod mną, kiedy obracam głowę albo poruszam nogą. Skrzypiące westchnienia gałęzi i konarów, gdy wiatr wygina je zbyt mocno. Niekiedy głuche krakanie jednego kruka do drugiego. Słabe, rozpaczliwe wołania Claire, wzywającej „Jenna!” i głowiącej się, dokąd poszłam.

Unoszę ręce, rozpościeram palce w subtelnym przedstawieniu, moje dłonie stykają się, ciepłe i gładkie. To prawdziwa skóra. Prawdziwy ruch. Struktura słucha moich neurochipów. Kiedy myślę „kłaśnij”, dłonie wykonują polecenie i frenetyczne oklaski niosą się echem po lesie. Mój mózg. Mam te dziesięć procent. Matka nazwała ten fragment motylem. Mój skrzydlaty okruch człowieczeństwa. Najwyżej kilkanaście gramów. Skoro wierzę w coś zwanego duszą, to czy zerwała się do lotu razem z tą garścią polyskliwej tkanki? Czy dusza trzyma się ostatniego okrucha człowieczeństwa, aż nie zostanie już nic? Skoro może zamieszkiwać w embrionie wielkości pięści, to czemu nie w garści neuronów?

Składam dłoń w miseczkę, wyobrażając sobie, że przysiada na niej motyl; czuję jego trzepot, pulsujące w nim życie i wracam w sen, we wspomnienia, w świat marzeń. Śnię o złotoskrzydłych motylach, czerwonych spódnicach, krzywych tortach i wargach Ethana na moich.

Kiedy się budzę, bordiura nieba widoczna ponad sklepieniem drzew zmieniła barwę z ciemnoniebieskiej na czarną. Wierzchołki drzew są ledwie widoczne, tylko wąski sierp księżycy oświetla ich kontury.

- Jenna! - odległy głos szukającej mnie Matki brzmi żalośnie.

Muszę wracać. Wcześniej czy później. Ale dopiero kiedy zrozumie jedną rzecz. Która ja jestem rzeczywista? Ta zamknięta w garderobie czy ta tutaj, leżąca w lesie?

## Kopia zapasowa

---

Kiedy wynurzam się z lasu, siedzą na werandzie. Wybiegając z domu, zostawiłam drzwi otwarte, co musiało im dać wskazówkę, w którą stronę się udałam. W innych czasach Matka wezwałaby policję, teraz jednak nie wchodzi to w grę. Matka zauważa mnie pierwsza. Podnosi się z miejsca, ale Ojciec wyciąga rękę i ją powstrzymuje. Lily upija łyk wina.

Idąc w ich stronę, mam wrażenie, jakbym im przerwała kolację przy świecach, a nie pełne niepokoju czuwanie. Lily podsuwa Matce talerz faszerowanych pieczarek. Czuję, jak przebiega mnie gniewny dreszcz.

- Trochę późno, nie sądzisz? - rzuca swobodnie Ojciec. Odgryza kęs sera i nonszalancko popija winem. Oczy ma gniewne, szkliste, ale jego ruchy zachowują wypraktykowane opanowanie.

- Nie za późno - odpowiadam.

- Nie możemy tak dalej żyć, Jenno! - wybucha Matka.

Ojciec rzuca jej znaczące spojrzenie. Lily przewraca oczami.

- Witaj w domu, Ojczy - mówię. Sięgam po faszerowanego grzyba i zanim ktoś mnie zdąży powstrzymać, pakuję go sobie do ust.

Cała trójka gapi się na mnie, nieczułą Jennę Fox, znowu w centrum uwagi. Gdzie są kamery? Kończę scenę teatralnym ukłonem.

- Do cholery, Jenno! - Ojciec uderza pięścią w szklany blat, aż dzwonią talerze. - Nie ty pierwsza na świecie musisz do siebie po okaleczającym wypadku!

- Wiem, Ojczy. - Siadam na krześle naprzeciw niego. - No i jest jeszcze tych troje w garderobie. Tych w czarnych skrzynkach. To dopiero kalectwo.

Lily chrząka.

- Trafiony. Osusza swój kieliszek.

- Jenno, musimy o tym wszystkim porozmawiać -mówi Matka. - Nie możesz tak po prostu uciekać, doprowadzając nas do rozpaczki za każdym razem, kiedy napotkasz jakiś problem.

- Nie napotkałam żadnego problemu. Ukryliście to przede mną.

- Oni nie są ludźmi - wtrąca Ojciec.

- Jeszcze jednego? - proponuje Lily, podsuwając mi półmisek z grzybami.

- Niczego przed tobą nie ukryliśmy - mówi Matka.

- Słyszysz, co powiedziałem?

- Zamykanie drzwi na klucz to jest ukrywanie.

- Otworzyć jeszcze jedną butelkę?

- A czego się spodziewasz, postępując w taki sposób?

- Przestańcie! - wrzeszczę. Nie zniosę dłużej tej poplątanej rozmowy.

- Otworzę - decyduje Lily. Szurając, idzie do domu, my tymczasem pozostajemy przy stole i wykorzystujemy ciszę na przegrupowanie. Matka unosi włosy z ramion i zdmuchuje pasma z oczu. Zmienne wiatry Santa Ana przyniosły niezwykle jak na marzec ciepło. Ojciec obraca kieliszek, nagle bardzo zainteresowany swoim winem. Ze zmarszczonymi brwiami opanowuje emocje, skupiając uwagę. Widzę, jak zaciska mocno wargi, jakby w jego wnętrzu zaczął się pruć jakiś szew.

- Zacznijmy od początku - podejmuje cicho Matka.

- Co robiłaś w mojej garderobie?

- Zaczniemy bardziej od początku - odpowiadam.

- Co robi w twojej garderobie komputer opisany moim imieniem?

- To kopia zapasowa, Jenno - wyjaśnia Ojciec swoim zwykłym tonem „dajmy spokój bzdurom”. - Musieliśmy gdzieś zapisać pierwotny upload.

Ledwie go widzę, kiedy kontynuuje tłumaczenia. Pamiętam tylko miejsce bez wymiarów, bez głębi, bez gorąca i zimna, za to z bezmiernym mrokiem i samotnością. Jakaś inna Jenna wciąż tam przebywa.

- Mówiliśmy ci już, że wkroczyliśmy na nieznany obszar. Nie sądzimy, by coś mogło pójść źle, ale gdyby tak się stało, na wszelki wypadek zachowaliśmy kopię zapasową. Nie wolno jednak dopuścić, by została podłączona do sieci. To zbyt ryzykowne. Utrzymujemy więc biośrodo wisk w pełnej niezależności od wszelkich sieci i źródeł zasilania.

Wstaję, obejmuję się ramionami i zaczynam chodzić w kółko, kręcąc głową.

- Jenno...

- Co wy wyprawiacie? Trzymacie uwięzioną w tym środowisku drugą mnie! I Karę, i Locke'a!

Ojciec porusza się na krześle. Garbi się.

- To nie jesteś druga ty ani oni, a „uwięzioną” to niewłaściwe określenie. To tylko bity infor...

- To umysł. Sam tak mówiłeś.

- Ale umysł bez danych zmysłowych. Jak otchłań albo świat ze snu.

- Uwierz mi, to nie jest świat ze snu. Daleko mu do tego. Przypomina raczej senny koszmar. - Opadam z powrotem na krzesło i zamykam oczy.

- Jenno, minęło tylko parę miesięcy - odzywa się Claire. - Daj nam trochę czasu, żeby się w tym odnaleźć. Sami wciąż próbujemy sobie wszystko ułożyć. O nic więcej nie prosimy. Tylko o trochę czasu.

Nie słucha. Żadne z nich nie słucha. Nie chcą wierzyć, że miejsce, które zamieszkiwałam przez półtora roku, nie było zaledwie senną poczekalnią. I że oddałam im właśnie czas. Czas. Miesiące. Lata. Całe życie, gdy należałam do nich. Czy przyjdzie taki czas, kiedy będę mogła powiedzieć „nie”? Czy ja w ogóle mam czas? Potrzebuję kopii zapasowej, bo coś może pójść źle? Nagle uświadamiam sobie, że drżą mi ręce i dygoce noga.

- Co mogłoby pójść źle? - pytam. Nie przyszło mi do głowy, że mogłabym się nagle zepsuć, zapaść w nicość jak komputer, który uległ awarii, nie wykorzystując nawet dwóch lat swego okresu przydatności. Te dwa lata wydają się naraz niezwykle cenne: całe życie. Nie chcę... przestać być. Brzuch mi się kurczy, brak mi tchu. Brak mi tchu - komuś, kto nie ma płuc. Mam się śmiać czy płakać?

Czuje, jak Ojciec bierze moje ręce w swoje, i otwieram oczy.

- Nie sądzimy, że coś pójdzie źle, aniołku. Ale nie mamy żadnych długookresowych danych z tak dużego projektu. Biożel jest stosowany od zaledwie ośmiu lat i wykorzystywano go jedynie przy transplantacji izolowanych narządów, a nie jako kompletny układ nerwowy. Problem w tym, że gdyby doszło do konfliktu między twoją oryginalną tkanką mózgową a biożelem, impulsy mogłyby się zachowywać niemal jak przeciwciała, próbowałyby się tłumić nawzajem. Nie zaobserwowaliśmy tego dotąd i nie spodziewamy się zobaczyć, ale właśnie ze względu na podobne scenariusze stworzyliśmy kopie zapasowe. Na wszelki wypadek.

Pstryk. Nie ma.

Nie chcę pstryknąć i przestać istnieć. W mojej pamięci błyskają obrazy. Chmurne oczy Ethana. Wróble pana Bendera. Uśmiech Allys. Claire wyciągająca do mnie ręce. Las i niebo, które zahipnotyzowały mnie na wiele godzin. Nowe obrazy z mojego nowego życia. Obrazy, których nie ma w mojej kopii zapasowej. To inna Jenna. I chcę zachować tę Jennę, którą jestem teraz.

- Proszę bardzo. - Lily stawia na stole kolejną butelkę wina i umieszcza przede mną dodatkowy kieliszek.

- Oszalałaś, Lily? - pyta Ojciec.

- Przecież się nie upije.

- Ale mimo to...

- Daj spokój, Matt - wtrąca Matka.

- Nalej, Lily - proszę, unosząc kieliszek.

Nalewa, a Ojciec nie mówi już ani słowa.

Nie upijam się, ale naprawdę czuję, jak wino rozgrzewa moje wnętrze. Mój układ trawienny, choć prymitywny, najwyraźniej docenił wysiłki Lily, nawet jeśli wino pozostaje bez smaku.

- Czemu tam są kopie zapasowe Kary i Locke'a?

- Przeze mnie - przyznaje Matka, masując skroń. Wypija jeszcze łyk wina i patrzy w stronę stawu. - Zeskanowaliśmy ciebie. Mieliśmy nadzieję. Ale parę dni po tym, kiedy cię przenieśliśmy, musiałam wrócić do szpitala po twoje rzeczy i zobaczyłam rodziców Kary i Locke'a, ich ogromne cierpienie. Ublagałam ojca, żeby ich też zeskanował, na wypadek gdyby z tego nie wyszli. - Wzdycha i patrzy na mnie. - Zrobił to.



Ogarnia mnie wstyd, kiedy patrzę na ból wyryty na jej twarzy, ale także złość z powodu brakującej blizny na moim podbródku, utraconych pięciu centymetrów wzrostu i perspektywy, z której nigdy już nie będę oglądać świata. Gniewna ja bierze górę nad zawstydzoną. Ostatecznie mam do tego prawo; jestem Jenną mającą prawa. Dodaje szczyptę sarkazmu, by w pełni wykorzystać swoje przywileje.

- A gdzie są ich nowe i ulepszone ciała?

- Nie ma - odpowiada Ojciec. - Zaraz po tym, kiedy zeskanowałem Karę i Locke'a, przyszedł raport policyjny z wypadku i ich rodzice nie chcieli nawet z nami rozmawiać, nie mówiąc już o dopuszczeniu do dzieci. Locke zmarł parę dni później i nie udało się zdobyć nawet czegoś tak drobnego jak próbka skóry. Skremowali jego ciało. To samo z Karą. Przeniesiono ją do innego szpitala i odmówiono nam wstępu. Nie mamy ani odrobiny oryginalnego DNA. Nie ma ich z czego odbudować. Nigdy nie dostaną nowych ciał.

Coś ostrego niczym brzytwa tnie moje ciało na części, których nigdy nie uda się złożyć na powrót. Kara i Locke, na zawsze nie tutaj albo umarli.

- Jak długo planujecie ich trzymać?

- Nie wiemy.

- Jak długo się da.

- Dopóki oskarżenia...

- W nieskończoność.

- Przynajmniej dopóki...

- Być może nadejdzie czas, kiedy będziemy mogli wykorzystać ich skany.

- W związku z wypadkiem. Coś z tego, co wiedzą, mogłoby pomóc. Musimy ich przechowywać tak długo, jak długo istnieje ryzyko...

- Świadkowie? - przerywam im. - Trzymacie ich jako świadków?

- Nie ich, Jenno. To tylko uploadowana informacja.

Czy tylko tym byłam? Przez wszystkie miesiące, kiedy moje myśli tkwiły ściśnięte w bezkształtnym świecie? Byłam tylko bitami informacji? A skoro tylko tym byłam wtedy, to czy teraz jestem czymś więcej? Dostałam jedynie lepsze opakowanie. Czy dziesięć procent oryginalnego mózgu naprawdę ma jakiegokolwiek znaczenie? Cały mój mózg został zeskanowany i uploadowany. Garść ludzkiej tkanki wydaje się raczej pamiątką zachowaną ze względów sentymentalnych. A może naprawdę przekazuje neurochipom informację o moim człowieczeństwie w tajemniczy sposób, którego nawet Ojciec nie rozumie?

Tylko uploadowana informacja. Kara i Locke na zawsze w mrocznym świecie. Czy zdołam z tym żyć?

- Coś z tego, co wiedzą, może mi też zaszkodzić - zauważam. Nikt nie komentuje. Wszyscy wiemy, że nigdy do tego nie dojdzie. Nic złego, co Kara i Locke mogliby mieć do powiedzenia o Jennie, nie dotrze do niczyich uszu. Są przechowywani tylko na wypadek, gdyby mogli mi pomóc. Sięgam, żeby dolać sobie wina, ale Lily mnie powstrzymuje.

- Dosyć wypić. Pewnie tak.

Patrzę na Matkę. Jej oczy śmigają od Ojca do mnie i z powrotem, trzepocą jak ryba złowiona na haczyk. Znowu uwięzione między dwoma światami.

- To dla ciebie, Jenno.

A więc zatoczyliśmy pełne koło. Jak zawsze.

- Każdy musi w końcu umrzeć - stwierdzam.

Ojciec sięga po butelkę z winem. Unosi ją nad świecę, żeby ocenić, ile zostało. Wlewa połowę do kieliszka Matki, połowę do swojego. Swobodnie upija łyk.

- Już nie - mówi.

## Zmagania

---

Nie śpię.

Trzymam się kurczowo łóżka. Kopie zapasowe muszą zostać zniszczone. Moje palce wbijają się w prześcieradło. Chcę spać. Zapomnieć. Roztopić się w nocy. Ale...

Jeśli coś pójdzie źle? Mogę ich potrzebować. To tylko informacja.

Otchłań. Świat ze snu. Nic więcej.

I jeśli naprawdę się postaram, może uda mi się zapomnieć o ciemnym miejscu, gdzie oni -gdzie my jesteśmy.

## Punkt widzenia

---

Wyjątkowy dzień. Rae prowadzi lekcję. Po swojemu.

Jestem zmęczona. Ale niespokojna. To, że nie spałam, nie okazało się wystarczającym pretekstem do opuszczenia zajęć. Matka i Ojciec mają spaczony wyobrażenie o normalności. „Chciałaś chodzić. Pójdiesz. Dobrze ci to zrobi”.

Oglądamy transmisję sesji Kongresu w wiadomościach sieciowych. Jakiś senator przemawia. I przemawia. To najdłuższa obstrukcja parlamentarna w dziejach. Senator Harris bije rekord senatora Stroma Thurmonda ustanowiony w 1957 roku. Do dziś nikt nie był tak rozwlekły - ani zdeterminowany - jak on. Głędzi od dwudziestu pięciu godzin i trzydziestu dwóch minut, godzinę i czternaście minut dłużej, niż wynosił rekord Thurmonda. To z tej okazji Rae przejęła dowództwo. Z tej okazji przyłączyła się do nas nawet Mitch. Mitch powtarza skinienia i westchnienia Rae, więc nie ma wątpliwości. To jest historyczne wydarzenie.

Siedzę między Ethanem a Allys, skupiona na ich obecności po obu stronach. Przy jednym wdechu senatora chcę się nachylić do Ethana i szeptać mu do ucha, przy następnym spleść palce z palcami Allys, i w ogóle nie mam ochoty słuchać. Chcę określić swoje miejsce w światach tych dwojga, a nie wgłębiać się w definicje senatora na temat jego własnej pozycji. Czuję się przytłoczona - jakbym mogła rozpaść się na dwoje z pragnienia przyjaźni wobec jednej strony i miłości wobec drugiej. Oto definicje, które próbuję doprecyzować.

Dane siedzi za mną. Czuję, jak stuka w moje krzesło. Stuk. Stuk. Jestem tu. Jestem. Jestem wszystkim. Patrzcie. Senator głędzi. Rae promienieje. Roztacza blask. Historyczne. Patrzcie. Stuk. Stuk. Allys. Ethan. Uważam.

Mój świat jest zbyt skomplikowany. Ludzie. Polityka. Moje ja. Zasady, według których to funkcjonuje. I próby ich zrozumienia. Mam wrażenie, jakby to była fuga, a moje pijane palce zaplątały się, próbując ją odegrać. Graj, Jenno. Słuchaj. Senator się błyszczy. Większą uwagę zwracam na krople jego potu i chustkę niż na słowa. Teraz, drodzy obywatele. Teraz. Zanim będzie za późno. Przyglądam się Allys uważniej niż senatorowi. Siedzi pochylona na krześle. Kiwa głową. Tak. Obracam głowę w prawo. Do Ethana. Zerka ukradkiem. Nie. Nie.

Dane stuka.

Stuka.

Czy ona mnie lubi? Czy lubiłaby mnie, gdyby wiedziała?

Senator ociera czoło. „Na miłość boską! - wykrzykuje. - Czy ośmielimy się podążać tą ścieżką? Drodzy ustawodawcy... Szanowni senatorowie... Czy naprawdę nam wolno wykorzystać tę szansę?”.

Nabiera tchu. Westchnienie. Kropka.

Rozlega się ryk. Oklaski. Tylko parę kłaśnieć ze strony senatorów, którzy wciąż pozostali obecni i nie zasnęli. Ryk dobiega od Allys. Nie jestem nawet pewna, z jakiego powodu hałasuje, bo przez ostatnią godzinę absorbowала mnie potrzeba odmienna od potrzeb Rae, Allys czy senatora, zmagalam się z nią sama i nie ma nikogo, kto by ją rozumiał. Bycie pierwszą wcale nie wydaje się takie znów przełomowe.

- Wspaniale!

- Historyczne!

- Nudne - to ostatnie, jak łatwo zgadnąć, od Dana.

- Dwadzieścia pięć godzin, czterdzieści sześć minut!

Powinam była uważać. Kiedy ktoś przemawia ponad dwadzieścia pięć godzin, musi chodzić o coś ważnego. O coś, co ma znaczenie. Dla Allys ma.

- Czy to coś zmieni? - zwraca się do Rae.

- Oczywiście - odpowiada Rae. - Może nie w taki sposób, jak się spodziewamy. Ale nie pójdzie w zapomnienie. Każdy głos pozostawia ślad.

- Szczególnie jeśli przemawiał tak długo - dodaje Mitch.

- Ale jak zagłosują? - dopytuje się Allys.

- Musimy poczekać i się przekonać - wyjaśnia Rae.

- Zagłosują w jakiej sprawie? - pytam.

Allys marszczy brwi. Nie uważałam i czuje się dotknięta, że coś, co dla niej jest takie ważne, mnie zupełnie nie obchodzi. Próbuję jej to wynagrodzić, skupiając się na wyjaśnieniach Rae.

- Kongresowi przedstawiono projekt ustawy - tłumaczy Rae. - Harris próbował przekonać pozostałych senatorów, by zagłosowali przeciwko. Liczył, że przemawiając tak długo, da szansę opozycji na zebranie silniejszych argumentów, przekonanie innych do swojego punktu widzenia.

- O jaki projekt chodzi? — pytam.

Ethan kładzie głowę na biurku i zamyka oczy, kiedy Rae wyjaśnia.

- Projekt Ustawy o dostępie do świadczeń medycznych, która wszelkie decyzje i rozstrzygnięcia przekazuje z powrotem w ręce lekarza i pacjenta. To całkowicie wykluczy z tego procesu FREN.

- I on uważa, że to źle?

- Nie słuchałaś, Jenno? Oczywiście, że to źle! - Allys nie próbuje ukryć rozczarowania moją osobą. - Gdyby FREN istniała pięćdziesiąt lat temu, może nie byłabym skazana na to żelastwo. Moje palce przypominałyby w dotyku prawdziwe palce, a nie mrożone parówki! I nie chodzi tylko o mnie. Pomyśl o epidemii gronkowca i milionach ludzi, którzy może by żyli. A teraz Kongres próbuje ograniczyć władzę FREN. Lada chwila zażądają, żeby się wycofała z laboratoriów badawczych! Niech nas Bóg ma w opiece, jeśli do tego dojdzie!

- Ale - wtrąca Mitch - kontrargument brzmi, że FREN to zbiurokratyzowana finansowa studnia bez dna i często hamuje procedury ratujące życie.

- Stoją za tym firmy technologiczne i farmaceutyczne - ciągnie dalej Allys, ignorując uwagę Mitch. - Lobbowały jak szalone. Te największe, jak Scribtech, MedWay i szczególnie Fox BioSystems... - Pstryk. Allys waha się przez ułamek sekundy, zerka na mnie przelotnie, po czym kończy zdanie. Trwa to może milisekundę; nikt nic nie zauważa. - ..wpomponowały miliardy w to, żeby projekt przeszedł.

Po tym ostatnim zdaniu siada. Raptownie ucina dyskusję. Rae prowadzi lekcję dalej, próbuje nas zachęcać do dzielenia się opiniami, lecz nagle tracimy zapal.

Mitch wychodzi. Rae wyłącza sieć i mówi, że będziemy kontynuować po przerwie obiadowej. Może się ożywimy, kiedy coś zjemy.

Idziemy do supermarketu po drugiej stronie ulicy i siadamy przy tym co zawsze stoliku w rogu. Zauważam, że twarz Allys, pokryta warstewką potu, jest żółtawoblada, podczas gdy jej ręce zachowują piękną, zdrową barwę protetycznej opalenizny. Kiedy połyka tabletki, widać niemal, jak przesuwają się przelykiem. Wypija kolejny łyk wody, żeby je splukać, potem jeszcze jeden. Patrzy na mnie. Odpowiadam spojrzeniem. Skubie jedzenie, potem je odsuwa. Ethan wodzi wzrokiem od niej do mnie, nerwowo podrzuca nogą, aż trzęsie się stół.

- Jesteś Jenna Fox, prawda? - pyta w końcu Allys.

- Genialne - Ethan o wiele za szybko wpada jej w słowo. - Jak udało ci się zgadnąć? Może dlatego, że ci powiedziała pierwszego dnia, kiedy się przedstawiła?

- Dam sobie radę sama, Ethan — mówię. Przystaje poruszać kolanem i głęboko, błagalnie wzdycha.

Allys kręci głową.

- Wszystkie elementy się ułożyły. Większość ludzi nie przywiązuje wagi do takich wiadomości, ale odkąd pracuję w zespole etycznym, ciągle je słyszę. Zapamiętałam coś o córce - wyjaśnia. - Powinłam się domyślić, kiedy wspomniałaś, że miałaś wypadek. Jesteś córką Matthew Foksa.

- Czy to znaczy, że uważasz mnie za wroga? - pytam.

- Nie...

- Ale?

Ethan leciutko kręci głową.

- Jenna - szepcze.

- Mówili, że jego córka miała wypadek. Taki, którego zdaniem większości specjalistów nie powinna przeżyć.

- Przynajmniej przy systemie punktów obowiązującym obecnie dzięki FREN, tak?

- Właśnie.

- Cóż, więc może jednak nią nie jestem. Jenna Fox to popularne nazwisko.



- Może nie - przytakuje. — Bo gdybyś była, to by znaczyło, że... - Nie kończy, celowo zostawia lukę, żebyśmy w nią wpadli. Ja to zauważam. Ethan nie.

- Że co? - wybucha. - Że musiałabyś polecieć z donosem do swojego szwadronu biurokratów z FREN?

Allys odchyła się na krześle. Patrzy uważnie na mnie, potem na Ethana. Zdejmuje protetyczne ramię i rozciera kikut. Jest czerwony, pokryty szramami, brzydki.

- Przeceniasz mnie, Ethan. Ja nie mogę nigdzie polecieć. Mogę tylko pokażać. To chyba oczywiste.

Z powrotem zakłada protezę, krzywiąc się od nagłego uszczyknięcia pola magnetycznego, utrzymującego protezę na miejscu. Kolejno porusza sztucznymi palcami.

- Chyba zaczynam zapominać. Jakie to było uczucie. Przeraza mnie, czego może dokonać nauka. - Odsuwa kanapkę. - Zdaje się, że razem z palcami straciłam apetyt. - Wstaje. Ani Ethan, ani ja jej nie zatrzymujemy, więc odchodzi.

Unoszę dłoń i patrzę na jej zarys na tle oświetlonego słońcem okna. Poruszam palcami tak samo jak przed chwilą Allys. Po kolei. Opakowanie.

## Może

---

- Doniesie.

Ethan przytula mnie mocno. Stoimy na tyłach supermarketu, po kolana w wysokiej trawie, wciśnięci między zapomniane stoły piknikowe i kubły na śmieci. Kiedy zaczęłam płakać, pociągnął mnie na zewnątrz, pozostawiając za sobą obiad oraz ciekawskie spojrzenia innych klientów.

Czuję dotyk jego dłoni gładzących mnie po plecach, potem obejmujących mnie w pasie, jego oddech i zapach, ciepło mojego języka na jego języku, drgnienie w moim wnętrzu, sprawiające, że wsuwam język głębiej. Czy czułam coś podobnego już wcześniej? Czy dbam o to? Całujemy się rozpaczliwie.

Znowu zaczynam szlochać. Dziko. Jak zwierzę. Ethan tuli mnie mocniej, jakby mógł odepchnąć moje demony. Odsuwam się.

- Czemu cię to obchodzi, Ethan? Nie znasz mnie. Wypuszcza mnie z ramion. Zamyka oczy i kręci

głową.

- Ethan - szepczę.

- Nie wiem, Jenna. — Oczy ma znowu szeroko otwarte. Szkliste. - Ja... czuję coś. Za każdym razem, kiedy na ciebie patrzę. Nie prosź, żebym to wyjaśnił do końca. Czy wszystko musi mieć zgrabne wytłumaczenie?

- Nie jestem jak inne dziewczyny.

- Wiem.

- Ethan. - Ujmuję jego twarz w dłonie. - Nie wiesz. Jestem więcej niż inna. Jestem...

- Może to właśnie widzę, kiedy na ciebie patrzę. Kogoś, kto nigdy już nie będzie pasował tak jak dawniej. Kogoś jak ja. Kogoś z przeszłością, która na zawsze zmieniła przyszłość.

- Albo może po prostu widzisz we mnie drugą szansę. Nie zdołałeś uratować swojego brata, ale może uda ci się ocalić Jennę. Sprawiedliwość. To jej szukasz?

Odchodzi o krok i kopie obłuzowaną nogę piknikowego stołu, który przechyliła się na bok. Potem Ethan zwraca się do mnie gwałtownie.

- A może jestem masochistą i lubię cholernie wkurzające baby! Przestań mi urządzać analizę, Jenna. Jestem, jaki jestem.

I ja jestem, jaka jestem. Tylko potrzebuję definicji, co to znaczy.

Jenna rzecz. 1. Tchórz. 2. Być może istota ludzka. 3- Być może nie. 4. Zdecydowanie nielegalna.

- Nie kłóćmy się. - Ethan podchodzi i kładzie mi ręce na ramionach. - Cemu się rozplakałaś w supermarkecie? Boisz się? Pogadamy z Allys. Przekonamy, żeby zmieniła zdanie.

- Nie boję się, Ethan.

A przynajmniej nie boję się Allys. Boję się swoich myśli, swoich uczuć. Widoku swoich palców na tle oświetlonego okna i towarzyszącej temu szokującej ulgi, kiedy powinnam czuć wstyd. Boję się tego, że czuję się szalenie żywa i wdzięczna; że czuję się jak Niezwykłe, Uprzywilejowane Cudowne Dziecko Jenna Fox, gdy tymczasem w garderobie stoją skrzynki z uwięzionymi umysłami, które nigdy więcej nie zobaczą palców ani słońca, a ja za bardzo boję się je uwolnić, bo mogłabym ich potrzebować. Boję się setek rzeczy, nie wyłączając

ciebie, Ethan, bo cały świat mówi, że to nie w porządku, ale mimo to ja tego pragnę.

I boję się, że staję się czymś, czym dawna Jenna Fox nigdy nie była, i że może dziesięć procent to jednak za mało. Boję się Dane'a i boję się, że to coś, czego mu brakuje - zdaniem wszystkich wokół - to ta sama rzecz, której Ojciec nie umieścił w moim ciele, i że senator Harris ma całkowitą rację, a Ojciec całkowicie się myli. Boję się, że nigdy już nie będę miała przyjaciół jak Kara i Locke, i to z własnej winy. Boję się, że te pytania będą mnie dręczyć przez resztę moich dwóch czy też dwustu lat i nigdy nie będę pasować.

I boję się, że Claire i Matthew Foksowie odkryją, że nowa, ulepszona Jenna wcale nie potrafi im wynagrodzić trojga dzieci, że nigdy nie potrafiła i że ryzykowali wszystko na darmo. Bo w rezultacie wcale nie jestem niezwykła. Właśnie takich rzeczy się boję.

Ale nie boję się Allys.

- Powiedziała, że mnie lubi — mówię do Ethana. - Nie doniesie.

- Widziałem jej oczy.

Obracam się i kładę mu głowę na piersi. Słucham bicia jego serca. Prawdziwego serca.

- Musimy z nią porozmawiać. Szybko - mówi.

# Poślizg

---

Następnego dnia Allys nie ma w szkole. Kolejnego też nie. Powinnam się niepokoić?

Nasłuchuję dźwięków. Pukania do drzwi. Kroków.

Syren zbliżających się do mojej kryjówki.

Kiedy Matka i Ojciec wychodzą, a Lily idzie do szklarni, słucham; czekam, kiedy panująca w domu cisza rozsypie się w pył.

Czekam na skrzypnięcia schodów i zastanawiam się, jak by to było znowu zostać uwięzioną. A potem, kiedy cisza trwa nieprzerwanie i zaczynam wierzyć, że pozostanie na dobre; gdy otwierają się małe drzwi i próbuję się przez nie przecisnąć do miejsca zwanego normalnością, ciszę znowu coś maści.

Nie kroki. Głos.

„Pośpiesz się, Jenna”.

Jest wyraźny i czysty. To nie głos z mojej przeszłości. Nie głos ze snu. Głos z teraźniejszości.

Nie ma kluczyków wirujących w powietrzu. Wyrazistych migawek nocy, która wciąż mi umyka, choć odmieniła mnie na zawsze. Wspomnienia słów wypowiedzianych w pośpiechu. Tylko bliskie słowa, które jakimś sposobem wpełzają pod skórę na mojej głowie, aż wydaje mi się, że oszalałam.

„Potrzebujemy cię. Teraz”.

# Dopasowanie

---

Brnę przez zagajnik eukaliptusowy, depcząc poskręcane kawałki kory i gałęzi, nasłuchując trzasków, chrzęstu; dźwięków, nad którymi mam kontrolę. Kopię w materacu z liści, rozrzucając miesiące i lata rozkładu, płosząc żuki rozbiegające się w poszukiwaniu schronienia. Głosy milczą. Zwalniam. Czy to przemawiają wyrzuty sumienia? A może Ojciec nie wiedział dokładnie, do czego może doprowadzić jego majstrowanie? Słyszę szmer strumyka u stóp pochyłości i niedaleki szelest czegoś jeszcze. Ptaków?

Las jest obcy, sprowadzony, jak wyjaśniła Lily. Na przełomie ostatniego stulecia ktoś wymyślił, że zbije fortunę, uprawiając eukaliptusy na podkłady kolejowe. Jak się okazało, po wyschnięciu drewno stawało się zbyt twarde, by dało się pilować, i zagajniki porzucono. Rozrastały się same, niekiedy wypierając miejscowe gatunki roślin. Lily się to nie podoba. „Oryginalny”, „miejscowy”, „czysty” - oto słowa, które mają znaczenie dla Lily. I dla Allys.

Patrzę na drzewa, które tu nie należą, sprowadzone nie ze swojej winy. Ich kora jest miękka jak aksamit, cętkowana i kremowa, pachnie cierpko. Liście, gładkie płaty srebrzystej zieleni, tworzą na dnie lasu gruby, koronkowy dywan. Piękne, lecz niemile widziane. Cóż takiego piękniejszego lub ważniejszego wyparły?

Wyciągam rękę, stojąc między dwoma pniami, przyciskam do nich dłonie, wolno wciągam powietrze i zamykam oczy, szukam czegoś poza ich korą i gałęziami, poza drugorzędnym statusem wśród tutejszych wzgórz, szukam czegoś na kształt duszy.

Trzask!

Chrzęst!

Otwieram gwałtownie oczy. Ból chwyta mnie za nadgarstek.

- Dane! - Próbuję się wyrwać, ale chłopak trzyma mocno; ściska silniej i wpatruje się w moją twarz w poszukiwaniu reakcji.

- Puść - mówię.

Jego twarz nie jest już pusta, lecz promienieje czymś innym. Ten jedyny raz widzę, że oczy ma jasne i skupione, jakby go ktoś podłączył do kontaktu. Nie uśmiecha się.

- Chodźmy na spacer - mówi.

- Nigdzie z tobą nie pójdę, Dane.

- Czemu? Wolisz niebezpiecznych chłopaków, takich jak Ethan? Też potrafię być niebezpieczny. - Przyciąga mnie bliżej, oddycha z wysiłkiem.

Czuję jego palce wpijające mi się w skórę; niebieskie oczy o skurczonych źrenicach niczym kłujące ostrza szpilek, jak u zwierzęcia, pulsujące adrenaliną, łaknące jedynie zniszczenia; puste, bez siebie i innych. Dane, w pełni z ciała i krwi, lecz w stu procentach złożony z nicości.

- Nawet w połowie nie tak niebezpieczny jak ja. Idę sobie. - Próbuję się wyrwać.

- Powiedziałem, idziemy na spacer - odpowiada, szarpnięciem przyciągając mnie bliżej.

- Nie - mówię i wyrzucam wolną rękę w kierunku jego krocza. Trafiam idealnie i ściskam równie mocno, jak on. Otwiera szerzej oczy. Zaciska palce na mo-

im nadgarstku. Ja też ściskam mocniej. Powieki mu trzepoczą, twarz czerwienieje.

- Może i chodzę dziwnie, Dane, ale zdaniem Ethana jestem wytrzymała jak koń. Mogę tak stać cały dzień. A ty?

Poddejmuje ostatni wysiłek, próbuje wykręcić mi rękę. Moje ramię przeszywa ból. W odpowiedzi zaciskam dłoń ponad jego wytrzymałość. Krzyczy głośno i puszcza. Odpycham go, aż pada na kolana, jęcząc. Czuję, że prócz obrzydzenia przenika mnie coś nieoczekiwanego - wdzięczność. Pokazał mi, jak pusty może być stuprocentowy człowiek. Procenty bywają zwodnicze.

Jego twarz drży, patrzące na mnie z dołu oczy są surowe i chłodne. Ciagle jeszcze stara się złapać oddech i wiem, że mam tylko kilka sekund, nim zaatakuję znowu.

- Jenna, tu jesteś! Dokończymy spacer?

Pan Bender nadchodzi przez las, ostentacyjnie machając kijem golfowym - bardziej, niż to potrzebne, kiedy się idzie pod górę.

- Tak - odpowiadam i pozostawiam Dane'owi szansę uświadomienia sobie, o ile boleśniejszy od dłoni zaciśniętej na kroczu byłby cios kija golfowego w czaszkę.

Schodzimy z panem Benderem z pochyłości, a potem przekraczamy strumień w miejscu, w którym zwalony pień służy za mostek.

- Byłem w ogrodzie i zobaczyłem, że idziesz do lasu - mówi. - Kiedy chwilę później zauważyłem Dana podążającego za tobą, chwyciłem kij.

- Dziękuję. Mam nadzieję, że dzięki pańskiemu kijowi i moim wysiłkom ruszył już w drogę powrotną.



Wychodzimy z lasu i wspinamy się ścieżką prowadzącą do jego domu.

- Powinniśmy wezwać policję? Waham się.

- Nie. To nie byłby dobry pomysł ze względu na nas oboje. Na przyszłość będę ostrożniejsza.

- Nie powinnaś sama chodzić do lasu. Nie tylko z powodu tego zbira. Czasem w okolicę zapuszczają się pумы.

Przystaję i zwracam się twarzą do niego.

- Doprawdy, panie Bender... a może powinnam pana nazywać Edwardem...? Oboje wiemy, że można mnie wymienić równie łatwo jak uszkodzonego netbooka. Kopie zapasowe są pod tym względem bardzo praktyczne.

Wygląda na niemal równie zaskoczonego, jak Dane parę minut wcześniej.

- Jak się domyśliłaś?

- Tego o kopiach czy o panu?

- O jednym i drugim.

- Mam pięćset miliardów neurochipów, proszę pana. To nie było trudne. Zresztą Ojciec pewnie już panu o wszystkim opowiedział.

Pan Bender kiwa głową ze wzrokiem wbitym w ziemię. Nie powinien się wstydzić. Był przyjacielem Ojca, zanim został moim. Ruszam dalej.

- Kiedy ma się pięciokrotnie większą pojemność mózgu, jest pewnie tylko kwestią czasu, zanim się zacznie z niej korzystać. - Szczegóły utrwalone w pamięci dwuletniej Jenny wypłynęły na powierzchnię wkrótce po tym, jak zobaczyłam stary, zniszczony akwamarynowy wóz w garażu pana Bendera. — A potem przypomniałam sobie stare zdjęcie, które wisiało w naszym bostońskim

domu, kiedy byłam małą. Przedstawiało Ojca przy jego pierwszym samochodzie. Tym w kolorze akwamaryny, który potem podarował panu.

Drobne okruchy; wspomnienia, których nikt by się nie spodziewał po dwuletnim dziecku, lecz moja pamięć nie rozróżnia - dwa dni, dwa lata czy dziesięć, wszystko ma taką samą wagę i wyrazistość.

- Ja tylko znalazłem dom. Byłem mu to winien - tłumaczy pan Bender. - Nie wiem tak wiele, jak chyba podejrzewasz. Twój ojciec zdradził mi bardzo mało.

- Pewnie chciał pana oszczędzić. Im mniej się wie, tym mniejsza wina, prawda?

Nie odpowiada.

- A więc utrzymywaliście kontakt przez te wszystkie lata?

- Początkowo nie, ale po kilku latach poczułem taką potrzebę. Potrzebowałem kogoś, kto znał mnie wcześniej. Po to, żeby reszta mojego życia nie okazała się bezwartościowa. Porzucenie własnej tożsamości jest boleśniesz, niż sądzi większość ludzi. W gruncie rzeczy zostaje się wymazanym. To brzmi niedorzecznie, wiem, ale kiedy się wreszcie skontaktowałem z twoim ojcem, wysłuchał mnie i zrozumiał. Zawsze mogłem na niego liczyć, czy chodziło o samochód, który mi dał, kiedy musiałem wyjechać, czy o wysłuchanie, kiedy chciałem porozmawiać.

- Często rozmawiacie?

- Raz na rok albo coś koło tego. Nieczęsto. A i wtedy musimy uważać. Zadzwoił po twoim wypadku.

Szalał z rozpaczy. Potem jeszcze raz, kilka dni później. W większości bredził bez składu. Myślał na głos. Z początku sądziłem, że jest pijany. W gruncie rzeczy mówił bardziej do siebie niż do mnie, ale chyba potrzebował, żebym go wysłuchał. Powiedział, że cię straci, jeśli nie zrobi czegoś... radykalnego. Nie wyjaśnił czego. Po prostu odłożył słuchawkę i nie miałem od niego wiadomości, aż zadzwonił, że potrzebuje domu na uboczu.

- Taka więc była pańska rola. Pośrednik w handlu nieruchomościami na odległość. - Lekkie przechylenie głowy i niepewne skinienie przypominają mi, co mówiła Lily. - Och, i stanowił pan także drugą połowę zespołu do zgarniania.

- Zgarniania?

- Zmycia się z Dodge. Uśmiecha się.

- Fakt. Stanowią element planu ewakuacji. Twój ojciec powiedział, że wolałby trzymać cię tutaj, bo tu łatwiej mu uzyskać pomoc medyczną, na wypadek gdyby coś poszło źle, ale jeśli władze coś by odkryły, babka ma cię przyprowadzić do mojego domu. Stąd zabiorę was obie na pobliskie lądowisko. Potem tylko krótki lot przez granicę do Meksyku na kolejne lądowisko. A stamtąd poleciałabyś do Włoch. Włochy mają bardziej liberalne prawa dotyczące transplantów.

- A co z uploadami mózgu? Włosi nie potrafią liczyć?

Milczy.

- Żeby uprościć sprawę i oszczędzić pański czas, rodzice mogliby po prostu wysłać moją kopię zapasową pocztą. W paczce dotarłabym pewnie do Włoch znacznie taniej i bez komplikacji. Albo, jeśli naprawdę chcą zaszaleć, mogą mnie nadać jako przesyłkę lotniczą. Albo mogliby...

Narastające wzburzenie w moim głosie sprawia, że przerywam tyradę.

- Chodź - mówi pan Bender. - Usiądźmy i porozmawiajmy chwilę.

Kiwam głową i wspinam się za nim po zboczu, potem zaś siadamy na krzesłach na tylnym ganku z widokiem na staw i mój własny dom po drugiej stronie.

- Co jest nie tak z Daneem, proszę pana? - pytam. - Moja przyjaciółka Allys mówi, że czegoś mu brakuje.

- Nie wiem dokładnie, Jenno, ale sądzę, że twoja przyjaciółka może mieć rację. Wiem jednak na pewno, że ten chłopak oznacza kłopoty.

- Przynajmniej jest legalny.

Pan Bender przysuwa krzesło bliżej i nachyla się do mnie.

- Posłuchaj, Jenno. Istnieją różne rodzaje prawa. Niektóre są zapisane w kodeksach, a inne tutaj. — Stuka się w pierś. - Dane może i jest legalny na papierze, ale nie wedle tego, co jest zapisane tu w środku.

Ale jakim sposobem to prawo się tam znalazło?

Patrę na niego, jego dłoń wciąż leżącą na piersi. Jak ta „legalność” dostaje się do wnętrza? Czy chirurg może ją wszyć starannym ścięciem?

- Co pan widzi, kiedy pan na mnie patrzy? Obserwuję jego oczy, gdy przygląda się mojej skórze,

twarzy, oczom. Widzę, jak analizuje każde poruszenie, mrugnięcie. Widzę każdy jego fałszywy krok, każde rozważane kłamstwo, każdy powrót do prawdy. To granica, którą często przekracza, a niekiedy kłamstwo i prawda stapiają się w coś jeszcze innego. Przesuwa językiem po wargach. Mruga.

Prawda. Kłamstwo. Prawda. Coś innego. Zmieszanie z powodu tego, kim jestem?

- Proszę - ponagliam.

- Kiedy na ciebie patrzę, Jenno, widzę wiele złożonych rzeczy. Tragiczną, nieoczekiwaną zmianę, drugą szansę, nadzieję...

Wstaje.

- Nadzieję na co, proszę pana? Na życie, w którym nigdy nie będę tym, kim dawniej, i w którym nie mogłabym nawet być tym, kim jestem teraz, gdybym się nie ukrywała? To wszystko jest zbyt trudne.

- Jenno. - Wstaje i ujmuję mnie za ramiona. -Współczuję ci z powodu tego, co przechodzisz. Wiem, że to niełatwe. Wierz mi, nikt nie rozumie równie dobrze, jak ja, co to znaczy zaczynać od nowa. Myślę, że dlatego od początku chciałem ci pomóc, może nawet wtedy, kiedy nie powinienem. Gdy na ciebie spojrzałem, zobaczyłem przerażonego nastolatka, jakim byłem dawno temu.

Puszcza mnie, ale nadal patrzę mu w twarz. Pan Bender jest w wieku mojego ojca, lecz dostrzegam w nim coś równie młodego, jak we mnie. Czy pewne wydarzenia pozostawiają trwały ślad, zamrażają część nas w czasie, tak że staję się ona kamieniem probierczym, według którego oceniamy resztę swojego życia?

Czuje, jak moje pięści się rozluźniają, a stawy odprężają.

- Chyba miałam szczęście, że został pan moim pierwszym przyjacielem.

- Pierwszym?

- Właśnie tak. Pierwszym przyjacielem Jenny PK. Unosi brwi.

- Po Katastrofie.

Wybuchają śmiechem, śmiechem dziwnego pana Bendera, a potem proponuje przechadzkę po ogrodzie.

Docieramy do kolistej polany, gdzie karmi ptaki.

- Proszę - mówi, zdejmując marynarkę. - Od trzydziestu lat pożyczam tożsamość Clayтона Bendera. Pozwól, że podzielę się nią z tobą na parę minut. - Zarzuca mi marynarkę na ramiona, a potem ujmuje moją dłoń i pociera nią o własną. — Okazuje się, że ptaki mają lepszy węch, niż sądzi większość ludzi.

Siadamy na ławce z bali, pan Bender sypie mi na dłoń ziarno i chociaż trwa to jedynie mgnienie, ląduje na niej wróbel, a potem odlatuje z pełnym dziobem.

- Widzisz? Przywykły do ciebie. Następnym razem nie będziesz mnie potrzebować.

Uznaję, że niekiedy definicje kłamią. Nawet jeśli zostały zapisane w słowniku. Tożsamości nie zawsze są odrębne i odróżniające się. Bywają jednak splątane z innymi. Czasem, przez parę minut, można je nawet dzielić z kimś drugim. I zastanawiam się, czy - jeśli kiedyś będę miała szczęście wrócić do ogrodu pana Bendera - ptaki dostrzegą ten okruch jego tożsamości, który splątał się z moją.

# Nasłuchiwanie

---

*Cisza ciemność nicość proszę*

*pozwól nam odejść Pomóż nam,*

*Jenna.*

*Potrzebujemy cie.*

*Pośpiesz się, Jenna.*

*Potrzebujemy cie.*

Krzyki. Słyszę krzyki. Moje własne. Ich. Nikt jednak nie słyszy. Tak tu ciemno, że nikt nie słyszy. Prócz mnie.

- Pomocy! Proszę! Niech nam ktoś pomoże!

- Jenno! Obudź się!

Ojciec mnie obejmuje. Matka siedzi w nogach łóżka. Znowu znajduję się w miejscu, w którym istnieje światło i dotyk.

- Coś ci się przyśniło - mówi Ojciec, tuląc mnie mocniej.

- Nie - odpowiadam. - Ja... - Niemożliwe. Twarz ojca jest pobrużdżona, zmęczona. Strach. Matka siedzi przycupnięta, wyczekująca, z włosami rozczochranymi jak wronie gniazdo.

- Co, Jenno?

- Słuchałam.

- Czego, skarbie? Czego? - pyta Matka.

- Kary i Locke'a. Wołają mnie. Słyszę ich głosy. Ojciec odgarnia mi włosy z twarzy i dotyka policzka.

- To niemożliwe, aniolku. Śniło ci się tylko. Ot co. Nie spieram się. Nic by to nie dało. Ale nie wyśniłam

sobie tych głosów. Słyszałam je. Bliskie i teraźniejsze. Jakoś... jakimś sposobem mnie odnaleźli. Potrzebują mnie.

Ale ja też ich potrzebuję.

W rozbłysku między ciemnością a światłem, marzeniem a rzeczywistością, przekraczam granicę. Przypominam sobie wypadek.

## Wypadek

---

Każdy szczegół. Ostro, jak szponem.

To nie był biożel, szukające się nawzajem neurochipy ani żaden niedostatek mojego nowego ja. To byłam ja od samego początku. Zrozpaczona. Wstrzą-



śnięta. Wypierająca to, co się stało. Teraz jednak Kara i Locke zmuszają mnie, żebym sobie przypomniała.

Siedzę w ciemności, wąska smuga światła z korytarza przecina łóżko. Słucham cichego szmeru powietrza wpływającego do mojej piersi i wypływającego z niej. Oddech. Nowy sposób oddychania. Z powodu tamtej nocy.

Kluczyki wirujące w powietrzu.

Moje wyciągnięte palce.

Rzucalam kluczyki. A nie chwytalam.

- Nie mogę prowadzić, Locke - powiedziałam.

- Tylko ty masz wóz - jęknął.

- Jeśli nie poprowadzisz, nie pojedziemy wcale - dodała Kara. - Potrzebujemy cię!

- Nie będę prowadzić bez prawa jazdy. Poza tym wóz nie został nawet zaprogramowany na moje komendy głosowe. I tak nie udałoby mi się zapalić.

- Kara mogłaby prowadzić — zauważa Locke. -A zapalenie to nie problem. Da się to obejść. Gdzieś tu musisz mieć kod albo kluczyki.

Szuflada w kuchni. Gdzie Claire trzyma zapasowe klucze.

Mogłam udać, że nie wiem, gdzie są. Mogłam odwrócić ich uwagę.

Ale tego nie zrobiłam. Otwarłam szufladę i je wyjęłam.

- Tak! - woła Locke i wrywa mi kluczyki z dłoni. Rzuca je Karze. Czekają na moją reakcję. Waham się. Zastanawiam. Namysłam. Ale niedługo. Kiwam głową.

Więc pojechaliśmy. Kara prowadziła. Dałam jej kluczyki.

Pozwoliłam jej prowadzić wóz, którym nawet mnie jeszcze nie było wolno jeździć.

Matki i Ojca tego wieczoru nie było w domu. Może dążyłam do upadku; do tego, czego najbardziej się bałam. Prowokowałam, badałam grunt; niepewna, czego pragnę, prócz jednego: że nie chcę być tym wszystkim, czym - jak wiedziałam - nie byłam.

To była impreza. Głupia. Nudziliśmy się. Nikt nas nie zapraszał. Nikt nas nie znał. My nie znaleźliśmy nikogo. Wielki tłum. Nieznajomi pili i palili w ciasnych grupkach, nie zwracając na nas uwagi. Wejście bez zaproszenia na cudzą imprezę kręciło nas może przez pięć minut. Już mieliśmy wychodzić. Ale wtedy zdarzyło się niespodziewane. Wybuchła bójka. Nie wiedzieliśmy, czego się spodziewać. Byliśmy z dala od swojego terytorium, na nieznanym terenie. Wystraszyliśmy się i wybiegliśmy. Kluczyki miałam w torebce. Locke i ja staliśmy z jednej strony wozu. Kara z drugiej. „Pośpiesz się, Jenna! Pośpiesz się!”. Było ciemno. Rozpaczliwie grzebałam w czarnej otchłani torebki w poszukiwaniu kluczyków. Kiedy znalazłam, rzuciłam je Karze; wyprężyłam palce, starając się dobrze wycelować.

Słyszać było wycie. Krzyki. Znaleźliśmy się poza swoim żywiołem. Spanikowaliśmy. Grzeczne dzieci udające buntowników. Inne wozy odjeżdżały z piśkiem opon.

- Ruszaj, Kara! - zawołał Locke z tylnego siedzenia. Ruszyła.

Kiedy znalazła się na autostradzie, fala płynącej nam w żyłach adrenaliny opadła i miejsce strachu zajął śmiech. Nie zauważyłam, że Kara wciąż mocno naciska stopą pedał gazu. Żadne z nas nie zauważyło. Zakręt pojawił się zbyt szybko. Zahamowała, ale za późno. Wóz zarzucił, wpadł na zwirowane pobocze. Rozbrzmiały spóźnione ostrzeżenia.

- Skreć!

- Kara!

- Stój!

Płakała i krzyczała, rozpaczliwie kręcąc kierownicą. Rzucalo nami we wszystkie strony; uciekając w pośpiechu, nie zawracaliśmy sobie głowy zapinaniem pasów.

Samochód podskoczył, potem przetoczył się na dach, kiedy pobocze zmieniło się w urwisko - rozmazany, poszarpany koszmar, przesywające nas dźwięki i strugi światła. Krzyczałam, frunęłam. Koziółkowałam. Okruchy szkła smagały jak tysiące noży, świat nie miał góry ani dołu. Strach był tak wszechogarniający, że nasze krzyki i ruch zlały się w jedno. Oślepiający, biały żar i blask. Swobodny lot i mdlące uderzenie czaszką o ziemię. A może to Karę usłyszałam, lądującą tuż obok? Nagły kontrast; dźwięki ciche jak brzęk kryształu. Spadające krople. Syk. Przeciągły trzask. I stłumione jęki, które jakby unosiły się w powietrzu nad mną. A potem już tylko ciemność.

Nigdy więcej nie widziałam Kary ani Locke'a.

Słyszałam ich. Przez parę sekund słyszałam ich oddechy, westchnienia, krzyki. Słyszałam ich. Jak teraz.

I przez te wszystkie miesiące, w ciemnym miejscu, w którym czekałam, by się odrodzić, nie wiedząc, czy kiedyś jeszcze zobaczę światło, pośród własnych bezgłośnych krzyków i błagań, słyszałam te dźwięki wciąż na nowo: upiorne odgłosy umierania moich przyjaciół.

# Instynkt samozachowawczy

---

Są moimi świadkami. Tylko oni wiedzą, że to nie ja prowadziłam.

Pewnego dnia, kiedyś, ktoś po mnie przyjdzie, będę miała Karę i Locke'a, żeby mi pomogli. By mnie ocalili.

Mogę ich zatrzymać. Uprzywilejowana Jenna.

Jak strasznie byłoby już zawsze tkwić w skrzynce?

## Ostatni dysk

---

Rznięte szkło szybek w szafce w salonie rozszczepia moje odbicie na dziesiątki zniekształconych fragmentów. Przyglądam się im - pożyczonym błękitom, czerwieniom i fioletem przemieszanych z połyskującym ciałem. Szukam błysku, różnicy. Ale nie znajduję niczego, co by świadczyło, że różnię się od Dana.

Kopie mnie i moich przyjaciół tkwią uwięzione w miejscu, w którym nigdy nie chciałabym się znaleźć. A ja im nie pomogę. Błękity. Czerwienie. Fiolety. Ciało. Fragmenty. Niemal ludzkie. Tak samo wyglądałoby odbicie Dana.

Odwracam się od szafki i podchodzę do komody zajmującej większą część jednej ściany. Przetrzęsłam szufladę, szukając *Jenny Fox/Roku siódmego*; roku, w którym mogę oglądać dziewczynkę będącą wciąż jeszcze dzieckiem, nic niewiedzącą o oczekiwaniach. Roku, w którym znaczenie miały jedynie niebieskie torty urodzinowe i niespodzianki. Roku siódmego, chyba ostatniego, zanim się dowiedziałam, że jestem kimś szczególnym.

Matka posprzątała w szufladzie i dysku nie ma tam, gdzie go zostawiłam. Przesuwam palcami po ułożonych płytach, szukając go, kiedy zauważam coś innego.

Kamerę. Leży w głębi w przeznaczonym na to miejscu, ale otwarta. Dysk częściowo się wysunął. Wyjmuję go i patrzę na nalepkę.

## ***JENNA FOX/ROK SZESNASTY - DYSK DRUGI***

Drży mi w palcach. To jest ostatni dysk. Naprawdę ostatni.

Ten, który kazała mi obejrzeć Lily.

Występ

Jenna płynie nad sceną. Ruchy ma precyzyjne. Jej ramiona wyginają się we wdzięczny łuk. Stopy na pointach, nogi wyprostowane, *arabesque*, Jenno...

.. *.chassé, jeté entralacé...*

.. *.plié... pas de bourrée, pirouette*, Jenno.

Każda pozycja pod idealnym kątem, w idealnym momencie. Staje na pointach, utrzymuje równowagę - wcielenie elegancji.

Ale jej twarz jest martwa. Występ angażuje wyłącznie jej ręce i nogi, mięśnie, nie dociera do serca.

Pamiętam tamten wieczór, dotyk baletek, wstążki opinające kostki, obcisły stanik kostiumu podkreślający moją doskonale wąską talię, pot zbierający się na karku. Pamiętam, zanim jeszcze zobaczę to powtórzone na dysku. Pamiętam, jak patrzyłam na widownię tamtego wieczoru pod koniec występu, widząc Lily w drugim rzędzie i rozczarowanie w jej oczach, jak mną to wstrząsnęło i zarazem pozwoliło zrobić to, co zrobiłam chwilę później. *Relevé, relevé*. Moje świetnie wytrenowane mięśnie i kości narzucały, dyktowały mi kolejne ruchy. *Relevé, Jenno*. Ja jednak zamarłam. Muzyka przepływała obok. *Relevé, Jenno!* Widzowie się poruszają. Zaniepokojeni. Liczą, że występ da się uratować. Nie jestem pewna, czy dam radę. Czuję utkwione we mnie oczy Lily, ale widzę nas przy kuchennym stole parę dni wcześniej. Narzekałam z powodu zbliżającego się recitalu.

- Kim jesteś, Jenno? Skąd mają wiedzieć, jeśli im nie pokażesz?

- Kusi mnie. Chciałabym to z siebie wyrzucić, jeden jedyny raz.

- I co byś zrobiła?

- Zaczęłabym pokazywać na scenie te wszystkie ruchy, o których marzyłam. Tupalabym ciężko i kręciła biodrami, żeby im pokazać.

- A więc co cię powstrzymuje?

Pamiętam jej powagę i że spojrzałam na nią jak na obląkaną.

- To by nie było właściwe. Zawiodłabym zbyt wielu ludzi.

- Chcesz powiedzieć: swoich rodziców. Myślę, że jakoś by to przeżyli.

Widownia wstrzymuje oddech. Muzyka milknie. *Relevé*, Jenno! Moje mięśnie domagają się ruchu.

„Tupnij! Zakręć biodrami, Jenno!”.

I wtedy to czuję. Łydki się napinają. Pięty unoszą w górę. *Relevé*. Szybki podskok na pointy. Wytrzymać. Wytrzymać. Opaść w czwartą pozycję, *plié* i się uklonić. Widownia wydaje zbiorowe westchnienie ulgi, chociaż skończyłam tańczyć długo po umilknięciu muzyki. Żywiołowe oklaski tuszują opóźnienie.

Spełniłam oczekiwania. I tylko to się liczy.

## Fragmenty

---

Fragment dla kogoś tutaj. Fragment tam.

Czasem nie składają się w żadną całość.

Ale jesteś zaprzątnięta tańcem.

Spełnianiem oczekiwań.

Nie masz czasu zauważyć.

Albo boisz się zauważyć.

A potem pewnego dnia musisz spojrzeć.

I to prawda.

Wszystkie fragmenty ciebie posłużyły, by zaspokoić potrzeby innych ludzi. Ale nie zaspokajają twoich własnych.

## Plaża

---

- Tutaj! - woła Claire, machając ręką.

Lily kiwa w odpowiedzi. Obie stoimy nieruchomo i Matka podejmuje spacer przez kałuże pozostałe po odpływie. Jazda na plażę upłynęła w napięciu. W samochodzie prawie nie rozmawialiśmy. Matka nalegała na wycieczkę, przekonując, że niezwykle ciepły marcowy dzień jest idealny na przechadzkę nad morzem.

- Potrzebowała tego - mówi Lily.

- Ja nie.

Ściąga bluzę przez głowę i zawiązuje sobie w pasie.

- Więc czego potrzebujesz, Jenno? - jej głos jest ostry.

Patrzę na nią i gdzieś w środku zwiijam się w węzeł. Nie mogę odpowiedzieć. Kręcę głową i odchodzę. Chwyta mnie za ramię i odwraca.

- Zadałam ci pytanie. Czego potrzebujesz? Wyrywam się. Jak śmie mnie traktować niby...



- Potrzebuję... Potrzebuję... - Chcę cisnąć jej słowa w twarz, tego właśnie potrzebuję, ale wciąż nie mogą się wyrwać na swobodę, jakby zahaczyły o coś w moim wnętrzu. Stoję w miejscu, moje usta wciąż szukają słów.

- Powiedz! - rozkazuje. Nie mogę.

Puszczą moją rękę i wzdycha.

- I na tym zawsze polegał twój problem, Jenno — mówi cicho. - Zawsze żyły w tobie dwie osoby. Jenna, która chce wszystkich zadowolić, i Jenna, która w głębi ducha tego nie znosi. Oni to przeżywają, wiesz? Twoi rodzice nigdy nie uważali cię za ideał. To ty tak myślałaś.

O czym ona mówi? Nigdy nie uważałam...

- Trzymali mnie na piedestale od dnia narodzin! Jaki miałam wybór, jak tylko zostać ideałem! Jeśli nie nadażalam w matematyce, piłce nożnej czy gapieniu się we własny pepek, najmowali prywatnego korepetytora! Tak długo szkolili mnie i trenowali, aż stałam się ideałem! Całe życie byłam pod lupą! Od chwili poczęcia musiałam umieć wszystko, bo byłam ich cudem! Z tym właśnie musiałam się mierzyć każdego dnia życia! Jak śmiesz mówić, że winna jestem ja, skoro to przez nich! Zostałam poczęta po to, by spełniać ich zachcianki!

- O co chodzi? - pyta Claire, podbiegając, by sprawdzić, czemu podnosimy głos.

Lily nie spuszcza ze mnie wzroku, jakby próbowała mi wyperswadować skok z okna. Jej głos jest cichy.

- Zaczynaj od drobiazgów - mówi. - Pytam jeszcze raz, czego potrzebujesz?

- Potrzebuję... - Słowa utykają mi w gardle. Zaczynaj od drobiazgów. - Spódnicy. Czerwonej spódnicy!

- Co? - Claire w oczywisty sposób nie rozumie, o co chodzi, ale oczy ma jasne i pełne napięcia, skupione na mnie, jakbym była całym Oceanem Spokojnym.

- I przestrzeni. Potrzebuję przestrzeni. Claire spogląda na Lily.

- O co tu chodzi?

- Słuchaj - odpowiada Lily. Chwyta Claire za ramiona i zwraca twarzą do mnie. - Po prostu słuchaj.

- Nie chcę dłużej być waszym cudem. Nie mogę już być waszym cudem. Chcę żyć na tej planecie na takich samych zasadach jak wszyscy. Potrzebuję być jak wszyscy.

Zwalniam. Biorę oddech.

- Nie umiem żyć naprawdę, jeśli nie mogę umrzeć. Potrzebuję kopii zapasowych. Kary, Locke'a... i mojej.

Twarz matki tężeje, jakbym bredziła.

- Chcę pozwolić im odejść - szepczę. Nie porusza się.

- Zniszczyć je - wyjaśniam, podnosząc głos, tak żeby choć ten jeden raz moich zamiarów nie dało się wypaczyć.

Jej twarz nieruchomieje, traci wyraz. Nic nie mówi przez zbyt długą chwilę. Teraz to ja tężeję i wraz z Lily -czekam, zastanawiając się, czy z tego, co powiedziałam, cokolwiek dotarło do Matki. A potem Matka zamyka rozchylone usta, ściąga ramiona.

- W drodze do domu kupimy ci czerwoną spódnicę - oświadcza. Odwraca się i odchodzi, zatrzymując się jedynie na moment, by rzucić Lily niechętne, chłodne spojrzenie.

## Kalkulacje

---

Wracamy do domu w milczeniu. Obserwuję Lily. Matkę. Ich oczy, niewidzące, wpatrzone w szosę przed nami, choć jej nie dostrzegają. Każda z nas tkwi omotana własnymi myślami, dostrzegając swoje granice, może także granice pozostałych. Jak daleko możemy się posunąć? Jak bardzo możemy się nagiąć? Jak wiele możemy ocalić? Jak możemy zdobyć to, czego pragniemy? Kalkulacje nie mają końca; nie znamy przyszłości, nie wiemy, czy „jak daleko” nie oznacza dla nas „za daleko”.

Moje myśli dryfują; szukam, kalkuluję, wspominam, przeskakuję w przeszłość i znowu w teraźniejszość.

- Moje dziecko, moje drogie dziecko, tak mi przykro.

W szpitalnej sali panuje półmrok. Przysunęła krzesło tuż obok. Kolysze się, nuci, szepcze, uśmiecha się. Uśmiechy znieść najtrudniej. Przekraczają jej siły, lecz jakimś sposobem potrafi się na nie zdobyć.

„Pozwólcie mi umrzeć”.

„Proszę”.

Wykrzykiwałam te słowa. Raz po raz. Ale tylko w myślach. Nie mogłam ich wypowiedzieć. Jednak nawet kiedy błagałam ją w duchu, z nadzieją, że jakimś cudem zrozumie, wiedziałam. Kiedy leżałam w szpitalnym łóżku, nie mogąc się poruszyć ani przemówić, wystarczyło spojrzeć w oczy Claire, żeby wiedzieć.

Nigdy nie pozwoli mi odejść.

Miała w sobie wiele siły, lecz nie tyle, by pozwolić mi na odejście.

Byłam na zawsze jej dzieckiem. Na zawsze jej cudem. Na zawsze - jak to długo?

## Zrozumienie

---

*Zawsze przysł. 1. Na wieki, bez końca: zostać na zawsze. 2. Wciąż, stale, bezustanie.*

Wielu słów i definicji nigdy nie zapomniałam.

Ale niektóre dopiero teraz zaczynam w pełni rozumieć.

# Przenosiny,

---

Lily zamyka drzwi i rusza do szklarni, żeby się irytować, jak sądzę. Ojciec stoi na dróżce i z kimś rozmawia. Kiwa mi ręką, ale wraca do rozmowy. Zaskakuje mnie widok gościa, bo nigdy wcześniej nikt nas nie odwiedzał. Stoi plecami do mnie, jednak korpulentna sylwetka wydaje się dziwnie znajoma. Matka bierze torby z zakupami, które zrobiliśmy w drodze powrotnej. Nie dostałyśmy czerwonej spódnicy. To nieważne. Tak naprawdę nigdy nie było ważne.

- Wejdz ze mną od kuchni, Jenno - mówi. Jej głos rozbrzmiewa niemal na granicy, którą wcześniej wykalkulowałam. Jak daleko mogę się posunąć? Odwracam się, zostawiając ją przy drzwiach z garażu do domu, i idę do frontowego wejścia, gdzie Ojciec rozmawia z nieznajomym. Stoją blisko siebie, przekazują sobie słowa z ust do ust, jakby wiatr mógł je porwać. Ojciec zerka na mnie, siłą woli próbuje mnie ponaglić do wejścia do domu. Ale ja oczywiście zwlekam.

- Jutro...

- Niebezpiecznie...

Koncentruję się, próbuję odcyfrować szeptane uwagi. Odnotowuję we własnym wnętrzu falę emocji, bólu, a potem uspokojenie, jakby słowa wypowiedziano wprost do mojego ucha. Jakby każdy wolny neurochip został zaprzęgnięty do pracy. I tak jest. Mam miliardy wolnych neurochipów.

- Tam gdzie są, grozi im zbyt duże niebezpieczeństwo.

- Mam kilka możliwości. Jutro je przeniosę.

- Tak, żeby nie dało się...
- Wytropić. Wiem. Zadbalem o to.
- I bezpieczne.
- Czy zawiodłem cię kiedyś?
- Ona jest moim życiem, Ted.

Gość wymienia z Ojcem uścisk dłoni, potem się odwraca, wiedząc doskonale, że obserwuję ich obu. Kiwa mi głową; czuję, jak robi mi się zimno. To turysta z misji. Ten, który zrobił zdjęcie mnie i Ethanowi.

Powłócząc nogami, oddala się ścieżką i wciska swoją otyłą postać do małego samochodu, który skrzypi pod jego ciężarem.

- Kto to był? - pytam Ojca, kiedy podchodzi.
- Nieważne — odpowiada. - Wejdźmy do środka.
- Widziałam go wcześniej. Marszczy czoło; wie, że nie ustąpię.
- Mój specjalista do spraw bezpieczeństwa. Zajmuje się różnymi... rzeczami.
- Jak ja?
- Czasem.
- Zrobił mi zdjęcie w starej pralni.
- Nie tobie. Interesował go Ethan i projekt społeczno-nościowy w misji. Upewniał się, że ryzyko jest minimalne.
- Więc to jest teraz moje życie?
- Co?

- Kontrolowany, wolny od zagrożeń kokon dla twojego laboratoryjnego monstrum?

Ojciec wzdycha i przeczesuje palcami włosy; jedyny nerwowy nawyk, jaki u niego zauważyłam.

- Nie zaczynajmy od nowa, Jenno.

- Co ma przenieść?

Ojciec patrzy na mnie, przeprowadzając własne kalkulacje, przypatrując się mojej twarzy, szczególnie oczom. Czy wie, że potrafię dostrzec kłamstwo równie wyraźnie, jak głębokie westchnienie lub wzruszenie ramion? Nie odpowiada. Nadrabia zaległości. Wie, że staję się czymś więcej, niż planował. Czymś więcej niż nieskończenie uległa czternastolatka, którą kochał. Ale przecież wszystkie dzieci dorastają.

- Wykombinuję, o co chodzi - mówię. Ustępuje.

- Kopie zapasowe. Garderoba w domu to nie miejsce dla nich. Wcześniej nie mieliśmy czasu znaleźć nic lepszego, ale teraz tak. Zamierza je przenieść w bezpieczniejsze miejsce.

Ojciec przypatruje mi się zbyt uważnie, zbyt czujnie, jakby on też starał się odczytać każdy mój oddech, każde drgnienie. Ostrożnie zwracam wzrok w górę i na lewo, jakbym rozważała to, co właśnie usłyszałam, a potem bez pośpiechu przenoszę na niego.

- Och - mówię. - To pewnie dobry pomysł.

Przygląda mi się i stopniowo jego mięśnie się odprężają. Wierzy mi. Ale to nic nowego. Zawsze mi wierzył, bo byłam grzeczną dziewczynką. Postępowałam

według zrozumiałych dla niego zasad. Teraz jednak obowiązują nowe reguły, których on jeszcze nie zna. Nauczy się. Tak jak ja.

Otwiera drzwi frontowe.

- Wchodzisz?

- Nie - odpowiadam. - Wróciliśmy później. Zaraz przyjedzie po mnie Ethan.

- Dzisiaj nie ma szkoły - jego ton sugeruje pytanie. Stał się, bardziej niż kiedyś, podobny do Claire. Odkąd zaczął się mnie trzymać tak kurczowo? Wyczuwam, że odpowiedź leży gdzieś pomiędzy ciemnością a strachem; między chwilami, gdy się wydawało, że odejdę na zawsze. Wypadek zmienił nie tylko mnie, sprawił, że oni także stali się inni; wtedy właśnie Ojciec się zmienił. Zapominam o kalkulacjach i manewrach. Znowu mam siedem lat i prowadzę go w stronę tortu ulepionego z miłości do niego. Pochylam się i całuję go w policzek.

- Nasza koleżanka Allys zachorowała. Od kilku dni nie było jej w szkole. Jedziemy ją odwiedzić.

Zwyczajny całus w policzek, a jemu szklą się oczy.

- Wróc przed zmrokiem - prosi. Nie odpowiadam, bo w tej chwili nie potrafię skłamać. Ale spróbuję wrócić. Z powodu jego oczu. Ponieważ jestem jego życiem. Ponieważ pewne rzeczy się nie zmieniają.

Stoję przy krawężniku, czekając na Ethana, i raz jeszcze przebiegam w myślach szeptaną rozmowę między Ojcem a nieznajomym. „Jutro”. Tak powiedział. Do tego czasu kopie zapasowe zostaną zabrane. Czy głosy też? Czy też nadal będę słyszeć, jak mnie wołają, błagają o uwolnienie? Gdyby tylko mieli drugą szansę; ale w odróżnieniu ode mnie oni nigdy się nie odrodzą. Ich czyścicowe męki będą trwać bez końca i jakimś sposobem zawsze będą wiedzieć, że mogłam ich ocalić. Że powinnam była ich ocalić.



Kiedy dokładnie? Czy powiedział?

Jutro przyszłość Kary i Locke'a zostanie przypieczętowana, a ja stanę się odrobinę mniej niż oryginałem, czymś w rodzaju pierwszej z numerowanej serii artystycznych odbitek. Kara, Locke i ja, zapomniani w magazynie.

Do jutra Matka i Ojciec nigdzie się nie wybierają. Nie ma szansy, żebym zdołała się wślizgnąć do garderoby.

Świadkowie. Są świadkami.

Zresztą i tak już nie mam klucza. Głupio zrobiłam, zostawiając go w zamku, kiedy wybiegałam. Teraz nic już nie mogę zrobić. *Relevé, Jenna. Relevé.*

Patrzę na swoje ręce. Drżą. Walka pomiędzy neuro-chipami a neuronami, przetrwaniem a poświęceniem.

Gdzie jest Ethan? Spóźnia się!

Staję na palcach, jakbym dzięki temu mogła zajrzeć dalej w głąb uliczki. Odycham raptownymi, płytkimi haustami i czuję się zdradzona przez to ciało, które bez trudu pamięta panikę, lecz potrzebuje przynaglenia, by sobie przypomnieć przyjaciół. Nie mogę pozwolić im odejść.

Wreszcie widzę wóz Ethana wjeżdżający zza rogu na naszą drogę.

- Mogę ci pomóc. - Wzdrygam się i odwracam. To Lily.

Nie muszę pytać. Wiem, w czym chce mi pomóc.

- Masz prawo - mówi - przynajmniej do własnej kopii zapasowej. A może nawet więcej. Tylko ty wiesz, jak to jest. Jeśli naprawdę tego chcesz, coś wymyślimy. ..

Ethan hamuje przy krawężniku. Otwieram drzwiczki, ale patrzę wciąż na Lily.

- Zabierają ich jutro.
- Więc może porozmawiamy dziś wieczorem? Kiwam głową, dziwiąc się jej nieoczekiwanej propozycji.
- Może - odpowiadam i wsiadam do wozu Ethana.

## Oni wiedzą

---

- Drżysz.
- Tylko dłonie.
- Nie, całe ciało.

Przyciąga mnie blisko jedną ręką, a kieruje drugą. Dopiero teraz zauważam, że dygocą mi ramiona. Próbuję je powstrzymać, ale nad nimi nie panuję. Czy to o tym mówił Ojciec? „Gdyby doszło do konfliktu między twoją oryginalną tkanką mózgową... impulsy mogłyby się zachowywać niemal jak przeciwciała... próbowałyby się tłumić nawzajem... dlatego stworzyliśmy kopie zapasowe. Na wszelki wypadek”.

Ethan nachyla się, jednym okiem zerkając na drogę, i dotyka wargami mojej skroni. Czuję, jak przepływa mnie prąd, przynajmniej na chwilę zapominam o swoich rozważaniach.

- Wszystko w porządku - uspokaja. Prostuje się, skupia całą uwagę na szosie, ale dalej gładzi mnie po ramieniu. Patrzę na niego, zastanawiając się, jak ktoś tak łagodny mógł uderzyć kijem bejsbolowym w czaszkę drugiego człowieka. Czy wszyscy kryjemy w sobie zaskakujące skłonności?

- Nie martw się, że Allys wygada. Nie było jej w szkole cztery dni. Gdyby komuś powiedziała, już byśmy wiedzieli.

- Może - odpowiadam. - A może nie. Wspominałeś, że FREN to zbiurokratyzowana machina. Może rozkaz zgilotynowania mnie utknał gdzieś w papierach.

Milczy, ale jego oczy przebiegają tam i z powrotem mijany krajobraz, jakby odczytywał słowa ukryte przed moim wzrokiem. Energiczniej gładzi mnie po ramieniu. Na koniec wyrzuca z siebie, zupełnie mnie zaskakując:

- „Większą część tego, co moi bliźni nazywają dobrem, ja w głębi duszy uważam za zło, i jeśli czegoś żałuję. ...” - robi pauzę; czeka.

Uśmiecham się i ulegam.

- „... .to niewątpliwie swoich dobrych manier”.

- „Nie można zaufać żadnemu sposobowi rozumowania czy postępowania, choćby i najstarszemu, jeśli się go nie wypróbuje. To, co wszyscy powtarzają...”.

- ....albo milcząc, przyjmują dzisiaj za prawdę, jutro może się okazać fałszem”. - Podnoszę dłoń, żeby powstrzymać kolejny cytat, zanim spłynie z jego warg. - Ethan, doceniam twoje wysiłki, jednak mogę recytować Thoreau cały dzień i dalej się bać.

- Ale może ze mną jest inaczej - odpowiada. Ścisną mnie mocniej. - Zobacz. Przestałaś się trząść. Najwyraźniej wcale nie wiesz tak dużo, jak ci się zdaje.

Zauważam to. Drżenie minęło. Boję się, lecz jestem spokojna. Nieco przyjemniejsze uczucie. Myślę o dzikiej energii cyklonu i niewielkim, spokojnym kręgu w jego centrum. To właśnie dał mi Ethan. Przytulam się mocniej do jego ramienia.

- Może wcale nie jest chora. Może po prostu nie chce mnie oglądać.

- Ostatnio kiedy ją widzieliśmy, nie wyglądała dobrze. Bez kolorów. Coś było nie tak.

To prawda. Pamiętam, że zauważyłam bladość Allys i że tabletki utknęły jej w gardle. Kolejny wirus? Niemożliwe, nie znowu. Ale oczywiście w głębi duszy wiem, że to się mogło zdarzyć. Zabójcze wirusy są plagą naszego wieku.

Szosa do domu Allys jest pełna dołów i zakrętów. Nigdy nią jeszcze nie jechałam. Wcina się coraz głębiej w pola, staje się coraz węższa, dławiona przez drzewa. Czy naprawdę chcę tam jechać? Czy Ethan naprawdę zna drogę?

- Mieszka tak daleko?

- Niedaleko. Pierwszy raz zawsze się tak wydaje. Skręca w niemożliwie wąską ścieżkę. Jest nierówna, właściwie nieutwardzona; warstwa grubego żwiru wciśniętego w błoto. Nie umiem sobie wyobrazić Allys pokonującej tę trasę. Nie widać żadnych domów; wysokie, splątane krzewy przesłaniają widok. Docieramy do wjazdu na posesję, oznaczonego zwyczajnym białym słupkiem z adresem. Ethan skręca w wąską dróżkę, ogarnia nas rozrośnięty oleander, różowe i białe kwiaty ocierają się o szyby. Radosny kontrast do naszej sytuacji i powodu, dla którego pokonaliśmy długą, nieznaną trasę. Białe, różowe i zielone smugi hipnotyzują mnie na chwilę.

W końcu tunel otwiera się na rozległą przestrzeń; szmaragdowy trawnik otacza niewielki, szary budynek z szeroką, cienistą werandą. Dom jest cichy, nieruchomy, jakby czekał ze wstrzymanym oddechem; wciskam się w fotel.

- Może nikogo nie ma - mówi Ethan.

- Są — odpowiadam. Który neurochip sięgnął poza to, co dostępne moim neuronom? W jaki sposób mi to przekazał? A może to po prostu zjawisko zwane intuicją? Wiem jednak z całkowitą pewnością. Jesteśmy obserwowani. Czyjeś spojrzenie mierzy samochód.

Parkujemy na kolistym podjeździe i wchodzimy po stopniach na werandę. Ciężkie buty Ethana stukają głośno w ciszy. Nawet ptaki boją się ćwierkać.

Zatrzymuję się na ostatnim stopniu.

- Nie jestem pewna...

- Mnie też nie jest lekko.

Czuję skurcz wymagowanego żołądka.

- Jest naszą koleżanką. - To w równym stopniu pytanie, co stwierdzenie.

- Niezbyt mnie to uspokaja - odpowiada Ethan. Drzwi otwierają się, zanim zdążymy zapukać.

- Czy jest Allys? - wyrzuca Ethan gwałtownie. Kobieta patrzy na nas; twarz ma bez wyrazu, oczy ciemne i podkrążone.

- Pamiętam cię - mówi. Pustka w jej oczach przypomina mi Matkę ogladaną ze szpitalnego łóżka w dniach, kiedy balansowałam na cienkiej granicy między życiem a śmiercią; w dniach, kiedy ani na chwilę ode mnie nie odchodziła. - Ethan - dodaje po chwili.

- Tak, kiedyś podwiozłem Allys do szkoły.

- To miło z twojej strony. - Jej spojrzenie ulatuje w przestrzeń, jakby próbowała sobie przypomnieć jakieś ważne zdarzenie.

- A ja mam na imię Jenna - mówię, wyciągając rękę. Gwałtownie skupia wzrok, jej źrenice przypominają

drobne, twarde koraliki.

- Jenna - powtarza, jakby wiedziała, kim jestem. Patrzy na moją wyciągniętą dłoń, sięga wolno i ujmuje w swoją. Przesuwa kciukiem po kostkach, jakby je liczyła; nie puszcza. Patrzę na Ethana, bojąc się wyrwać rękę. Kobieta zauważa, że wymieniamy spojrzenia, uwalnia moją dłoń. Prostuje się sztywno.

- Allys nie czuje się dobrze - wyjaśnia.

- Możemy ją zobaczyć?

Czyjaś ręka chwytła drzwi i otwiera je na oścież.

- Czemu nie? - odpowiada mężczyzna. Widać, że jest równie wyczerpany, jak kobieta, kręgi pod jego oczami i bruzdy na czole świadczą o wielu bezsennych nocach.

- Nie wiem, czy nie jest zbyt słaba - oponuje kobieta, stojąc w wejściu.

Głos mężczyzny brzmi łagodnie; ledwie słyszalny szept niczym krótki nóż przecina napięcie trzymające dom w uścisku.

- To jej koledzy, Victorio. Jeśli nie teraz, to kiedy? Kobieta się odsuwa.

- Tędy - kieruje mężczyzna.

Moje stopy tkwią jak wrośnięte, ale szturchnięcie stojącego obok Ethana płoszy chaotyczne myśli o ucieczce. Idziemy za mężczyzną długim korytarzem.

Wyczuwam tuż za plecami obecność kobiety obserwującej nasze ruchy. Moje ruchy. Zanim wejdziemy do ostatniego pokoju po lewej, przystaję.

Już czuję zapach śmierci. Wstrząsają mną wspomnienia. Zapach. Był ostatnią rzeczą wiążącą mnie z tym światem, zanim zostałam porwana do tamtego drugiego, ciemnego i pustego. Wyraźny, słodkawy i sfermentowany zapach śmierci, podobny do woni spleśniałego chleba, wilgotny i nabrzmiały — powleka ściany, nozdrza, skórę, wszystko w zasięgu ręki, naznacza wszystko. Nawet kiedy przestaję widzieć, wciąż czuję śmierć pełznącą po mojej skórze.

- Jest tam? - pytam.

- Tak - szepcze jej ojciec. - Wszystko w porządku. Chętnie was zobaczy.

Robimy kolejne dwa kroki. Zanim jeszcze ją dostrzegamy, zauważamy sprzęt medyczny stłoczony w pomieszczeniu. Pompy ssące. Tace z gazą, miętowymi wacikami do przecierania ust, kubkami kruszonego lodu i stosami białych ręczników.

Ethan cofa się i opiera o ścianę.

- Jest zbyt ciężko chora, żeby leżeć w domu. Czemu nie jest w szpitalu?

Matka odpowiada zza naszych pleców.

- Przyznano jej jedynie Pielęgnację Uśmierzającą. Przestaje funkcjonować wątroba. Płuca. Serce. Nerki. Mam wyliczać dalej? Prawie wszystkie narządy są na jakimś etapie niewydolności. Na dodatek jej stan wywołał zaostrzenie tocznia układowego. Jej ciało praktycznie atakuje samo siebie.

- A przeszczep? - pyta Ethan.

- Którego narządu? Potrzebowałaby zbyt wielu. Liczba punktów rośnie lawinowo. Powiedzieli, że nie ma szans.

- Uszkodzenia powstały podczas ostatniej choroby - dodaje ojciec. - Wiedzieliśmy o tym. Ale lekarze sądzili, że dzięki lekom utrzymają sytuację pod kontrolą. Radziła sobie tak dobrze. Myśleliśmy...

Urywa. Przyglądam się, jak tłumi szloch, opiera się o ścianę, ociera oczy, zawstydzony, a potem spuszcza wzrok, ściskając nasadę nosa. Jego ramiona dygocą, z piersi wyrywają się stłumione, zawodzące westchnienia, gdy stara się opanować rozpacz. Nigdy nie widziałam mojego ojca płaczącego. Teraz jednak ciche westchnienia tego mężczyzny przeszywają mnie do głębi, wysysają ze mnie siły; boję się, że nogi załamiają się pode mną. Słyszałam wcześniej te dźwięki. Płacz dorosłego mężczyzny, kiedy nie można już nic zrobić. Płacz mojego ojca.

Chwytam Ethana za ramię i wciągam do pokoju. Gdy wchodzimy, Allys obraca głowę. Ethan nie potrafi ukryć swojej reakcji.

- O, Boże.

- Też miewaleś lepsze dni, Ethan - ma ochryply i słaby głos.

- Allys - szepczę.

Wydaje się drobna, tonie wśród prześcieradeł i poduszek, jak gdyby tamten świat do połowy już ją pochłoniął. Z wyjątkiem prawej ręki jej protezy zniknęły, gdzieś schowane. Kikuty ledwie wystają spod koszuli nocnej. O górną wargę opiera się rurka z tlenem, na piersi ma przyklejony spory plaster.

- Chodźcie bliżej - mówi. - Trudno rozmawiać. Ethan podchodzi do łóżka z jednej strony, ja z drugiej.

- Nie wiedzieliśmy, że jesteś tak bardzo chora - mówi. Allys uśmiecha się, jej wargi przypominają blado-żółtą smugę na twarzy.



- Mało powiedziane. Ja umieram. Kiedy narządy przestają działać, do końca już nie jest daleko. Zawsze wiedziałam, że może do tego dojść. Rodzice to wypierali. - Śmieje się z trudem. - Może ja też. - Kaszle i krzywi się z bólu wywołanego wysiłkiem. Wciska guzik na panelu leżącym tuż przy jej palcach. Plaster na jej piersi wydaje pstryknięcie. - Słodki eliksir - wyjaśnia Allys i się uśmiecha.

- Możemy coś dla ciebie zrobić? - pytam.

- Nie, Jenna. Wszystko zostało zrobione. Ten pociąg został wprowadzony w ruch kilkadziesiąt lat temu przez ludzi, którym się zdawało, że są ponad systemem. I pewnie potrwa kilkadziesiąt lat, zanim się go uda zatrzymać. Tylko FREN może posprzątać bałagan, jakiego narobiliśmy. Ale dla mnie jest za późno. Jakby porachować, czego mi potrzeba, liczba punktów znacznie przekroczyłaby limit. Takie jest prawo, pamiętasz?

Milczę. Jak na ciężko chorą jej głos brzmi zaskakująco surowo.

- Weź mnie za rękę - prosi. Ethan wyciąga dłoń.

- Nie, Jenna. Chcę, żeby Jenna wzięła mnie za rękę. Patrzymy na siebie z Ethanem. Jak można odmówić umierającej drobnego życzenia? Sięgam nad łóżkiem i ujmuje protezę.

- Masz taką delikatną dłoń. Znacznie delikatniejszą od mojej. - Z początku dotyka lekko, potem ściska silniej. Przyciąga mnie do siebie. - Bliżej - prosi. Nachyliłam twarz do jej twarzy, aż czuję słodkawy, mdlący oddech owiewający gorącym mój policzek. Allys podnosi się, na ile jej pozwala lewy kikut, i szepcze mi do ucha.

Puszcza mnie i opada na poduszkę; cofam się o krok.

- Co to za sekrety? - pyta Ethan.

- To nie sekret - odpowiada Allys i zamyka oczy; słodki eliksir przez kolejny kwadrans będzie wypełniał swoje zadanie.

Ethan trze oko nasadą dłoni i chrząka.

- Musimy iść - oznajmia. Żegnamy się, lecz Allys już śpi.

Jej ojciec odprowadza nas do drzwi. Odzyskał panowanie nad sobą. Znow jest tym zmęczonym mężczyzną, który nas przywitał: otoczonym sferą spokoju, którą sam stworzył.

- Dziękuję, że przyszliście - mówi. - Wiem, że to wiele dla niej znaczy.

Kiedy wychodzimy, jej matka wybiega na ganek.

- Ty. Jenna. Mieszkasz na Lone Ranch Road, prawda?

- Tak.

- Tak myślałam - odpowiada. Odwraca się, nie mówiąc nic więcej, i wraca do środka.

Odjeżdżamy z Ethanem tą samą trasą, która nas tu przywiodła. Milczymy aż do powrotu na główną drogę.

- Wygląda na to, że sprawa jest oczywista - wzdycha Ethan.

- Jaka sprawa?

- Teraz Allys nikomu na ciebie nie doniesie. Gapię się przez okno. Krajobraz przemyka jak szara

smuga, bo wzrok mam skupiony gdzieś w połowie drogi między szybą a otaczającym światem. Niesprecyzowany obszar, mieszczący jedynie słowa Allys. Ethan jej nie docenił.

- Już to zrobiła - mówię. - To właśnie mi szepnęła. O to jej chodziło. To nie sekret. Powiedziała swoim rodzicom. Kazała im donieść.

Rumieniec zalewa jego twarz, nie sięgając oczu; Ethan zaciska ręce na kierownicy.

- Nie wrócisz do domu - oświadcza. - Możesz jechać do mnie. Gdziekolwiek. Zabiorę cię tam, gdzie cię nikt nie znajdzie...

Wymyśla dalej rozpaczliwe plany ucieczki, ja jednak przyłapuję się na tym, że moje myśli dryfują; zastanawiam się, gdzie może się znajdować „gdziekolwiek” Ethana; pochwycona w krainę „być może” i „jeżeli”, chcę w niej pozostać, bo jest dla mnie znacznie bezpieczniejsza od świata, w którym mieszkam.

## Odejście i pozostanie

---

Prawie.

Prawie mogłam wyjechać i nigdy nie oglądać się za siebie.

Jak pan Bender, mogłam zostawić za sobą to, kim jestem, nie wyłączając nazwiska.

Wyjechać z powodu Allys i tego wszystkiego, czym według niej jestem.

Wyjechać z powodu tego wszystkiego, czym chyba nie będę już nigdy.

Wyjechać, bo może nie istnieje wystarczająco.

Wyjechać, bo Allys, senator Harris i pół świata wiedzą lepiej niż Ojciec, Matka i zapewne także

Ethan.

Wyjechać.

Bo dawna Jenna była do tego stopnia zaabsorbowana własnymi potrzebami, że mówiła „tak”, chociaż wiedziała, że powinna powiedzieć „nie”, i ponieważ wstyd tamtej nocy dałoby się ukryć w nowym miejscu i pod nowym nazwiskiem. Ale kiedy ma się przyjaciół, to nie taka prosta sprawa.

I istnieje także pozostanie. Pozostać z powodu Kary oraz Locke'a, i tego, że nie czeka ich żadna inna przyszłość poza uwięzieniem.

Pozostać, bo mają coraz mniej czasu, a ja jestem ich jedyną szansą.

Pozostać ze względu na dawną Jennę i na to wszystko, co jest winna Karze i Locke'owi, i być może także ze względu na to wszystko, co jest im winna nowa Jenna.

Pozostać ze względu na dziesięć procent i na to wszystko, czym - mam nadzieję - może się ono stać.

Pozostać, ponieważ pan Bender wymazał swoje życie i tego żałuje. Pozostać, żeby zachować kontakt. Pozostać, ponieważ dwie mnie to dosyć, żeby jedna ja stała się zupełnie bezwartościowa. I pozostać, bo być może Lily jednak kocha tę nową Jennę równie mocno, jak dawną. Bo może, jeśli dać im czas, ludzie się zmieniają, może zmieniają się też prawa. Być może zmieniamy się wszyscy.

---

# Plan

---

Mam przewagę.

Potrafę coś zobaczyć o czwartej nad ranem w mroku swojego pokoju. Światło w korytarzu zostało strategicznie unieszkodliwione. Stoję za drzwiami, dwie godziny przed wyznaczonym czasem, bo jestem silna jak koń i się nie męczę.

I ponieważ nie mogę zasnąć.

Strach niczym kofeina płynie w moim pozbawionym żył ciele, przeskakuje między biochipami, krąży w moich ocalonych dziesięciu procentach, moim mózgu; motyłu niewiele większym od tych prawdziwych, lecz mimo to najważniejszym kawałku łądu mojego wszechświata. Różnica pomiędzy pozostaniem a odejściem. Nie męczę się, ale raz po raz wstrzymuję oddech. Zdrada. Lojalność. Przetrawianie. Poświęcenie. Zmagają się w moim wnętrzu.

Piąta rano.

Zostało pięćdziesiąt minut. Czy nie za późno, żeby zmienić zdanie? Czy dawna Jenna naraziłaby własną przyszłość ze względu na coś innego? Przywieram do ściany, wciśnięta za otwarte drzwi, które dotykają moich palców u stóp. W ciemności nigdy mnie nie zauważą. Po raz setny powtarzam sobie plan; w tym samym momencie słyszę skrzypnięcie obluzowanej deski za drzwiami i wyobrażone serce podchodzi mi do gardła. Kroki zmierzające ku upatrzonej pozycji.

Nie muszę patrzeć na zegarek. Moje neurochipy wiedzą co do sekundy, ile czasu upłynęło. Godzina wybiła. Spazmatycznie chwytam powietrze, zarazem przeklina

jąc i wielbiąc neurochipy, które pamiętają i imitują zbyt wiele.

Dwadzieścia minut do świtu. Teraz. Nadszedł czas. Strzepuję palcami. Zdrada. Lojalność. Przetrawianie. Poświęcenie. Wybieraj, Jenno.

Krzyczę. Długo i przeciągle. Na cały głos. Nasłuchuję.

Słyszę trzaśnięcie drzwi. Przekleństwo. Wołanie. Kroki.

Krzyczę znowu. „Nie... przestańcie... pomocy!”. Głośno, aż dźwięk odbija się od ścian.

Dwie pary kroków z łomotem wbiegających po schodach, wołanie: „Jenna!”.

Dwie pary kroków biegnących korytarzem. Sekundy od moich drzwi i pustego łóżka.

Ojciec przeklina przepaloną żarówkę.

Sekundy.

Przez drzwi. Do łóżka. Pustego łóżka. A ja się wymykam.

Drzwi zatrząskują się za mną. Z ciemności wyskakuje Lily, szybkim, wyćwiczonym ruchem wsuwa klucz do dziurki i go przekręca.

Zaryglowane drzwi, które miały odizolować mnie w środku na wszelki wypadek, teraz więżą ich, na wszelki wypadek.

- Pośpiesz się - mówi Lily, podając mi drugi klucz. - Możesz nie mieć wiele czasu. Spróbuję wyjaśnić, uspokoić ich. Ale wiesz, jacy są. Twój ojciec potrafi wylamać drzwi z zawiasów.

Już zaczęli w nie walić i krzyczeć. Dotykam drewna.

- Spróbujcie mnie zrozumieć - przekonuję.

- Jenna! Co ty wyprawiasz? Wypuść nas!

- Wszystko w porządku? Co się stało? Jenna! Drzwi dygocą, kiedy Ojciec uderza w nie ramieniem.

- Idź już - ponagła Lily. - Pośpiesz się. Przeskakuję po dwa stopnie, moje niezdarne stopy

potykają się dwa razy, dłoń chwyta poręcz, by uchronić przed upadkiem. Z ostatniego stopnia staczam się na podłogę korytarza, próbuję złapać równowagę i padam na czworaki. Biegnę korytarzem, chwytam ukryty za drzwiami pokoju Lily łom, który zostawiła zgodnie z obietnicą, a potem wpadam do pokoju Matki i Ojca, aż drzwi walą o ścianę. Moje palce drżą, kiedy próbuję wsunąć klucz do zamka w drzwiach garderoby. Nie chce wejść! Może wzięłam nie ten? Dom dygocze od ciosów Matki i Ojca. Słyszę Matkę tak wyraźnie, jakby stała tuż przy mnie. Jej rozkazy, błagania, a na koniec chwila gorączkowego olśnienia wstrząsają mnie do głębi. Nogi uginają się pod mną. „Pośpiesz się, Jenna!”.

- Boże, spraw, żeby wszedł! - wołam, dygocąc i manewrując kluczem. Wsuwa się do dziurki. Szlocham, przekręcam go i drzwi się otwierają.

- Jestem tutaj, jestem - mówię z niebezpiecznym uczuciem, że tracę kontrolę nad sobą. Myśl. Zwolnij.

Podnoszę łom niczym bejsbolista pałkę. Który pierwszy?

Opuszczam łom i wsuwam jego koniec pod okucie pierwszej kopii zapasowej. Kara. Ani drgnie. Proszę. Napieram całym ciałem i nity wyskakują. Okucie odbija się od ściany i ląduje na ziemi.

Drugi. Locke. Trzy podejścia i nity wypadają.

Wreszcie trzeci. Jenna. Dotykam powierzchni komputera i czuję zawrót głowy. „Pośpiesz się, Jenna! Teraz!“. Wsuwam łom pod okucie i naciskam silnie jednym płynnym ruchem. Okucie odlatuje przy pierwszej próbie.

Pamiętam każdy szczegół tego, co Ojciec mówił o kopiach zapasowych. Kiedy je wyjmę ze stacji dokujących, pozostaną nienaruszone jedynie przez pół godziny. Szczególne środowisko, które je podtrzymuje, przestanie wirować i będzie po nich.

Odejda.

Dokąd?

Czy mogę to zrobić? A jeśli...

Ręce mi drżą, kiedy zmuszam je siłą woli, żeby dotknęły kopii Kary. „Proszę, Jenna“.

Obejmuję palcami kostkę. Jakies piętnaście centymetrów sześciennych. Nie wielki, skończony, a zarazem równie bezkresny, jak czarna dziura w galaktyce. Powraca do mnie przerażenie i samotność tamtego pustego świata, odrywam dłoń.

„Nigdy - powiedział Ojciec. - Nic nie zostało z ich człowieczeństwa. Nigdy nie będą istnieć poza tą piętnastocentymetrową kostką“.

Słyszę skomlenie zwierzęcia. Oplakiwanie.

Moje własne jęki.

Kładę dłoń na kopiach Kary i Locke'a.



- Przepraszam - szlocham. - Tak bardzo żałuję. -Wyjmuję ich ze stacji dokujących. - To nie potrwa długo.

Patrzę na trzecią kopię. Moją. Czego potrzebujesz, Jenno? Czego? Czego?

Potrzebuję własnego życia.

Wyjmuję ją; przekraczam niewidzialną granicę między nieśmiertelnością a śmiertelnością.

- To początek - szepczę. Prawdziwy początek. Biorę kopie w ramiona. Zbyt ryzykowne byłoby tu

czekać pół godziny. Ja też wiem, co to ryzyko. Kiedy chodzi o mnie, Matka i Ojciec wykazują się wielką pomysłowością. Jedne cienkie drzwi nie powstrzymają ich długo. Pora doprowadzić plan do końca. Kopie trzeba umieścić w bezpiecznym miejscu, gdzie nikomu nie uda się ich dosięgnąć przez co najmniej pół godziny.

Słyszę głośny trzask. Lily krzyczy z góry.

- Jenna!

Nie musi nic dodawać. Ojciec jest zdeterminowany. Pędzę korytarzem, a mijając schody, wołam ile sił w płucach:

- Powiedz im, niech wyjrzą przez okno! Wybiegam przez kuchnię na werandę, a potem po zboczku w stronę stawu. Świt muska palcami drzewa i dachy domów. Wspinam się na granitowy głaz na brzegu i spoglądam w stronę domu. Matka i Ojciec stoją przy oknie, mocują się z zamknięciem.

- Jenna, nie!

- Na miłość boską, nie!

Biorę kopię Kary w prawą rękę. „Jesteś wolna” - mówię i rzucam ją w powietrze: ptak szybujący w liliowym powietrzu. Z pluskiem wpada do wody pośrodku stawu, zmarszczki i rozpryski rozbijają spokojną jak szkło tafłę. Kopia Locke'a podąża w ślad za pierwszą, tonie niedaleko od Kary, drobne zmarszczki wzbudzone przez nich dwoje spotykają się, mieszają, łagodnie rozchodzą coraz dalej, aż znikną. Odeszli.

Chwytam trzecią kopię. Z okna za moimi plecami nie dobiega żaden krzyk. Pogodzenie? Ostatnie stadium żałoby? To koniec. Wiedzą o tym. I ja też wiem. Ostateczny upadek Jenny Fox. Zwyczajna dziewczyna, jak wszystkie inne.

Kostka wylatuje z mojej dłoni wysoko w niebo, przez chwilę jakby się zatrzymuje, niemal zawieszona, wolna, a potem spada, znika z tego świata i dołącza do pozostałych.

Wstrzymuję oddech, czekam.

Nie słycać fanfar. Słońce nie zatrzymuje się na niebie. Łyski, tylko odrobinę zaniepokojone drobnym incydentem, wpływają z powrotem między palki, żeby kontynuować śniadanie. Jedna mała, odmieniona rodzina nie liczy się w świecie, który kręci się od miliardów lat. Lecz jedna drobna zmiana sprawia, że dla jednej rodziny świat zaczyna się kręcić inaczej na miliardy nowych sposobów.

Dla jednej rodziny i dla mnie. Jedynej Jenny Angeliny Fox.

Siedzę na skraju gładu, patrząc, jak fale gasną i tracą energię. Ale czy znikają? Kto wie, co się dzieje z energią? Staw znowu zmienia się w szkło. Być może na powierzchni wygląda jak dotychczas, jednak został odmieniony na zawsze przez to, co spoczywa w jego głębi.

Słyszę kroki. Ciche. Niespieszne. Zatrzymują się za moimi plecami. Lily.

- Wypuściłam ich - mówi.

- Powinnam wracać.

- Nigdy mi tego nie wybaczą.

Wstaję i strzepuję żwir z dłoni.

- Świat się zmienił. Tak mówiłaś. Myślę, że może wybaczenie jest jak zmiana: dokonuje się niewielkimi krokami.

Wyciąga ręce. Padam w jej objęcia, a wtedy przytula mnie mocno, gładzi po głowie. Neurochipy czy neurony, nieważne; jej dotyk i zapach sprawiają, że odpływam.

Cofa się o krok, wciąż trzymając mnie za ramiona.

- Idź. Miej to za sobą. Ja zaraz przyjdę.

Dom jest cichy, jakby ktoś wypchnął mu z płuc całe powietrze. Wolno wznoszące się słońce zalewa kuchnię miękkim, różowym światłem. Przy stole śniadaniowym, będącym zwykle porannym sercem domu, nie ma nikogo. Idę do korytarza. Na jednej ze ścian lśni niewielki trójkąt światła, ale reszta ginie w mroku. Podchodzę do schodów i z zaskoczeniem zauważam wśród cieni Claire, siedzącą na podeście, opartą bezwładnie o poręcz. Wspinam się po schodach i siadam obok niej. Patrzy w przestrzeń, jakby mnie nie było.

- Mamo...

- Mogliby cię ocalić, wiesz? - mówi ledwie słyszalnym szeptem. - Gdyby ktoś cię kiedyś oskarżył...

- To prawda, pod pewnym względem mogliby mnie ocalić. Ale pod wieloma innymi zgubiłabym sama siebie i nie umiałabym ze sobą żyć. Zrobiłam dla nich to, co oni zrobiliby dla mnie.

- Jenno - wzdycha.

- Jeśli to błąd, to mój błąd. Pozwólcie mi go popełnić. Odchyła głowę i patrzy w sufit, kołysząc się lekko, jakby próbowała wytrząsnąć ze swojego wnętrza ostatnie wydarzenia.

Zza zakrętu korytarza wychodzi Ojciec; przystaje, patrzy na mnie z rękami swobodnie zwieszonymi u boków, zmierzwionymi włosami i pobrużdżoną twarzą. Wchodzi na górę i z ciężkim westchnieniem opada na stopień poniżej.

Kręci głową bez słowa. Kręci głową o wiele za długo i moje gardło zaciska się jak węzeł.

- Nie znasz ryzyka, Jenno - stwierdza na koniec. -Zwyczajnie nie znasz ryzyka.

Kładę mu rękę na ramieniu.

- Może po prostu znam inne jego rodzaje. Nie odpowiada.

- Jestem tu teraz tak samo jak ty - mówię. - Czy to nie wystarczy?

Milczy, ale przynajmniej przestał kręcić głową. Po chwili kładzie mi rękę na dłoni. Matka patrzy na mnie, spojrzenie ma znowu obecne, jej oczy lśnią czymś, co -jestem pewna - nie ma nazwy ani definicji. Czymś, czego dawna Jenna nigdy nie widziała i co nowa Jenna dopiero zaczyna rozumieć. Matka bierze głęboki oddech i obejmuje ramionami nas oboje. Tworzymy spletaną sieć podtrzymujących się nawzajem ramion oraz łez płynących razem. Siedzimy na schodach niczym w mrocznej jaskini, dając sobie czas, jakbyśmy byli rozgwiadą czekającą, aż odrośnie jej ramię, uczącą się poruszać od nowa.

U stóp schodów staje Lily. Patrzy na Matkę oczyma pełnymi nadziei, pełnymi tego czegoś, co przed chwilą widziałam w oczach Claire. Spojrzenie Matki węż-

druje na spotkanie wzroku Lily i rozmawiają długo w języku, który tylko one znają. W końcu Claire wzdycha i pyta:

- Nastawić kawę?

Miliard lat krążenia wokół słońca. Nie jesteśmy niewrażliwi na doniosłość chwili. Lily kiwa głową.

- Pomogę ci.

Rozplątujemy splecione kończyny; a gdy docieramy na dół, rozlega się stanowcze pukanie do drzwi.

- Kto to może być tak wcześnie? - pyta Claire.

- Może Simmons - odpowiada Ojciec.

„Albo ktoś inny” - myślę. Może ktoś, komu Allys doniosła. Ktoś, kto przyszedł po mnie.

- Będę mu musiał powiedzieć, że już nam niepotrzebny schowek - mówi Ojciec, sięgając do klamki.

Powinnam ich ostrzec?

Drzwi już się otwierają. Zaskoczenie Ojca jest oczywiste, waha się: nie zna przybyłych. Naprzód występuje Matka.

- W czym mogę pomóc?

- Czy państwo są rodzicami Jenny Fox? Wymieniają spojrzenia. Widzę, jak Matka przenosi

ciężar ciała, gotowa się zmienić w mur, gdyby zaszła potrzeba.

Wychodzę z cienia.

- Tak, to oni - oświadczam.

- Jesteśmy rodzicami Allys, koleżanki ze szkoły państwa córki.

- Tak? - odzywa się Ojciec.

- Wiemy o Jennie - wyjaśnia ojciec Allys. - Nasza córka... - głos mu się załamuje.

- Nasza córka umiera - podejmuje matka Allys. Twarz ma nieruchomą. Przerazającą. Patrzę, jak przelyka ślinę; dłonie mocno zaciśnięte w pięści przyciska do boków. - Proszę, czy mogliby nam państwo pomóc?

Nieruchoma maska pęka, płyną łzy. Jej szlochanie niesie się echem po korytarzu.

- Proszę wejść - mówi Matka, wyciąga rękę i obejmuje ramieniem matkę Allys. Tuli szlochającą kobietę w sposób, który mnie zaskakuje. Jakby ją znała od lat. Jakby ją doskonale rozumiała.

- Chodźmy do mojego gabinetu - zaprasza Ojciec. - Tam możemy porozmawiać.

- To zajmie chwilę - rzuca Matka do Lily przez ramię. - Przyniesiesz nam kawy, jak się zaparzy?

Bez pośpiechu prowadzą rodziców Allys do gabinetu i zamykają drzwi za sobą.

Zostajemy z Lily w korytarzu, gapiąc się na zamknięte drzwi.

- No i proszę - kwituje Lily. Kręcę głową.

- Allys by się to nie spodobało.

Lily wypuszcza powietrze w długim westchnieniu.

- Co mówiłaś o zmianie? Niewielkie kroki? Skoro świat się zmienia, to pewnie zdanie też można zmienić. Czasem wymaga to jedynie czasu i zmiany perspektywy.

Czy moja perspektywa się zmieniła? Tak. A perspektywa Allys? A perspektywa świata?

- Nie jestem taka pewna - mówię. - Ale pewnie masz rację co do niektórych ludzi. Jeszcze parę tygodni temu uważałam, że kutas z ciebie.

Lily się uśmiecha, zmarszczki rozchodzą się promieniście od jej oczu, wydaje się, jakbyśmy siedziały u niej w domu przy kuchennym stole, a nie znajdowały się trzy lata i tysiące kilometrów od tego, kim byłyśmy dawniej. Obejmuje mnie ramieniem.

- Chodź, pomożesz mi przy kawie. Dam ci odrobinę łyknąć, jeśli nie wygadasz rodzicom.

## Chrzest

---

Idziemy przez kościół, jak gdyby to był zwykły dzień. Lily zanurza dłoń w wodzie święconej, przykłada i kreśli na piersi znak podobny do klucza wiolinowego - idzie na pogawędkę o nasionach i roślinach, ja na spotkanie z Ethanem.

Ale to nie jest zwykły dzień. Coś go różni. Coś drobnego i powszedniego jak szept, lecz zarazem monumentalnego i doniosłego. Zatrzymuję się na przecięciu naw i patrzę w górę na kopułę. Zamykam oczy; czuję chłód, zapach zbutwiałej historii, drewna i murów, nasłuchuję ech obudzonych przez nasze ruchy i moją pamięć. Z każdym oddechem odczuwam różnicę: dzisiaj jestem na tej ziemi, lecz być może jutro mnie nie będzie; i granicę, która dla mnie jest czymś nowym, ale zarazem odwiecznym jak początki czasu.

Kroki Lily zbliżają się, a kiedy otwieram oczy, widzę, że stoi zaledwie kilka centymetrów ode mnie. Palce ma mokre, dopiero co zanurzone w wodzie święconej, i unosi je do mojej twarzy. Znowu zamykam oczy, ona zaś szepcze modlitwę i dotyka dłonią mojego czoła, potem piersi i ramion.

- Skąd możesz wiedzieć? — pytam.

- Są rzeczy, których się nie wie. I tylko się wierzy.

Kropla na moim czole. Ledwie wyczuwalna. Ale Lily to wystarcza. I mnie chyba też. Zmyć to, co dawne, uwierzyć w nowe.

Świat się zmienił. Ja też.



# Dwieście sześćdziesiąt lat później

---

Siedzę pośrodku ogrodu pana Bendera. Zmarł przed tyłoma dziesiątkami lat, że straciłam rachubę. Teraz ja tu mieszkam. Wprowadziłam się czterdzieści lat temu, kiedy dom Matki i Ojca spłonął. Zmarli wiele lat przed panem Benderem.

Ojciec mylił się co do tego, że pożyczę dwa lata albo dwieście, ale nie czuje rozgoryczenia. Nauczyłam się, że wiara i nauka to dwie strony tej samej monety, rozdzielone przestrzenią wąską, lecz wystarczającą, by nie mogły się nawzajem dostrzec. Nie wiedzą nawet, że są złączone. Doszłam do wniosku, że Ojciec i Lily stanowili dwie strony tej samej monety, a ja być może jestem przestrzenią pośrodku.

- Jenno?! - Słyszę wołanie jedynej osoby na ziemi, którą mogę zgodnie z prawdą nazywać swoją rówieśnicą. - Tu jesteś - mówi.

To Allys. Nie kuśtyka. Jej słowa nie brzmią surowo. To Allys szczęśliwsza od tej, którą poznałam dawno temu. Nowa Allys. Dwadzieścia dwa procent. Choć procenty nie mają dzisiaj znaczenia. Dzisiaj są już inni, podobni do nas. Świat stał się nam bardziej przychylny. Pracowałyśmy i podróżowałyśmy wiele lat, by pokazać, że istnieją ludzie tacy jak my. Ale nadal pozostałam standardem. „Standard Jenny” — jak go niekiedy nazywają. Dziesięć procent to minimalny odsetek. Ale ludzie się zmieniają. I świat też się zmieni. To jedno wiem na pewno.

Allys i ja mieszkamy teraz razem. Jesteśmy staruszkami w skórze nastolatek. To kolejny czynnik, którego Ojciec i jego współpracownicy nie wzięli pod uwa-

gę: że biochipy będą się uczyć, rosnać i mutować, ponieważ gdzieś wśród tych dziesięciu procent kryje się rozkaz: „przetrwaj”. I biochipy o to zadbały. Jak długo jeszcze? Nikt nie wie. Ale biożel zmodyfikowano na użytek przyszłych biorców, aby nikt nie żył ponad „akceptowalny i stosowny” czas. Obie z Allys, w naszym podeszłym wieku, chichoczemy, że jesteśmy niestosowne. Z wielu rzeczy śmiejemy się teraz łatwiej.

- Kayla przyszła! - woła Allys, stojąc na skraju ogrodu.

- Przyślij ją tutaj.

Przeżyłam z Ethanem siedemdziesiąt dobrych lat. Dopiero długo po jego śmierci zebrałam się na odwagę, by się postarać o Kaylę. Ma jego karnację, błyskotliwość, miłość do literatury, a niekiedy jego porywczność. Myślę

o niej w każdej chwili życia. Ale wiem, że kiedyś, gdy Kayla osiągnie pewien wiek, pojedę do Bostonu zimą i tam zostanę; będę chodzić na długie spacery i raz jeszcze poczuję na twarzy miękką dotyk zimnych śniegowych płatków, bo żadna matka ani ojciec nie powinni żyć dłużej od swojego dziecka.

Kayla wybiega zza rogu.

- Mamusi!

- Cśśś - mówię, podnosząc palec do ust. Milknie, promieniejąc świadomością tego, co się stanie, i wyczekiwaniem, z oczami szeroko otwartymi i czujnymi. A kiedy w nie patrzę — za każdym razem, kiedy w nie patrzę - przypominają mi się Matka, Lily i to, co zrozumiałam naprawdę dopiero dzięki Kayli.

- Chodź tutaj, aniołku - szepczę, ona zaś zbliża się na palcach i sadowi obok mnie na ławce.

Ledwie sięgam do kieszeni, a już wokół naszych ramion trzepocze chmara ptaków. Dzielę się z Kaylą garścią ziarna i wyciągamy dłonie napelnione ofiarą. Ptaki natychmiast siadają nam na rękach. Tuzin albo więcej. Każdy z nich tak lekki. Najwyżej kilkanaście gramów. Zajmują zaledwie tyle przestrzeni, co dłoń zwinięta w pięść, a przecież ich dotyk budzi we mnie uczucia, których nie umiałabym nazwać. Kilkanaście gramów cudu poruszającego do głębi. I dzisiaj także, jak każdego dnia od dwustu lat, dziwię się ciężarowi wróbla.

TLR

## Podziękowania

Gorące podziękowania dla Lisy Firke, Amy Butler Greenfield, Lisy Harkrader, Cynthii Lord, Amy Mc-Auley, Marlene Perez, Laury Weiss i Melissy Wyatt za niezliczone sugestie oraz wsparcie. Za wielokrotne czytanie tekstu, krytykę i cierpliwość jestem głęboko wdzięczna Catherine Atkins, Shirley Harazin, Amandzie Jenkins, Jill Rubalcabie i Nancy Werlin.

Ta książka nie zostałaby ukończona bez zachęty oraz zrzędzenia Karen i Be-na Beiswengerów. Nawet w najtrudniejszych chwilach patrzyliście w przyszłość, dzięki czemu ja także nabierałam otuchy. Nie mam dla was dość słów podziwu. Dziękuję Jessice Pearson za trafne porady i opinie, nawet kiedy stała już w drzwiach. Jess, jeszcze tylko jeden drobiazg...

Jestem wdzięczna mojej niesamowitej agentce, Rosemary Stimoli, za entuzjazm i niewyczerpaną energię. Nie ma takiej drugiej na świecie.

Nie mogłabym znaleźć bardziej cierpliwego, dodającego wiary w siebie i bystrego redaktora niż Kate Farrell. Wie doskonale, jak wydobyć z autora to, co najlepsze. Zaciągnęłam u niej wielki dług wdzięczności.

Jessico i Karen, ta książka od początku do końca zawdzięcza swoje powstanie waszej inspiracji. Jak mawiała babcia: „Dostałam od was tyle, że nigdy nie zdołam się odwdzięczyć”.

I, jak zawsze, dziękuję za wszystko mężowi, współnikowi przestępstwa i pokrewnej duszy - Dennisowi Pearsonowi. To za jego sprawą wszystko się dzieje. USA, kochany, USA.